



HELENA SEKULA

PIERŚCIEN Z KRWAWNIKIEM

CZYTELNIK

Helena Sekuła

Pierścień z krwawnikiem

**CZYTELNIK
Warszawa 1973**

Sezam

Stalowe łapy podnośników wspierają się w betonowy strop, sklepienie ugina się i pęka pod ich naporem. W przegrzanym powietrzu kotłuje się szary, wapienny pył, przysłaniając skąpe światło zawieszonych pod sufitem żarówek. Kurz opada powoli, osiada na spoconych twarzach, wciska się w usta, zatyka nozdrza.

Czterej, mężczyźni rytmicznie naciskają uchwyty lewarków, lecz promieniste pęknięcia na suficie nie powiększają się.

– Sakra! – stęka zwalisty mężczyzna, prostując plecy. – Nie sięga! – zadarłszy głowę, wskazuje stalowe, rury, na których są przymocowane tarany lewarków.

– Ano, nie sięga – z flegmą przyznaje drugi mężczyzna, o mocnej budowie i gęstych, ciemnych włosach. – Za krótkie wsporniki... sądząc na oko, brakuje ze dwadzieścia centymetrów.

– Na oko! – denerwuje się tamten. – To takie rozeznanie szef zrobił, na oko?!

– Spokojnie, Pat! – mruczy szef.

– Co robimy, trzeba coś wymyślić! – Pat nalega już z paniką w głosie.

– Przestań się trząść, gnoju! – sarka szef. – Nie jesteś od myślenia. Idź! – popycha go lekko ku drzwiom – Zobacz, co słychać u Żaczka, i zajrzyj do strażnika.

Szef omiata spojrzeniem zagraconą piwnicę – o kotłownia. W rogu wysypisko koksu, po kątach pocięta blacha niewiadomego przeznaczenia, jakieś żelastwo Z jednej strony pryzmę koksu

odgradza ścianka z surowych, nie heblowanych desek.

– No, co się gagicie, jak... – szef ruchem dłoni wzywa dwóch pozostałych mężczyzn.

– Żeberko – rozkazuje krępemu – wyciągnij te dechy. Nul! – ponagla drugiego – obniż wsporniki i podłóż drewno pod podstawy, żywo...

Na tę krzątanicę powraca Pat.

– Sinieje – oznajmia lakonicznie, obserwując przygotowania kolegów, i zaraz rozjaśnia mu się tępa twarz, zrozumiał bowiem, że nieprzewidziana przeszkoda zostanie zaraz usunięta.

– O czym ty bredzisz? – niecierpliwi się szef.

– Zaczek wartuje, wszystko w porządku, tylko strażnik, tego... chyba knebel ma za głęboko, więc posiniał... – duka Pat.

– Ach, ty bałwanie! – wrzeszczy szef i wybiega z kotłowni.

Na parterze obok zaryglowanych drzwi wejściowych, z pistoletem w dłoni, przechadza się Zaczek. Jest bez maski, za to w służbowej czapce strażnika.

– Coś się stało? – niepokoi się widząc wzburzenie szefa.

– Ty, kowboj, opuść tę rurę – szef wskazuje broń – bo jeszcze ci sama wystrzeli! – naciąga na głowę kawał czarnej pończochy z otworami na oczy, mija Zaczka i śpieszy do dyżurki.

Pod ścianą leży skrępowany sznurami strażnik. Jego posiniała twarz ocieka potem, nieruchome oczy wychodzą z orbit.

– Nie będziesz krzyczał? – czarna maska pochyła się nad nim. Ciemno oksydowany rewolwer lśni w dłoni.

W umęczonym spojrzeniu strażnika pojawia się groza; kołysze głową na znak, że nie będzie krzyczał.

Szef rozwiązuje szal, spowijający jego twarz, i wyszarpuje z ust szmaciany kłęb. Skrępowany człowiek, ciężko dysząc, oblizuje suchym językiem spieczone wargi.

– Chcesz pić? – domyśla się szef; strażnik potwierdza, przykrywając powieki – boi się szepnąć nawet słowo.

Szef unosi mu głowę i przytyka do spierzchniętych ust fajan-sowy garnuszek pełen wody.

– Zabiję cię tylko w jednym wypadku – mówi z naciskiem – jeżeli piśniesz choć słowo... konieczność, rozumiesz? Nie gestem bandytą – w tej scenerii owo zapewnienie brzmi grotesko-

wo – rozumiesz?

Tamten głośno przełyka kolejny haust wody i znów daje znak powiekami.

Gdy szef wraca do kotłowni, na kawałkach tarcicy ustawiono już podstawy podnośników, i znów ich ramiona z hartowanej stali, z siłą siedmiu ton każde, nacierają na strop; sypie się wapienny miął, spadają coraz większe okruchy, a po chwili wali się lawina betonowego gruzu. Łapy podnośników taranują sklepienie, w którym tworzą się dwa niesymetryczne wyłomy. Jeszcze jedno uderzenie i w suficie ziejże szeroka wyrwa.

– Drabinka – rozkazuje szef.

Nul niczym akrobata wspina się po wsporniku i zamocowuje u góry sznurowy trap. Oparty stopą o jego szczebel, lekko huśtając się na nim, do połowy znika w ciemnej czeluści.

– Można swobodnie wejść – zawiadamia po chwili.

– Żeberko z palnikami, do góry komenderuje szef. – Pat, złóżysz lewary i przyjdiesz do nas – śpieszy za tamtymi po chybottliwych stopniach drabinki.

Przedostają się do niskiego pomieszczenia bez okien; pod ścianami stoją ciasnym szeregiem potężne szafy pancerne.

– Do roboty – przynagła szef, wskazując pierwszy z brzegu sejf. Sam podobnie jak i oni osłania twarz maską spawacza i uruchamia acetylenowy palnik. Prawie jednocześnie syczą trzy oslepiające płomienie, liżąc pancerze kas.

Z otworu gramoli się Pat z czwartym palnikiem i stertą przezuconych przez ramię worków. Ciska je na podłogę.

– Pruj następną – poleca szef.

W milczeniu zmagają się z ognioodpornym metalem. Ciszę mąci tylko szum palników. Powietrze gęstnieje w pozbawionym wentylacji pomieszczeniu. Od wyziewów płomieni robi się gorąco, strugi potu zalewają oczy, lepią się koszule do mokrych grzbietów.

– Nul, zmniejsz płomień! – rozkazuje wszystko widzący szef.

– Mniejszym płomieniem do rana nie spruję – mruczy tamten.

– Sprujesz, a takim dużym na pewno nadpalisz banknoty.

– Mieć by tak laser – wzdycha Nul, regulując palnik.

– Laser! Ledwo sobie radzisz z acetylenem – uśmiecha się szef. On jest najbardziej biegły w operowaniu palnikiem; na powłoce sejfu, który atakuje, już powstają szczeliny, tworzące prawie idealny kwadrat, o nieco tylko postrzępionych brzegach. Delikatnie przeciąga po nich palcem – dłonie ma obciążone w miękkie irchowe rękawiczki – i gasi płomień. Płaskim, stalowym pilnikiem podważa ową płaszczyznę i kawał pancerza głucho wali się na podłogę. Z otworu kasy sypią się paczki nowiutkich opiętych banderolami tysiąc złotych.

– Sezam – szepcze z nabożną czcią Żeberko. Nul i Pat przerywają robotę, również zafascynowani tą obfitością.

Szef kilkoma coraz bardziej niecierpliwymi ruchami wygarnia zawartość szafy. Nerwowo przerzuca paczki, grzebie w nich jak w bezwartościowej makulaturze.

– Prosto z mennicy – klnie z irytacji.

– Mnie to nie przeszkadza – zaciera ręce Pat.

– Przeszkadza, barania głowo, jeszcze jak przeszkadza... te pieniądze są nie do wydania, przynajmniej przez kilka lat... to całe serie... Nul, ładuj to do worka i na dół!

Cztery kasy wypchane są po brzegi paczkami banknotów – ale wszystkie bilety bankowe są prosto spod prasy; te pieniądze jeszcze nie były w obiegu.

Szefa ogarnia wściekłość, z niepokojem spogląda na wskazówki zegarka. Prawie z desperacją wybiera na chybi! trafił jeszcze jedną kasę.

– Spróbujcie tę – rozkazuje. Z napięciem obserwuje gorączkowe zabiegi kompanów, którzy też rozumieją, że to nic pewnego. Kas jest łącznie trzydzieści i nikt nie wie, w której mogą być złożone używane banknoty. Niepodobnieństwem jest rozpruć i skontrolować je wszystkie. Tym razem dopisuje im szczęście. Wprawdzie szafa nie jest tak wypchana, jak tamte, ale zawiera pokaźny stos paczek podniszczonych banknotów o różnych seriach. Wartość poszczególnych odcinków jest bardzo różna. O ile na poprzedni łup składały się tylko bilety tysiąc i pięćset złotych, o tyle tutaj znajduje się także sporo stu-, pięćdziesięcio-, a nawet dwudziestozłotówek.

– Szefie, jeszcze jeden sejf – Żeberko zwilża językiem suche

wargi; ma wypieki, oczy płoną mu jak w gorączce.

– Jeszcze tylko jeden – przyłącza się do prośby tamtego Nul ochryplym, błagalnym głosem.

Szef śledzi wskazówkę stopera, waha się pełen sprzecznych uczuć. Ogarnia go nieprzeparte pragnienie, aby zedrzeć pancerne osłony z najbliższej szafy... i z tamtej, stojącej w rogu, i z tej, i z tej... Jego ciemne oczy, zaczerwienione od pyłu i płomieni palników, przewiercają stalowe powłoki, ogarniają wnętrza kas; nieświadomie kurczące się palce już wygarniają gładkie, śliskie paczki papieru, mającego taką moc...

Zwierają mu się szczęki, czuje suchość w gardle, z trudem przełyka ślinę. Nagle uświadamia sobie, że jego twarz płonie tak jak tamtym, jak tamtych ogarnęła go potężna, niszcząca żądza posiadania. Jeszcze chwila, a zatracą się w niej wszyscy, jeszcze chwila, a nie zapanuje nad nimi, skoro już prawie nie panuje nad sobą.

– Dość! Czas minął – krzyczy nagle, a jego głos wznosi się nienaturalnym falsetem.

Posłuchali niechętnie; jak lunatycy przepychają przez wyłom na dół ostatni, pękaty worek.

W stanie najwyższego napięcia, czujni na najśłabszy szelest, wymykają się pojedynczo, objuczeni łupem; draga prowadzi przez piwniczne korytarze, na zewnątrz wiodą niskie, okute blachą drzwi, umieszczone prawie na poziomie fundamentów. Dalej przez pochyłą betonową rynnę, aż do ogrodzenia z siatki.

Bryła gmachu rzuca z tej strony głęboki cień. Za parkanem stoi Pat i odbiera od kamratów ciężkie pakunki.

Otrząsają się wreszcie z nastroju, który paraliżował ich tam na górze. Teraz działają sprawnie, stosując się do precyzyjnie ustalonego i od dawna przećwiczonego planu.

Zegar na wieży kościoła wydzwania dwa dźwięczne takty; ich donośne, czyste brzmienie niesie się zwielokrotnione echem, w którym rozplywa się warkot uruchomionego samochodu.

– Cholera, już dnieje – klnie znad kierownicy szef. Reszta siedzi ciasno stłoczona w tyle wozu wśród worków z łupem i narzędziami.

Zwiększając szybkość przejechali mostek spinający kanał, co-

raz dalej pozostaje biały gmach z mleczną kulą lampy nad drzwiami, oświetlającej czerwoną tablicę z napisem:

NARODOWY BANK POLSKI – ODDZIAŁ POWIATOWY W BAZANOWIE.

Na pełnej szybkości mijają rzęście oświetlony budynek, skąd dobiegają hałaśliwe dźwięki orkiestry.

– Zabawa jeszcze trwa – mruczy Żeberko.

– To dobrze, bałem się, że zaczną się rozchodzić właśnie teraz – odpowiada szef.

– Mamy szczęście – niemądrze cieszy się Pat.

Rzeczywiście jednak dopisuje im szczęście. Wymknęli się z miasta niespostrzeżeni, również na kilkunastu kilometrach szosy, dzielących ich od kryjówki, nie spotkali ani ludzi, ani pojazdów. Napięcie nie opuszcza ich jednak nawet wówczas, gdy dopadają kryjówki i zwalają ciężkie wory w nisko sklepionej piwnicy.

– Rozbierać się! – komenderuje szef.

Na jedną stertę leci pięć par rękawiczek, butów, pięć czarnych masek, wreszcie wiatrówek, spodni, a nawet skarpetek. Przebierają się w milczeniu w inne odzienie, zawczasu przygotowane i ułożone kompletami na drewnianej ławce.

– Złodzieju! przy robocie noś tylko rękawiczki firmy Helanco, a unikniesz znajomości z prokuratorem – szef mówi to tonem, jakby wygłaszał slogan reklamowy. Uważnie ogląda każdą sztukę odzieży i pakuje ją, do torby. Nagle niepokój!

– Gdzie jest szal? – nie znajduje tkaniny, którą zakneblowano strażnika.

– Wrzuciłem do narzędzi – uspokaja go Żaczek.

– Pamiętaj! – szef podaje mu pakunek z ubraniem – masz rozrzucić wszystko oddzielnie. Najlepiej zatopić, ale narzędzia musisz zatopić bezwarunkowo! Zaczynasz nie bliżej niż pięćdziesiąt kilometrów stąd. No, to z fartem! – klepie go po ramieniu. – Śpiesz się, bo już cholernie jasno... do dziesiątej jesteś względnie kryty, ale wóz musi być na swoim miejscu przed szóstą rano!

Wszyscy wsłuchują się w warkot motoru samochodu, którym odjeżdża Żaczek, potem jednocześnie rzucają się do worków z

łupem; bezładnie rozwiązują paczki banknotów, rozgorączkowane, drapieżne dłonie liczą, liczą, liczą... Ustępuje wielogodzinne napięcie psychiczne; radość z posiadania tak oszałamiającej ilości pieniędzy staje się niemal histeryczna. Układają banknoty w sterty, potem jednym ruchem dłoni burzą te piramidy, jak dzikusy skaczą po rozrzuconych banknotach, tarzają się po nich, wydając nieartykułowane dźwięki, rzucają w siebie paczkami i cieszy ich widok fruujących biletów. Mąci im świadomość posiadanie zawrotnej sumy, której nawet znikomej części żaden z nich dotychczas nie miał na własność.

Tylko szefowi nie udziela się to podniecenie. Opanowany, siedzi w kącie piwnicy, pali papierosa i z pobłazaniem obserwuje zachowanie tamtych.

– No, dość tego! Przed dziesiątą musimy być daleko stąd – przypomina i starannie gasi niedopałek.

Powoli wracają do rzeczywistości, nagle oklapli, czujący ogromne znużenie, ale posłusznie, bez szemrania układają łup i maskują miejsce jego ukrycia.

– Rozchodzimy się pojedynczo, każdy do siebie – instruuje szef, rozdzielając między nich plik starych banknotów o różnej wartości i uważnie odliczając pieniądze; tak, aby nikt nie był pokrzywdzony.

– Aż do odwołania – podejmuje szef – nie spotykacie się między sobą i aż do odwołania żaden z was nie szuka kontaktu ze mną... bez względu na sytuację zachować spokój, no i w żadnym wypadku nie kręcić się w pobliżu Bazanowa. Ten teren przestał dla was istnieć... są pytania?

Pytań nie ma; wymykają się ostrożnie – szef opuszcza kryjówkę ostatni. Jest już zupełnie jasno, zachłystują się świeżym powietrzem, ptaki.

– Napad na bank! – wiadomość elektryzuje oficera dyżurnego, który o ósmej rano objął służbę w cichy, niedzielny poranek.

– Tu komenda powiatowa w Bazanowie, dokonano napadu na bank! – alarmuje przez selektor komendy powiatowe, sąsia-

dujące z Bazanowem, i komendę wojewódzką.

– Uwaga! alarm dla zmotoryzowanego oddziału – zarządza, również przez selektor, dyżurny komendy wojewódzkiej. – Zablokować drogi wokół Bazanowa... alarm dla wywiadowców służby kryminalnej i służby X...

– Napad na bank w Bazanowie – w dziesięć minut później telegram z komendy wojewódzkiej odbiera przez linię specjalną oficer dyżurny w komendzie głównej. – Na miejsce wyjechała ekipa dochodzeniowa, na szosach działają już grupy pościgowe... szczegóły będę przekazywał w miarę rozwoju wydarzeń – melduje dyżurny komendy wojewódzkiej.

– Przyjąłem! – potwierdza oficer komendy głównej. Przez inny telefon łączy się z prywatnym mieszkaniem pułkownika Lisa, szefa służby kryminalnej.

– Napad na bank w Bazanowie – powtarza Lisowi skąpy mel-dunek.

– Połącz się z komendantami województwa warszawskiego i białostockiego – poleca pułkownik – i poinformuj, że koordynacją akcji zajmie się... – namyśla się przez chwilę – major Korosz, inspektor biura kryminalnego.

Telefon pułkownika Lisa wrywa inspektora ze snu; w kilkanaście minut później Korosz siedzi już za kierownicą samochodu i gna w kierunku Bazanowa.

Na miejscu wita go komendant powiatowy, poinformowany już o decyzji szefa służby kryminalnej.

– Będziemy razem pracowali – major mocno ściska jego dłoń. – Jedziemy do banku! Znasz już dokładną sumę strat?

– Jeszcze nie, liczą! Bankowcy twierdzą, że może brakować około piętnastu milionów... tego nie zrobili miejscowi...

– Skąd ta pewność?

– W Bazanowie żyje tylko jeden, słownie! j e d e n włamy-wacz-recydywista. I to marny, do tego nieprzytomny pijak. Rzadko bywa trzeźwy i na ogół partaczy swoje kradzieże – uśmiecha się komendant. – Ten napad to robota fachowców, a nie zapitego, prymitywnego złodzieja. Wyłączyli system alarmowy, a mimo to kasy rozpruwali z boków, obawiali się, że zamek może posiadać dodatkowe urządzenie alarmowe, oparte

na nie znanym im źródle energii elektrycznej. A jednak musieli wiedzieć, że bank miał własne zasilanie dla systemu alarmowego. Wprowadzono to już przed kilku laty. Nasza elektrownia jest bardzo stara, często zdarzają się awarie...

– Mieli dobre rozeznanie pomieszczeń i urządzeń budynku – wtrąca major. – A więc ktoś to musiał obserwować, i to przez dłuższy czas. Mieli dobrze zorientowanego informatora...

– Informator musiał być! – przyznaje komendant. – Przemaszają za tym dwa fakty, które nie mogą być zwykłym zbiegiem okoliczności. Pierwszy: w piątek bank otrzymał poważną sumę pieniędzy. Drugi: zastępca dyrektora zajmuje mieszkanie na drugim piętrze budynku i między innymi do jego pokoju podłączona jest syrena skarbcza. Otóż ten młody człowiek posiada w Warszawie rodziców i dziewczynę. Niemal w każdą sobotę po południu wyjeżdża do stolicy i wraca w niedzielę wieczorem lub w poniedziałek rano.

– Czy ten obyczaj jest tak powszechnie znany?

– Niestety tak. Jeździ pociągiem i każdy może to zaobserwować. Niemal w każdą sobotę po pracy ludzie widują go na stacji. A zdajesz sobie sprawę, że w mieście o dziesięciu tysiącach mieszkańców osoba zastępcy dyrektora banku jest, przynajmniej z widzenia, również powszechnie znana.

– Co to za facet?

– Świetny ekonomista o nieposzlakowanej opinii.

– Kto ma klucze od skarbcza?

– Cztery osoby i każda po jednym kluczu. Są to: zastępca dyrektora, skarbnik, główny kasjer i mąż zaufania. Ale tam staranowano strop, zamków nawet nie tknięto. Praktycznie one są nie do otworzenia. Mając nawet komplet kluczy, trzeba jeszcze znać cyfrowy szyfr, a hasło ma tylko dyrektor banku.

– Nie o to mi chodzi... – namyśla się major. – Może to zrobiono prościej. Pieniądze wyjęto wcześniej, a upozorowano włamanie?

– Nieprawdopodobne – zaprzecza komendant. – Pomijając trudności techniczne chociażby z wyniesieniem łupu. Bagatela! piętnaście milionów to kilka dużych worków, a te pięć osób to wieloletni, wypróbowani pracownicy. Ponadto wiemy już pra-

wie dokładnie, co robili podczas tych krytycznych godzin...

– Ich rodziny, bliźsi i dalsi przyjaciele, znajomi?

– Sprawdzamy – ostentacyjnie ziewa komendant.

– Gdzie znajdują się zapasowe klucze od skarbcza?

– Nienaruszone. Opieczętowane w sejfie banku wojewódzkiego.

– Strażnik?

– Pogadaj z nim sam, już nieco przyszedł do siebie. Ja bym go wyłączył, ale nie chcę nic sugerować.

Strażnik ma zmęczoną, bladą twarz, zaczerwienione oczy i do krwi spękane wargi. Siada ciężko, znużonym ruchem pociera czoło, a później opuszcza ramiona w geście zupełnej rezygnacji.

– Jak to było? – zagaduje major.

– Panie... – strażnik bezradnie błądzi spojrzeniem po sportowej koszuli inspektora – panie śledczy, mnie oskarżają o zmowę... Dwanaście lat przepracowałem bez słowa nagany. Niech pan patrzy! – zadziera nagle nogawki spodni, a potem podciąga rękawy – czy tak się traktuje współnika? – opuchnięte ręce i nogi przecinają fioletowe pręgi od sznurów. – Ludzie, czterdzieści lat na świecie żyję, a nie sięgnąłem po cudze nawet tyle, co czarnego za paznokciem! – głos mu się łamie, więc milknie, powstrzymując grymas szloch.

– Proszę się uspokoić – mówi łagodnie major. – Nikt pana nie oskarża, po prostu musimy poznać szczegóły wydarzenia, trzeba nam dokładnie wszystko opowiedzieć.

– Zmieniłem kolegę o dziesiątej wieczorem. Zaraz po jego wyjściu jak zwykle zaryglowałem drzwi. O wpół do jedenastej zadzwoniono. Wyszedłem na korytarz i wyjrzałem przez wizjer. Pod drzwiami stał mężczyzna, pozdrowił, mnie i zapytał, gdzie mieszka dyrektor banku. Podałem adres, wtedy on poprosił, aby określić bliżej, w jaki sposób ma znaleźć tę ulicę, ponieważ jest nietutejszy.

– Mógłby go pan rozpoznać?

– Nie jestem pewien... Nie widziałem dokładnie jego twarzy, był w czapce z daszkiem i stał w cieniu... Nie przyszło mi na myśl, że to podstęp, aby wywabić, mnie z dyżurki... W pewnym momencie poczułem lufę pistoletu na karku... Nie spodziewa-

łem się napaści od strony korytarza.

– Nie usłyszał pan żadnego szmeru? – dziwi się inspektor...

– Przyszli bezszelestnie, gdy tamten zajmował mnie rozmową. Nie miałem żadnych szans obrony. Rewolwer zostawiłem na stole w dyżurce i... oni go zabrali.

– Ilu, ich było?

– Ja widziałem trzech... – określa ich sylwetki, rodzaj ubrania. Mówi również, jak wyjęto mu knebel, gdy już się dusił, i podano wodę. – Zatrzaszczył się o mnie ten sam, co to rozmawiał ze mną przez wizjer... Potem miał na twarzy maskę, ale poznałem go po głosie.

– O której odszedł ten z korytarza?

– Mogło być przed drugą... Co ze mną będzie?

– Cóż – unosi brwi major – będzie dochodzenie w sprawie utraty broni. A teraz proszę iść do domu i odpocząć.

Oficerowie obserwują, jak podnosi się z miejsca, kłania się najpierw komendantowi, później majorowi. Mimo widocznego zmęczenia, przygnębienia i zwyczajnego ludzkiego lęku ten człowiek ma w sobie wiele godności.

– Co myślisz? – zagaduje komendant, mówiąc o strażniku.

– W tej chwili trudno ocenić – inspektor ostrożnie cedzi słowa. – Mogło być tak, jak mówi...

Do banku idą piechotą; major chce poznać i odtworzyć sobie ewentualną drogę rabusiów. Przechodzą nadrzecznym bulwarem z pięknie utrzymanym zieleńcem. W perspektywie, na wzniesieniu, bieleje w słońcu romański kościół. Skręcają w przecznicę, mijają zabudowania browaru i przez mostek spinający kanał wychodzą wprost na dwupiętrowy dom banku, otoczony parkanem z siatki.

Na podwórzu, w cieniu rozłożystego klonu waruje duży, płowy pies-tropiciel. Obok siedzi plutonowy, jego przewodnik.

– Nie podjął tropu? – domyśla się inspektor.

– Niestety – plutonowy pręży się w postawie zasadniczej, na widok komendanta. – Wszystko zalane benzyną lub smarami. Przezorni faceci, zabezpieczyli się przed psem... Musi trochę odpocząć – wyjaśnia gładząc grzbiet wilka – i spróbujemy jeszcze na szosie, może tam pochwyci woń.

Major wchodzi do budynku przez masywne drzwi, obite grubą blachą. Z wąskiego korytarza – tą samą drogą przechodzili rabusie po obezwładnieniu strażnika – dostaje się do kotłowni z zięjącym wyłomem staranowanego stropu. Zarówno drzwi zewnętrzne, jak i solidne drzwi, zamykające kotłownię, nie noszą śladów włamania.

– Piękna robota – podchodzi do niego technik. – Te zamki otworzył dużej klasy włamywacz.

– Co to za zamki?

– W drzwiach kotłowni zastawkowy, w zewnętrznych specjalny. Ten ostatni ma pięć zastawek!

Major w myśli wykonuje nieskomplikowane mnożenie: $1 \times 2 \times 3 \times 4 \times 5 = 120$.

– To znaczy – odzywa się po chwili – że istnieje sto dwadzieścia sposobów uszeregowania zastawek tego zamka i tyle trzeba mieć kluczy, aby go otworzyć...

– Teoretycznie tak – zgadza się technik – ale oni zrobili to inaczej. W zamkach są ślady cyny...

– Pasówka angielska – stwierdza inspektor. – Najpierw musieli zdjąć odciski zastawek na surowym kluczu, oblanym miękką cyną, a dopiero później opiłować, a nie obyło się też bez przymiarki. Najmniej trzy razy musieli przymierzać się do tych drzwi – głośno rozmyśla major.

Inspektor i komendant przechodzą korytarzem parteru i dalej do otwartego skarbcu; dyrektor, jego zastępca, skarbnik, kasjer główny i mąż zaufania oraz trzyosobowa komisja z banku wojewódzkiego kończą właśnie remanent i obliczanie strat.

– Skradziono piętnaście milionów osiemset dziewięćdziesiąt dwa tysiące złotych – przewodniczący komisji kładzie podpis pod raportem kasowym. – W tym piętnaście milionów w banknotach nowych, a osiemset dziewięćdziesiąt dwa tysiące w biletach, które były już w obiegu. Odnotowaliśmy serie skradzionych piętnastu milionów – podaje majorowi spis. – Natomiast numery banknotów pozostałej sumy – ociera pot z czoła – nie są znane.

W skarbcu jest duszno, nad wszystkim dominuje odór benzyny.

Major łączy się z zakładem kryminalistyki w Warszawie. Informuje o wysłaniu funkcjonariusza, który doręczy w laboratorium spis zawierający numery zrabowanych pieniędzy.

Jeszcze tego samego dnia dokument ten, powielony w tysiącach egzemplarzy, otrzymują banki, poczty, placówki PKO, handel i gastronomia na terenie całego kraju. Zawiera on także wskazówki opracowane przez milicję, a dotyczące postępowania wobec osób, dokonujących wpłat lub transakcji pieniędzmi zastrzeżonych serii.

Major ponownie łączy się z Warszawą, teraz rozmawia z pułkownikiem Lisem.

– Heniek, zarządz sprawzenie alibi włamywaczy na terenie całego kraju. Szczególną uwagę zwrócić na pasówkę angielską. Materiały, które przejdą wstępną selekcję, powinny być przesłane do mnie.... Warszawą i województwem zajmie się Cieślik i jego ludzie... Aha, dla porządku! W Warszawie i okolicznych powiatach trzeba sporządzić listę zgłoszeń o kradzieży wozów. Brać pod uwagę zameldowania, jakie wpłynęły w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

– Już to zrobiłem. Też nie sądzę, aby napastnicy posługiwali się komunikacją państwową. To jasne! Mieli transport własny albo użyli do tego celu skradzionego samochodu!

Gdy inspektor powraca do piwnicy, brygada dochodzeniowa kończy już oględziny. Major jeszcze raz przygląda się ziejącej w suficie wyrwie o poszarpanych brzegach, z których zwisają, połamane niczym patyki, żelazne pręty zbrojenia.

– Zdawałoby się, że mocne sklepienie – komendant idzie za wzrokiem Korosza.

– Grubość sześćdziesiąt centymetrów. Ponad pół metra żelbetonu – informuje technik. – Wygniecione i rozdarte niczym papier. Musieli dostosować do wysokości piwnicy ramię podnośnika. Pomieszczenie ma dwa i pół metra wysokości... to też musieli wiedzieć przedtem....

– Z jaką siłą trzeba staranować ten rodzaj sklepienia, aby uzyskać takie efekty? – zastanawia się major.

– W każdym razie nie mniej niż dziesięć ton. Oczywiście podaję to w przybliżeniu – zastrzega technik. – Dokładne dane

określi ekspert po zbadaniu jakości i wytrzymałości tworzywa.

– Chciałbym znać rodzaj tego podnośnika – wzdycha major, rozglądając się po kotłowni.

– Nie zostawili nic, co mogłoby posłużyć jako indywidualny ślad... – technik urywa w pół zdania, ponieważ major ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w kąt piwnicy, gdzie leżą kawały blachy, żelastwa i kilka rozrzuconych desek.

– A to... co? – wskazuje kawałek brudnej tarcicy.

Technik podnosi grubą deskę, ogląda ją uważnie. Dłonią w gumowej rękawiczce ostrożnie strąca z niej odłamki betonu i wyciera węglowy pył. Wszyscy pochylają się nad kawałkiem drewna.

W miękkim sosnowym drzewie widoczne są wklęsłe linie.

– Var-sep... – sylabizuje technik. Czerwienieje po nasadę włosów i przygryza wargę.

Nazwa firmy produkującej lewary. Na tym drewnie musiała wspierać się podstawa podnośnika, a wypukły, metalowy napis, umieszczony na jej odwrocie, niczym stempel odcisnął w miękkiej tarcicy firmowy znak.

– No, panowie – major rozkłada dłonie – jeżeli tak szukacie śladów, to nic dziwnego, że ich nie ma – nie może powstrzymać się od tej cierpkiej uwagi.

Oficerowie w milczeniu przyjmują nagane, rzeczywiście przeoczenie jest rażące, a w tych okolicznościach dotyczy niesłychanie cennej informacji. Chcąc naprawić błąd i zatrzeć niemiłe wrażenie rzucają się do pozostałych desek. Jeszcze jedna z nich nosi podobną pieczęć.

– Porozmawiamy sobie o tych oględzinach, panowie – cedzi komendant wściekły za tę kompromitację przed oficerem z centrali.

– Bandy ci również popełnili błąd – wtrąca pojednawczo major. – Pozostawili wcale dokładną wizytówkę Trzeba to natychmiast przekazać do zakładu kryminalistyki, niech zbadają napisy. Sądząc na oko, są identyczne, ale mogą pochodzić od dwóch różnych lewarów tej samej marki.

– To znaczy jednak, że ich informacje o wysokości kotłowni nie były zbyt precyzyjne – zauważa komendant – i wsporniki

okazały się za krótkie. Nie przewidzieli tego, więc ze znalezionych tu desek zaimprovizowali postument, który podłożyli pod podstawę podnośnika.

W komendzie powiatowej oczekuje ich podekscytowany dyżurny.

– Szefie, Ziętek płacił w gospodzie nową pięćsetką – melduje.

– To ten nasz jedyny włamywacz – objaśnia komendant. – Dawaj go tutaj – poleca dyżurnemu.

Zabrany złodziejowi banknot, zabezpieczony w przejrzystej kopercie z folii, leży już na biurku komendanta razem z lakonicznym meldunkiem, omawiającym okoliczności, w jakich został zakwestionowany. Są banalne.

Ziętek przyszedł do gospody i zamówił butelkę koniaku. Ponieważ jego żądanie było niezwykle – powszechnie znano jego profesję i nader skromne dochody z dorywczych prac – więc bufetowa, zanim spełniła zamówienie, przezornie poprosiła o natychmiastowe uregulowanie rachunku. Wówczas złodziej zaszaleścił przed jej oczami nowiutkim banknotem. Pełniący tam służbę wywiadowca z województwa zatrzymał Ziętka i pieniądze.

Major jeszcze raz z niedowierzaniem, czy to nie przewidzenie, porównał serię pięćsetki ze spisem przekazanym przez bankowców. Nie, to nie było złudzenie, numeracja banknotu figuruje rzeczywiście w wykazie zrabowanych pieniędzy.

– Nic nie rozumiem – major wymownie spogląda na komendanta. – Taka precyzja... – ma na myśli sposób włamania do banku – i taki prymitywny współnik, pchający się ze skradzionymi pieniędzmi do knajpy już w kilka godzin po napadzie?

– Niewiarygodne, Ziętek nie jest sprawcą – potrząsa głową komendant. – To jakieś nieporozumienie.

Łączy się telefonicznie z bankiem, jeszcze, raz konfrontuje spis. Nie ma omyłki, ten banknot należy do zrabowanej serii.

– No, to mamy przestępcę! – parska odkładając słuchawkę. – A jednak to niemożliwe, ja znam możliwości tego drobnego partacza. Żaden szanujący się złodziej nie wda się z nim w kon-szachty.

– Fakt jest zaskakujący, ale nie przestaje być przez to faktem

– mówi major.

Ziętek nie posiada przy sobie innych pieniędzy, jeśli nie liczyć garstki bilonu, natomiast w czasie rewizji, przeprowadzonej natychmiast w jego mieszkaniu, wywiadowcy znajdują jeszcze trzy banknoty, po pięćset złotych każdy, ukryte w dość nieskomplikowanym schowku, bo wetknięte za oleodruk, przedstawiający Marię Magdalenę. Również i te pieniądze należą do zrabowanych w banku.

Niespodziewanie dla nikogo Ziętek staje się najważniejszą osobą dnia. Jeszcze nigdy nie odnoszono się do niego w komendzie z takim szacunkiem. Przy takim rozwoju wydarzeń prokurator bez oporów zatwierdza przeprowadzoną przez milicję rewizję oraz daje sankcję na zatrzymanie Ziętka.

Stary złodziej przebywa więc w areszcie, a major z komendantem przygotowują się starannie do przesłuchania zatrzymanego.

Jednak komendant w dalszym ciągu nie wierzy w bezpośredni udział Ziętka w napadzie na bank. Oprócz owych czterech banknotów, odkrytych u niego, nic więcej nie znaleziono. Ani śladu broni czy też narzędzi, użytych podczas napadu i włamania. Rewizje u jego rodziny i znajomych również nie przynoszą żadnych rezultatów.

Skąd jednak ma te banknoty, które niewątpliwie pochodzą z łupu zrabowanego w banku?

Ziętek, niski, chudy, wprowadzony przez profosa aresztu, nisko kłania się komendantowi i niespokojnie zezuje w stronę majora. Wyraźnie niepokoi go obecność nieznanego cywila, asystującego przy przesłuchaniu.

– Za co mnie trzymacie? – jęczy płacziwie.

– Skąd masz te pieniądze? – komendant demonstruje banknot w plastikowej kopercie. – I tamte półtora tysiąca?

– Te półtora to pierwszy raz widzę – wydyma usta złodziej.

– Były za obrazem u ciebie w domu.

– To pewno moja stara zachomikowała przede mną – odpowiada bez namysłu.

– Ziętek, mówisz prawdę albo wracasz na dół. Masz do namysłu całe trzy miesiące – podsuwa mu przed oczy nakaz areszto-

wania, podpisany przez prokuratora.

– Panie komendancie, za co?! – jego wielkie czoło marszczy się jak u noworodka. – Ja nic nie zrobiłem... Już dwóch tysięcy nie można mieć w domu? Tego, schowałem przed moją...

– Skąd je masz? – nie ustępuje komendant.

– Eee... bo to taka nieprawdziwa heca, że sam bym nie uwierzył, pan komendant zaraz znów zakrzyczy, że kłamię, albo i co gorsza obrazi się na mnie... Widzi pan, wczoraj trafiłem na swój dzień i załapałem trochę grosza, bez gipsu, u doktora w ośrodku partaninę miałem, można sprawdzić... no, to po robocie wypilem sześć owocaków. Nawet nie byłem pijany, tylko taki kozłowaty, ale skończyły mi się pieniądze i zostało tylko trochę niklu, no to poszedłem spać. Ale nad ranem kac mnie za włosy podnosi... wie pan, dygotki i suszy... po owocowych to zawsze tak. To się zwłokłem i po domu markuję, życie bym oddał za uczciwą setę, butelki targam i krople do szklanki osączam, żeby choć łyk uzbierać, ale gdzie tam, z pustego to i Salomon... Płakać mi się chciało.

– Ziętek, do rzeczy!

– Wciąż mówię do rzeczy, żeby mnie wietrzna ospa poraziła! – stuknął się w kurzą pierś – ...i raptem słyszę w tym strapieniu, jak jakiś głos od ulicy woła: – Ziętek, Ziętek! Ki diabeł? pomyślałem, może który z kumpli, też po przepiciu, po świecie, jak dusza czyścicowa, się barłóży? Wyskoczyłem z domu, ale nikogo... Strach mnie obleciał, że już zwidy w słyszeniu mam, ale jeszcze rozejrzałem się i aż do furtki wyszedłem. Pusto, wokół ani żywego ducha, tylko ptaszki drą się, że aż łeb roznosi... Z rozpaczą ciągnę się do domu, myślę, jak chociaż łyka nie zdobędę, to już uświerknę, aż potrąciłem nogą jakiś papier. Patrę i oczy przecieram, a to... cztery brązowe papierki z górnikiem. Podziękowałem Bogu... resztę to już pan wie.

– Aha, ostatnio ci Bozia w ogródku pieniądze rozsiewa – kiwa głową komendant.

– A nie mówiłem, że pan nie uwierzy – z wyrzutem kwili złodziej.

– Słuchaj, te pieniądze zrabowano w banku – akcentuje komendant. – Ten skok będzie kosztował co najmniej dwadzie-

ścia pięć lat. Radzę ci, lepiej powiedz, od kogo i za co otrzymałeś te banknoty.

– W banku! – z wrażenia zaokrąglają się złodziejowi oczy. Milknie, posępnieje, jeszcze bardziej maleje, kurczy się. Medytuje nad czymś, marszcząc czoło, kaprawe oczka biegają niespokojnie od komendanta do inspektora.

– Ja nie mam z bankiem nic wspólnego – odzęgkuje się stanowczo – ...ale to pasuje do Osękowskiego – tak nazywa się strażnik, którego sterroryzowano w banku.

– Co do tego ma Osękowski? – komendant mierzy go groźnym spojrzeniem.

– Tak mi się coś wydaje, że to był jego głos – mruczy złodziej.

– No, ten, co wołał: Ziętek, Ziętek...

– Chcesz zrobić Osękowskiego – kiwa głową komendant. – Ale widzisz, on ma murowane alibi. Nad ranem, choćby chciał, w żaden sposób nie mógł być pod twoim domem.

– Może ktoś ma głos podobny do niego – kręci złodziej.

– Chce się zemścić na strażniku – szepcze komendant inspektorowi. – Ostatnio, gdy próbował kraść w browarze, nocny stróż spał, zauważył go Osękowski z dyżurki banku. Później był świadkiem na jego sprawie.

Dalsza rozmowa z Ziętkiem nie wnosi nic nowego. Wprawdzie włamywacz nie pomawia już strażnika o podrzucenie mu pieniędzy, ale uparcie twierdzi, że znalazł je na swoim podwórku.

Późnym wieczorem major wraca do Warszawy. Zastanawia się, czy niepokoić szefa, ale pułkownik Lis sam przychodzi, gdy tylko inspektor pojawił się w komendzie. Uważnie wysłuchuje sprawozdania Korosza.

– ...Dzień wybrali bardzo precyzyjnie. Do banku dostarczono transport pieniędzy. Oczekali jeden dzień, aż do skarbcza wpłynie również nieco gotówki w starych banknotach. Zwróć na to uwagę: banknoty przywieziono już w piątek, a napadu, dokonano dopiero w sobotę. Sobota była pod każdym względem dniem najbardziej odpowiednim. Zastępca dyrektora wyjeżdża zazwyczaj tego dnia do Warszawy, a w całym budynku pozostaje tylko strażnik. Również zabawa w browarze była oko-

licznością sprzyjającą. Głośnie orkiestra zagłuszała ewentualne odgłosy z banku – kończy major.

– Jakiego typu są sejfy? – interesuje się Lis.

– Panczerze stalowe, żaroodporne. Grubość ścian jeden centymetr. Czy już zrobiono ekspertyzy desek, które przysłałem w południe?

– Tak – odpowiada Lis. – Rabusie operowali dwoma podnośnikami... Słuchaj, Andrzej, masz rację, że oni mieli znakomitą orientację w rozkładzie całego budynku. Wiedzieli dokładnie, nad jakimi pomieszczeniami znajduje się skarbiec, a przede wszystkim znali rozmieszczenie instalacji elektrycznej i systemu alarmowego oraz źródło energii, zasilające te urządzenia. Być może, działał wśród nich ktoś, kto te urządzenia zakładał albo projektował, a może tylko nadzorował instalowanie?

– Pomyślałem o tym – przyznaje Korosz – i wziąłem wszelkie dostępne dokumenty. To znów zadanie dla Cieślaka. Musi przyjrzeć się ludziom z tego przedsiębiorstwa budowlanego, poczynając od głównego projektanta, a na ostatnim ciurze kończąc.

Viola d'amore

Młoda dziewczyna zręcznie formuje maleńkie kanapki; na kęsach bułki, rogalików i razowego chleba rozgniatą jednym pociągnięciem stalowej łopatką masło, nakłada plasterki wędlin, skrawki sardynek, koreczki lub odrobinę lśniącego czarnego kawioru. Z wprawą garmazera komponuje przybrania z płatków cytryny, jajka, różnych jarzyn, garniruje sztukaterią z kremowego majonezu. Na kilku półmiskach z rosenthalowskiej porcelany rosną sterty mikroskopijnych arcydzieł, których zjedzenie zabierze znacznie mniej czasu niż ich przygotowanie.

Dzwonek telefonu odrywa dziewczynę od tego zajęcia.

– ...będą około siódmej – odpowiada komuś na drugim końcu przewodu – ...domyślałam się, czego potrzebujesz... dobrze – zgadza się bez entuzjazmu – możesz przyjść wcześniej...

Sprawdzając czas na antycznym zegarze, ustawionym na konsoli w małym hallu, wraca z powrotem do kuchni. Przygotowane przekąski, zapasy różnych trunków i stos nakryć zanosi na górę po wypolerowanych jak lustro schodach z czarnego dębu. Wreszcie może odwiązać fartuch i ściągnąć gumowe rękawiczki. Z niepokojem ogląda swoje piękne ręce; ale oględziny wypadają zadowolająco, skóra jest gładka, a perłowy lakier, pokrywający długie paznokcie, nie odprysnął w żadnym miejscu.

Ubiera się w czarny kostium z delikatnego aksamitu. W wycięciu gorsu pieni się biały żabot, pokryty bogatym ręcznym haftem, na przeguby dłoni opadają pyszne mankiety z takiej samej koronki.

Z przedpokoju dobiega słowo wypowiedziane niskim, męskim głosem:

– Viola d’amore! – po chwili powtórnie: – Viola d’amore! – i jeszcze raz pada nazwa starego instrumentu muzycznego.

Dziewczyna uśmiecha się do siebie i śpieszy na korytarz, w którym nikogo nie ma. Przekręca klucz i zwalnia łańcuch, zabezpieczający drzwi.

Do środka wchodzi ciemnowłosa, mocno zbudowany mężczyzna. To jego głos rozbrzmiewał przed chwilą tak wyraźnie we wnętrzu domu, chociaż przybysz stał na zewnątrz.

W grubych, dźwiękochłonnych poduchach, opatulających wejście, jest ukryty bardzo czuły mikrofon, dlatego też słowa wypowiedziane po tamtej stronie rozlegają się donośnie wewnątrz mieszkania.

– Kto wymyślił to kretyńskie hasło? – pyta przybyły zamiast powitania.

– Bankier, a któż by? Instrumenty muzyczne to jego hobby, więc stąd te skojarzenia. Ale sygnał nie gorszy niż inne i ładny...

– Z każdym dniem jesteś piękniejsza – przygląda się jej ze szczerym zachwytem.

– Pochlebca – mówi odbierając od niego płaszcz. – Usiłujesz usposobić mnie przychylnie – dodaje prowadząc go na piętro. Nie może jednak oprzeć się pokusie, aby nie rzucić przelotnego spojrzenia w ogromne lustro w ciężkiej, złoconej ramie, zawie-

szone w hallu.

– Wadera, w tobie jedyny ratunek! – apeluje gorąco przybyły, rozsiadając się w pokoju na górze; to imię stanowczo nie pasuje do jej wyglądu. Nie ma w niej nic drapieżnego. Szczupła, drobna, bardzo kształtna; ciężkie, złotopopielate włosy, upięte w węzeł na karku. Gęstwa niesfornych kędziorków otacza twarz, złocistą w karnacji, idealnie gładką, jak twarz dziecka. Również dziecięcy wyraz, trochę jakby zdumiony, mają oczy, bardzo błękitne, nieco nazbyt wypukłe, z tęczęwkami jak dwa kawałki bardzo niebieskiej porcelany.

Wadera, bujając stopą, z uwagą przygląda się refleksom światła na nosku modnego lakierka.

– Ile i na jak długo? – pyta rzeczowo, przenosząc na niego spojrzenie.

– Na jakieś... dwa tygodnie – cedzi powoli słowa, badając wzrokiem jej łagodną twarz, nieco przechyloną ku niemu. Chciałby w niej wyczytać wysokość sumy, którą mógłby wymienić. Mimo woli narasta w nim rozdrażnienie i niechęć do dziewczyny za to zachowanie, podkreślające, jak bardzo jest w tej chwili od niej uzależniony. – Dwieście tysięcy... – mruczy wreszcie, odwracając od niej głowę.

Zamiast odpowiedzi Wadera gwizdże przeciągle z wprawą łobuziaka. Znów na moment pogrąża się w kontemplacji swego lśniącego pantofelka.

– Rajfel – zaczyna wreszcie – wprawdzie to nie moja sprawa, ale podobno jesteś winien jednemu z gości sto tysięcy... Nie wspominałabym o tym, jeśli jednak mam zostać twoim wierzyicielem, sam rozumiesz!

– Jestem winien sto tysięcy Bankierowi, czyli Zakrzewskiemu – podkreśla to nazwisko z naciskiem. – Zresztą nie udawaj, że nie wiesz komu...

– Tylko Zakrzewskiemu? – pyta niedbale i strzepuje jakiś niewidoczny pyłek ze śnieżnego mankietu.

– Nie tylko – przyznaje tłumiąc w sobie złość, jaką wywołuje w nim ta natrętna ciekawość. – Dwieście tysięcy jestem winien Opatowi. Na tym kończy się lista moich długów, ty śliczny Harpagonie – próbuje zażartować. – Ale Opat to nic pilnego – do-

daje uspokajająco.

– To po co ci dwieście tysięcy? – bada dalej.

– Chcę się odkuć – uderza pięścią w stół.

– Właśnie dzisiaj? – krzywi się z powątpiewaniem.

– Właśnie dzisiaj! – przedrzeźnia ją tamten. – Przecież będą u was Anglicy...

– Jeżeli pożyczę ci te pieniądze, to nie w dolarach...

– Wymienię je u Bankiera... Zrozum, Wadera, gdybym miał w tej chwili inne możliwości, nie prosiłbym cię o pożyczkę... to piekielnie nieprzyjemnie być uzależnionym od nastroju takiej kobiety...

– Jakiej? – uśmiecha się, aż lśnią białe, równe zęby, a w policzkach pojawiają się dołeczki. Tylko oczy nie biorą udziału w tym uśmiechu, pozostają nieruchome, jak dwa kawałki nieprzejrzystego szkła.

– Pięknej, kapryśnej i... wyrachowanej – gasi jej uśmiech ostatnim słowem.

– Gdyby nie ta wada, nie miałbyś od kogo pożyczać – mówi z urazą. – Pisz pokwitowanie – podsuwa mu przybory do pisania. – Procent znasz?

– Nie chcesz procentu od wygranej? – dowiadyuje się Rajfel.

– Nie. To bardzo niepewny dochód. Zresztą nie mam zwyczaju pożyczać pieniędzy na takich warunkach.

– Gorzeńcowi pożyczasz – wypomina.

– Gorzeniec należy do stajni i... umie grać – odpowiada – natomiast ty nie umiesz, a to zasadnicza różnica.

– Wiesz, co ci powiem? – irytuje się Rajfel. – Twoja stajnia gra nieczysto...

– Bankier też gra nieczysto? – ostentacyjnie ziewa Wadera – a poza tym to nie jest m o j a stajnia... – milknie nagle, jakby za wiele powiedziała.

– Przecież to... szulerzy! – wybucha gwałtownie Rajfel.

– Zapamiętaj to sobie raz na zawsze! – spoglądają na niego dwa błękitne kawałki lodu. – Szulerzy tutaj nie b y w a j ą, lecz ludzie z towarzystwa!

– Oczywiście, ja jestem z najlepszego towarzystwa! – woła z udaną powagą, chcąc rozładować sytuację.

– ...po drugie – dziewczyna nie podejmuje jego tonu – jeżeli tak sądzisz, to po co tutaj przychodzisz?

– Też pytanie? – wpada jej w słowo. – Chcę chociaż popatrzeć na ciebie, dopóki nie będę dość bogaty, aby się z tobą ożenić. Mówię serio! Sądząc po procentach i opłatach, jakie bierzesz za użyczenie swego ekskluzywnego salonu dla osób z towarzystwa, jesteś piekielnie kosztowną istotą... Powiedz mi, dziewczyno, co ty robisz z tymi pieniędzmi? Aż tyle potrzebujesz na te szmatki? – muska palcami śnieżną koronkę jej mankietu.

– Na pewno nie wydaję ich na pokera lub baka – parska, ale już z uśmiechem.

Bierze od niego ćwiartkę papieru i podchodzi do masywnego baru z mahoniową, czerwono-brunatną boazerią, gdzie piętrzą się stosy przekąsek i baterie butelek. Z szuflady wyjmując kasetkę i podaje Rajflowi kilka starannie poukładanych paczek tysiącłotowych banknotów.

– Napijesz się? – Rajfel wskazuje butelkę „Napoleona”.

Dziewczyna przyzwala skinieniem głowy i napełnia dwa pękate kieliszki z malachitowego szkła. Unoszą je w górę, ale Wadera nie zdążyła wypić, ponieważ przez mikrofon znów pada nazwa starego instrumentu.

Rajfel, wsparty o krawędź baru, wolno sączy koniak, utkwivszy oczy w metalowej kasetce, której dziewczyna nie zdążyła schować po odliczeniu pożyczonych mu pieniędzy. Odruchowo gładzi dłonią chłodny metal podręcznej kasy i próbuje podważyć wieczko. Ustępuje bez oporu.

Zapomniała zamknąć? – dziwi się i zerka w głąb szkatułki, wypełnionej banknotami. Tłumi w sobie nagłą pokusę i jakby nie dowierzając sobie, z butelką w jednej i kieliszkiem w drugiej ręce, przenosi się na przeciwną stronę bufetu. Tak zastają go goście, których wprowadza Wadera.

– Cześć – mruczy Rajfel na widok Gorzeńca i przygląda się towarzyszącym tamtemu dwóm roslym mężczyznom; z dezaprobatą taksuje ich długie loki, aksamitne przyodziewki, jakieś frako-jubki i śnieżne żaboty, niewiele różniące się od koronek Wadery.

– Obudź się – podchodzi do niego dziewczyna – oto masz upragnionych Anglików.

– To mają być te zagraniczne kozaki? – z rozczarowaniem pyta Rajfel.

– Zagraniczne, zagraniczne, ty warszawski niedźwiadku – z pobłażaniem przyznaje dziewczyna.

Panowie zostają sobie przedstawieni i nawiązuje się banalna rozmowa, utykająca co chwilę, ponieważ Anglicy dysponują nader skromnym zapasem polszczyzny, natomiast Rajfel zupełnie nie zna angielskiego. Rolę tłumacza pełni Gorzeniec, ale jego możliwości są tak ograniczone, że tamci; mimo najlepszych chęci, niewiele z tego rozumieją.

Wadera z leciutkim uśmieszkiem obserwuje z boku te rozpaczliwe wysiłki, później proponuje Gorzeńcowi:

– Wyręczę cię. Idź na dół i poczekaj na resztę – jej płynna angielszczyzna budzi zachwyty kudłaczy.

Niebawem zjawia się jeszcze kilka kobiet i mężczyzn. Wszyscy ubrani bardzo starannie, w wieczorowych strojach.

Rajfel wyluskuje spośród przybyłych szczupłego mężczyznę o szpakowatych włosach, z głębokimi czołowymi zatokami. Pociąga go przez uchylone drzwi do sąsiedniego pokoju.

– Panie Zakrzewski, mam do wymiany dwieście tysięcy – zawiadamia tamtego. Jak zwykle przy takich okazjach wszczynają krótki, namiętny spór o cenę, po czym Rajfel szybko kapituluje.

– Dawaj pan – wzdycha. Szeleszczą banknoty. Zakrzewski podaje mu zwitek zielonych biletów z charakterystycznymi wizerunkami amerykańskich mężów stanu.

Gdy wracają do pozostałych, Wadera krąży pośród rozpartych w fotelach gości i pełniąc rolę tłumacza jednocześnie nie zapomina o alkoholach. Obaj dołączają do stołu, przy którym rozsiedli się zamorscy kudłacze.

Powściągliwi, elegancy panowie obmacują się czujnymi oczami, rozprawiają o niczym, sączą oszczędnie koniak. Przypominają psy, gdy na sztywnych łapach ostrożnie zbliżają się do siebie, aby przed walką rozpoznać siłę przeciwnika.

Już zarysowują się grupy. Wszyscy pragną spotkać się w grze z Anglikami, a przynajmniej z jednym z nich. Ale obaj goście

chęć grać tylko razem. Pozostali spoglądają na siebie znacząco, ale nie protestują.

Wreszcie na propozycję Gorzeńca pociągnięto losy i ostatecznie przy stole z cudzoziemcami zasiada Rajfel i Bankier.

Od tej chwili Wadera przestaje być niezbędną jako tłumacz; przy ustalaniu stawek Zakrzewski, kulawo znający angielski, a nawet Rajfel – potrafiący wymówić tylko sorry, very much i o key – porozumiewają się znakomicie.

Jeden z kudłatych – Rajfel zaczyna rozróżniać ich po deseniach koronki przy żabotach – rzuca na stół dwie nowe talie Piatnika. Pozostali panowie siedzą nieporuszeni, tylko Bankier wyjmując z kieszeni piatnikowski komplet jeszcze w firmowym opakowaniu, demonstruje go Anglikom i ostentacyjnie chowa. Zabawnie kalecząc język wyjaśnia, że w tym salonie obowiązuje zasada korzystania z kart, jakimi dysponuje mrs Wadera.

Dalszą wymianę zdań uprzedza dziewczyna; otwiera przed Anglikami duże, płaskie pudło, mieszczące kilkanaście zapieczętowanych w przejrzystym celofanie talii autentycznego Piatnika.

– Proszę – uśmiecha się do kudłatych Bankier – proszę wybierać!

Kudłacz z brukselską koronką wybiera cztery talie, jego kolega podaje Waderze funta.

Z początku gra toczy się leniwie. Panowie z namaszczeniem dobierają karty, licytują beznamiętnie, nonszalancko przerzucają do siebie szeleszczące, zielone banknoty. Grają jeszcze niewysoko, bardzo ostrożnie – tradycyjny rytuał rozpoznawania przeciwnika. Dopiero około północy gra zaczyna nabierać rumieńców, rosną stawki, rośnie tempo. Pochłania ich hazard. Towarzyszy temu tylko szmer rzucanych lub tasowanych kart – drapieżne ręce, drewniane twarze, płonące oczy.

W tej jakby naładowanej elektrycznością atmosferze tylko Wadera jest spokojna. Nieruchomo siedzi przy barze, od czasu do czasu podchodzi do stolików, zabiera puste naczynia i stawia świeżo napełnione kieliszki.

Nagle do pokoju wtargnął jeszcze jeden mężczyzna; ma ładną, smagłą twarz, ale jest w niej jakaś wulgarność, coś odpy-

chającego. Na jego widok Bankier strzela palcami, i zanim tamten zdążył się odezwać, Wadera sprząta ze stolików karty, a w kieszeniach graczy znikają pieniądze.

Teraz wewnątrz pokoju jest niczym więcej, tylko obszernym, stylowo urządzonej salonem, w którym odbywa się towarzyskie przyjęcie.

Część gości spaceruje lub stojąc zabawia się rozmową, inni obsiedli miękkie kanapki, dwie czwórki siedzą przy stolikach, grając w brydża. Gorzeniec rezyduje za barem, mieszając w mikserze cocktail, Wadera z Bankierem pełnią honory gospodarzy domu.

– Ci z państwa, którzy zaparkowali wozy obok nas, proszeni są o podanie numerów rejestracyjnych – żąda przybysz ze smagłą twarzą.

Otacza go kilka osób; szemrzają zaniepokojone głosy, brydżyści nieruchomieją z wachlarzykami kart w dłoniach.

– Na razie nic się nie stało – uspokaja przybyły. – Po prostu zatrzymał się bardzo blisko nas nie znany mi „Fiat”. Musimy odczekać, to wszystko.

– Proszę państwa! – Bankier klaszcze w dłonie – przyjęcie trwa! Nie ma powodu do paniki. Nasz lokal jest pewny, podjęliśmy tylko zwykłe środki ostrożności!

Oczami daje Waderze znak; dziewczyna bardzo spokojna i promiennie uśmiechnięta stara się rozładować napięcie.

Bankier ujmuje pod ramię urodziwego mężczyznę i podchodzi z nim do okna, zasłoniętego storą ze złocistego adamaszku.

– Opat, dlaczego płoszysz graczy? – pyta, lecz w jego tonie nie ma pretensji.

– Za Ivo Moreno pęta się szakal¹ – odpowiada Opat. – Poza tym w mieście od kilku dni straszne naloty. Milicja się wściekła, rozwalila bakarat Rudego i ruletę u Szambelana... węższą jak psy – przyglądza ciemne włosy; przy tym ruchu światło kinietów roznieca blask w staromodnym pierścieniu na jego serdecznym palcu. Wielokrotnie szlifowany kamień lśni, pulsuje

¹ Szakal w gwarze graczy – opanowany nałogiem hazardu człowiek, bez środków na ten cel, zdolny do nieobliczalnych czynów, gdy nie ma możliwości gry.

intensywną purpurą, niczym wielka kropla krwi.

– No, to cześć im, załatwili nam konkurencję – śmieje się Bankier. – Jakieś większe manko, mięso, skóra, materiały budowlane? – poważnie nagle.

– Gorzej... – zaczyna Opat.

– Szczegóły później – reflektuje się Bankier. – Zatrzymam stajnię po grze. Idź już i pilnuj, nasza rozmowa psuje im nastrój – wskazuje oczami graczy.

Gdy tylko Opat odchodzi, do Bankiera zbliża się tęgi mężczyzna w doskonałą skrojonym smokingu. Jego nalana, zużyta twarz nosi jeszcze ślady minionej urody – sprawia wrażenie podstarzałego amanta filmowego. Z masywną, grubo ciosaną sylwetką kontrastują dłonie; piękne, szczupłe, z długimi, mocnymi palcami. Gestykuluje nerwowo.

– Borys – szepcze do Bankiera, oblizując grube, wilgotne wargi pożycz mi... Czuję, że wygram z tymi domytymi hippiesami, jestem od nich lepszy – śmieje się, próbując nadać swej prośbie jak najbardziej swobodny ton.

Bankier chłodno odmawia.

– Mam kontrakt do Włoch. Za dwa miesiące gram w La Scali, rozumiesz? Będę cię mógł kupić razem z twoją stajnią... – wodniste oczy w tłustej twarzy płoną mu jak w gorączy.

– Ivo! dość mam z tobą kłopotu, wołałbym, abyś tu w ogóle nie przychodził...

– Obrażasz mnie – chmurzy się muzyk. Milknie na chwilę. Rozumie, że powinien uklonąć się i odejść, na zawsze opuścić kasyno. Jednak nie jest w stanie tego uczynić.

– Nie chciałem cię dotknąć, jestem zaniepokojony tym szakalem – łągodzi Bankier.

– Słuchaj! – Ivo milknie, widać, jak walczy ze sobą. – Słuchaj! – powtarza, i szybko: – Dam ci zastaw!

– Nie biorę fantów ani zastawów.

– Ten weźmiesz – z przekonaniem mówi Ivo. – Dam pod zastaw „Amatiego”.

Bankier nie wierzy własnym uszom, stara się opanować podniecenie. Jego twarz, jest w dalszym ciągu chłodna, bez wyrazu. Udaje głęboki namysł, aż niecierpliwość tamtego dochodzi do

stanu wrzenia. Wtedy cedzi powoli.

– Ostatecznie mogą je zobaczyć... Jeżeli to rzeczywiście „Amati”...

– Nie jestem oszustem – obrusza się muzyk. – Tylko ta pożyczka potrzebna jest zaraz...

Bankier w pełni docenia nadarżającą się okazję, jest jedyna i niepowtarzalna.

– Dobrze – zgadza się wreszcie. – Gorzeniec pojedzie po skrzypce i przywiezie je tutaj.

Jeszcze przez chwilę toczą targ, zanim ustalają sumę zastawu.

Opat odwołuje pogotowie. Wraz z ogólnym odprężeniem powraca atmosfera gry.

O drugiej po północy Rajfel jest jak w gorączce, karta idzie mu od początku wieczora. Wygrał już znaczną sumę i teraz przesuwa do banku stertę banknotów, które niedbale piętrzą się obok jego dłoni.

– ...para... dwie pary... trójka... dobieram... pas... beze mnie...

– Full! – Rajfel trzepie wachlarzykiem kart.

– Colour – mruczy kudłaty w żabocie z brukselskiej koronki.

Oszołomiony Rajfel nieprzytomnie mruga oczami, widząc, jak piramidę wymiętych banknotów zagarnia szeroka, pokryta piegami łapa Anglika; opanowuje się jednak natychmiast, zwilża gardło koniakiem i w następnej puli rzuca resztę pieniędzy. Podbija stawkę. Bank znowu puchnie i jak poprzednio kusi graczy.

Tym razem dostaje od razu dobrą kartę, ma w ręku kolor, nic nie dokupuje.

Bankier dobiera jedną kartę i zaraz potem stawia bardzo wysoko.

– Tylko sprawdzam! – warczy rozgorączkowany Rajfel, jest przeświadczony, że tamten bluffuje.

Zakrzewski z kamiennym spokojem pokazuje swoje karty. Ma pokera w pikach.

– Wypadam z gry – podnosi się Rajfel i odsuwa od siebie karty. – Żegnam panów – pochyła głowę i odchodzi od stolika.

– Napij się kieliszek – woła od baru Wadera.

– Brakuje mi nawet na kieliszek – wymownie klepie się po

kieszeniach. – Do tego ten lichwiarz – wskazuje oczami Bankiera – zdarł ze mnie skórę za walutę.

– Patrzyłam na ciebie, jak grasz – wolno mówi Wadera. – Dam ci dobrą radę, nie graj nigdy w pokera, w ogóle nie graj nigdy – zniża głos. – Jest taka kategoria ludzi, którzy zawsze będą przegrywać, ty do nich należysz. Umiejętność gry to nie tylko bluff, to talent...

– Będę grał – patrzy na nią. – To część mego życia i nie jestem pewien, czy nie najważniejsza!

– Proszę – Wadera podaje mu koniak. – Skąd ty weźmiesz na oddanie długów?

– Na pewno nie z kart – jednym haustem przełyka trunek i trąca paznokciem w pusty kieliszek. – Nie bój się, dziewczyno, o swoją forszę, będziesz ją miała!

– Nie boję się – mówi sucho. – My potrafimy bardzo skutecznie upomnieć się o swoje, ale żal mi ciebie, to dużo –pieniędzy – nalewa mu następną kolejkę. – Skąd je weźmiesz?

– Z pracy rąk, dziewczyno, z pracy rąk! – robi gest dłonią, rozprostowuje cienkie, muskularne palce.

– To upłynie ci na tym reszta życia... Co ty właściwie robisz?

– Uprawiam hazard pod różnymi postaciami – śmieje się beztrzesko – a szczególnie z wydziałem finansowym.

Rano zmęczenie zмага wreszcie graczy, wycisza namiętności; nagle oklapli, z mętym wzrokiem i pustką pod czaszką kolejno opuszczają salon gry. Na stołach pozostają talerzyki z niechlujnymi resztkami kunsztownych przekąsek, brudne kieliszki, piramidy niedopałków i rozsypany popiół. Pozostaje również sterta banknotów, które leżą teraz przed Bankierem.

Jest sino od dymu, unosi się woń perfum i potu. Pokój, jak gracze, jest brudny, nieporządny.

Wadera – pobladła ze zmęczenia – otwiera okna. Świeży powiew wiosennego powietrza wpada do pokoju, kręci firankami, przerzedza zawieszinę tytoniowego dymu. Dobiağa natrętny świergot wróblego stada, które obsiadło modrzewie w ogródku. W salonie poweselało.

Wadera zbiera szybko ze stolików i baru cały ten nocny bałagan. Bankier kończy liczenie pieniędzy, wstaje, przeciąga się.

– Ile pożyczylaś Rajflowi?

Dziewczyna wymienia sumę.

– Czy nie za dużo... – zastanawia się głośno.

– Tyle, ile kazałeś – dziewczyna wzrusza ramionami.

– Nie robię ci wyrzutów, tylko tak głośno myślę.

– To albo jakaś przebiegła sztuka, albo kompletny jelen. Aż przykro patrzeć, jak go preparujecie – stwierdza dobitnie.

– Coś zaobserwowałaś? – Bankier przygląda się jej z zainteresowaniem.

– Nic... tylko tak sobie głośno myślę – powtarza jego słowa, bo nagle przechodzi jej ochota, aby podzielić się z Bankierem opinią, jaką wyraził o nim Rajfel. Czuje coś na kształt złośliwego zadowolenia, że tamten przejrzał w nim szulera.

Wracają Opat i Gorzeniec po wyprawieniu ostatnich gości.

– Siadajcie – rozkazuje Bankier. – Wadera! – woła. – Daj coś do picia i też siadaj. Mów, Opat, o co chodzi?

– Historia jest krótka, ale przykra. Pod Warszawą rozbito bank...

– Głupie kawały – ziewa Bankier.

– ...nie w ruletę ani w baka, tylko b a n k narodowy! Rąbnięto coś piętnaście milionów... Milicja szaleje, szuka tych facetów i rozwała kasyno po kasynie. Chcą za wszelką cenę ująć tych milionerów i oczywiście odebrać pieniądze.

– Znają serie banknotów? – niepokoi się Bankier.

– Chyba znają, ale nie o to chodzi...

– Dowiedz się jednak – żąda szef. – A przede wszystkim jeszcze raz zajmij się źródłami dochodów naszych graczy, tego nigdy nie za wiele, a propos, czym zajmuje się Rajfel?

– Ma warsztat samochodowy.

– Nawet jeżeli nie są im znane serie tych pieniędzy, to będą tropili takich, co dużo wydają – wtrąca Gorzeniec. – A jak można w ciągu minuty najwięcej wydać? W baka, w ruletę, w pokera, więc nie ma się co łudzić. Jeżeli milicja nie złapie szybko tych od banku, przyjdą wielkie akcje i możemy trafić do sieci.

– A za muzykiem włóczy się szakal – przypomina Opat. – Taki strup, taka zaraza, gotowa naprowadzić nam gliny. Wystarczy jedna wpadka i nasze kasyno nie utrzyma się w swojej

klasie. Odplyną nadziani gracze. Nikt przecież nie lubi, gdy go legitymują...

– Oni mają rację – dorzuca milcząca dotychczas Wadera. – Tak było z Szambelanem. Przypomnij sobie! Niedawno jeszcze lokal o dziewiczej opinii, a teraz? Szambelan nie ma stałego kąta, na każdą grę zmienia budę, a i tak ciągle ma na karku milicję. A kto do niego przychodzi? Drobne szulerki, jacyś kanciarze, stado golców i szakali, oraz... wywiadowcy z komisariatu. Dziękuję za taki styl.

– Jeśli już mam mieć do czynienia z tajniakami, uchowaj Boże, to niech będą ci z komisariatu. W tej dziedzinie nie mam wielkich ambicji – śmieje się Opat.

– Po prostu Szambelan ma złą passę – mruczy Bankier.

– Nie! To brak umiaru i zwykła głupota – ucina Opat.

– Będziemy mieli kolosalne straty – wzdycha Bankier. – Ale w tym, co mówicie, jest racja... Nie ma innego wyjścia, trzeba przeczekać. Opat, odwołasz gry i hasła. Bierzymy urlop, dopóki nie złapią tych bankowców albo dopóki milicja się nie zniechęci.

– To długo nie potrwa. Przyduszą drobnych przedsiębiorców, wsolą im grzywny. Dojdą do wniosku, że miasto z kasyn oczyścili i dadzą spokój. Już nieraz tak było – wtrąca Gorzeniec.

– Opat, zrób porządek z szakalem – przypomina Bankier.

– Załatwione – kiwa głową tamten. – Umówisz mi żuli – zwraca się do Gorzeńca.

Opat z Gorzeńcem wychodzą. Bankier pomaga Waderze zanieść tace z naczyniami. Oparty o framugę kuchennych drzwi obserwuje, jak dziewczyna zabiera się do zmywania, naciągając na ręce przezroczyste rękawiczki. – Jak się wyśpisz, przyniesiesz mi klucze – decyduje. – Cholernie jestem zmęczony i nie chce mi się na ciebie czekać.

Zegna ją ruchem dłoni.

Wadera skończyła porządki, zdejmując wreszcie aksamitny kostium i strojną bluzkę. Zastanawia się, czy wziąć kąpiel, ale jest tak znużona, że nie ma na nic ochoty. Przebiera się i tylko kawałkiem waty przeciera twarz, zmywając wieczorny makijaż. Bez szminki, z podkrążonymi bezsennością oczami, wygląda na

bezradną, nieco wystraszoną dziewczynkę.

Na ulicy poranny ruch i szum pojazdów dociera do niej jak przez watę. W domu zsuwa z ramion okrycie i wali się na tapczan. Chce przez chwilę choćby odpocząć, a później się rozebrać. Usypia jednak natychmiast kamiennym snem.

Budzi ją telefon od Bankiera; niepokoi się, dlaczego dotychczas nie dała znaku życia. Obawia się, czy nie przytrafiło jej się coś złego. Zdziwiona jego przesadnym strachem, spogląda na zegarek. Dochodzi siódma.

– Prześpisz życie! – z ulgą śmieje się tamten. – Pośpiesz się, bo o ósmej muszę wyjść.

Dziewczyna biegnie do łazienki, odkręca kran i chluszcze do wanny dużą porcję płynu kąpielowego. Zanurzając się w puszysty kołnierz piany z przyjemnością wdycha delikatny zapach igliwia.

Pachnie lasem – myśli i nagle bardzo tęskni za swobodą; pójść gęstym młodniakiem, wonnym rozgrzaną w słońcu żywicą, świerkowe łapki chłuszczą po rękach, po twarzy... albo rano iść na łąkę, kiedy trawa jest srebrzysta od rosy, a bose nogi zostawiają ciemną smugę na soczystej zieleni... Przecież mam wolne – przypomina sobie – odwiedzę moich – myśli o rodzicach, mieszkających w małej wiosce, położonej wśród lasów nad Narwią.

Nawiedzają ją wyrzuty sumienia. Ci starzy ludzie ufają jej i wierzą święcie, że ich córka pilnie studiuje już drugi rok; najpierw w Gdańsku, a teraz w Warszawie.

Uczy się – myśli o sobie z niechęcią – już zna wszystkie, kanty w pokerze i bakaracie, potrafi nawet prowadzić ruletę... Służąca szulerów! – mówi głośno sama do siebie.

Odnosi Bankierowi klucze i nagle zdaje sobie sprawę, że ma bardzo dużo czasu. Teraz nie musi się nigdzie śpieszyć i nie bardzo wie, co z tym czasem ma zrobić.

Idzie bez celu, prześlizguje się wzrokiem po wystawach sklepów, po twarzach przechodniów, mija oświetlone kawiarnie, z bezwiedną zazdrością zagląda do ogródków pod markizami, podpatruje pochylone ku sobie pary i czuje się odgradzona niewidzialną barierą od tego kipiącego tłumu. Zdaje sobie nagle

sprawę, jak bardzo jest samotna w tym wielkim mieście, gdzie nawet nie ma do kogo zadzwonić, bo przecież jej znajomi, wszyscy bliżej jej znani ludzie – to gracze!

Napiję się kawy, a później pójdę na długi spacer – postanawia, pragnąc otrząsnąć się z męczącego nastroju. I zaraz czuje się raźniej.

Na placu Trzech Krzyży wchodzi do „Antycznej”: owiewa ją zapach świeżo parzonej kawy i gwar głosów. Nie ma wolnego stolika – natomiast spostrzega znajomą twarz w końcu sali. Chce się natychmiast wycofać, ale jest już za późno, bo tamten również ją zauważył. Uśmiecha się i na powitanie unosi dłoń, mówi coś, co tonie w szmerze rozmów, potem przeciska się ku niej.

Chciało ci się ludzi, no, to masz – myśli ze złością. Ostatnią rzeczą, na jaką dziś ma ochotę, jest towarzystwo tego człowieka. Ale witając go zachowuje się tak, jak gdyby jego osoba była jedyną, którą pragnie właśnie zobaczyć.

Tamten jest zachwycony; chce sprawić jak najlepsze wrażenie. Wciąga brzuch, wypina tłustą pierś i wysoko unosi głowę, naciągając nieco rozlany podbródek.

Mimo irytacji Wadera ze złośliwym zadowoleniem obserwuje jego wysiłki.

Stary, wyleniały kokiet – ocenia go bezlitośnie.

– A już uważałem ten wieczór za stracony – grucha Ivo Moreno, robiąc aluzję do wieczornej rulety, która zastała odwołana. Porozumiewawczo błyska w uśmiechu rzędem równiutkich, perłowych zębów.

A gdyby tak go zapytać, ile też zapłacił za tę artystyczną szczękę, ciekawa jestem, jakby się zachował? – bawi się tą myślą dziewczyna, zdając sobie sprawę, że nigdy nie zdobędzie się na podobną impertynencję wobec tego podstarzałego dandysa. To jest hazardzista, wysoko notowany w ogólnym bilansie kasyna.

– Dopisało mi jednak szczęście, bo przecież ciebie spotkałem! – znów prezentuje w uśmiechu swe nienaturalnie doskonałe zęby.

O Boże – myśli dziewczyna – jak długo będzie mnie dręczył rozciąganiem tej trupiej paszczęki? Cały czas szuka sposobu

uwolnienia się od natręta, ale jak to zrobić, aby faceta nie obrazić?

Zadanie wprost niewykonalne, bo nudziarz należy do gatunku uporczywych, wydaje mu się, że jest interesujący, a w niewzruszonej pewności siebie utwierdza go dobrze wypchany portfel.

– Spędzisz ze mną wieczór – tyka ją bezceremonialnie, obyczajem panującym w kasynie. – A ja już się postaram, aby tak urocza dziewczyna nie nudziła się ze starszym panem – ujmuje jej rękę i składa na niej przeciągły pocałunek. Przy tym wyrażnie oczekuje zaprzeczenia na swe ostatnie stwierdzenie.

Wadera powstrzymuje odruch niechęci i nie wrywa dłoni, ale już nie może się zdobyć na powiedzenie mu nawet zdawkowego komplementu.

Co będzie dalej – myśli w popłochu – jeżeli po kwadransie już się ślini. Skończy się na tym, że nie wytrzymam i dam mu po pysku, diabli mnie tu przynieśli! Postanawia trzymać go na większy dystans, więc kwituje jego karesy milczeniem.

– Jesteś bardzo wytworna – ciągnie tamten niezrażony jej chłodem i bardzo z siebie rad. – Nieraz obserwuję cię w kasynie. Masz styl wielkiej damy, to niezmiernie rzadkie u współczesnych młodych dziewcząt. A ja mam ogromną słabość do kobiet z klasą!

Trzeba mu dać mówić – postanawia Wadera.

– Jest mi przyjemnie, gdy stwierdza to tak subtelny znawca, jak pan – odpala bez namysłu i zaraz niepokoi się, czy to pochlebstwo nie jest zbyt grube. Jej obawy są jednak płonne.

Ivo Moreno promienieje i dalej głądzi o swym wyrafinowanym smaku, gdy nagle jego imponujące uzębienie kryje się wśród wydatnych warg; na twarzy odbija się niepokój.

Wadera spogląda w kierunku, w którym patrzy tamten. W szatni pojawił się szakal; skorzystał z uwagi, jaką obdarzył go muzyk, i przesadnie się skłonił.

– Wydawało mi się, że go wreszcie zgubiłem – szepcze spłoszony Moreno. – Wadera, nie chciałem cię narazić...

– To już nie ma znaczenia, on mnie zna – wzdycha. W innej sytuacji byłaby wściekła, ale teraz czuje nieomal zadowolenie z

obecności tamtego człowieka. Sposób na natręta? – drugi natręt! Okropny Ivo – medytuje – będzie się musiał rozproszyć na szakala i przestanie mnie obśliniać.

Szakal przeciska się do nich.

– Wa... proszę pani – poprawia się – jedno słówko...

– Proszę natychmiast odejść! – huczy zdesperowany muzyk. Zbity z tropu szakal wycofuje się do drzwi.

– Z nimi to tylko tak trzeba – nadyma się Moreno.

– Proszę się nie łudzić! On będzie nas śledził, jest pewien, że dzisiaj jest gra – ocenia Wadera. – Ivo! dlaczego w ogóle wprowadził go pan do kasyna?

– To był solidny fachowiec, miał niezłe dochody... – tłumaczy się muzyk. – Nie przypuszczałem, że przegra wszystko i tak bez reszty pochłonie go hazard... Taki brak umiaru to choroba!

I to mówi facet, który zastawił „Amatiego” – myśli z przekąsem Wadera.

– Co robimy? – Moreno patrzy na nią bezradnie.

Dziewczyna zastanawia się; nie może teraz jechać do domu, bo ten groźny maniak gotów ją śledzić. Sama zaplątała się w tę niebezpieczną sytuację – wyrzuca sobie. – Przecież Opat ostrzegął przed szakalem, który przyczepił się do muzyka. A co, u diabła, robi Opat? Powinna go zawiadomić, aby zajął się szakalem, lecz telefon jest w ciasnej szatni, a tamten siedzi zbyt blisko.

– Obiecał mi pan miły wieczór! Słowo się rzekło, Ivo! – przypomina muzykowi.

– Oczywiście! – woła z zapalem Moreno – tylko co zrobimy z tym? – zniża głos, wskazując ruchem głowy w stronę szatni.

– Proszę się nie martwić, ja to załatwię.

Moreno z widoczną ulgą oddaje jej inicjatywę.

Szakal rejestruje ich każdy gest; widzi, jak muzyk płaci za kawę, więc również wstaje i wychodzi z kawiarni. Czeką na ulicy, lecz nie zaczepia ich, trzyma się w przyzwoitym oddaleniu.

Przystają na postoju taksówek. Jak zwykle w tym ruchliwym punkcie, brakuje ich i teraz. Moreno daje rozpaczliwe znaki wszystkim mijającym ich wozom; konspiracyjnym szeptem proponuje dziewczynie kilka nocnych lokali.

– „Bristol” – Wadera specjalnie głośno wymienia nazwę restauracji, tak aby usłyszał to szakal.

Usłyszał. Gdy w hallu dziewczyna poprawia makijaż, widzi go w lustrze, jak oddaje swój płaszcz w szatni.

Tamten dostrzega odbite w tafli zwierciadła uważne spojrzenie Wadery, waha się chwilę i robi ruch, jak gdyby chciał do niej podejść, ale właśnie muzyk ujmuje ją pod rękę i prowadzi do sali. Siadają w pobliżu orkiestry, szakal lokuje się przy barze. Widzą się wzajemnie przez rozsunięte szerokie drzwi.

– Niech pan lepiej coś zamówi! – przerywa dziewczyna wskazując oczami kelnera, stojącego opodal ich stolika. – Już trzeci raz bezskutecznie się panu kłania.

Ivo Moreno z pretensjonalną łaskawością wita kelnera i podaje kartę dań Waderze.

Wyjątkowo wstrętny facet – Wadera nie może darować mu sposobu bycia. Czeka, popamiętasz ty tę kolację, na zawsze odechce ci się mego towarzystwa – myśli ze złośliwą uciechą. Przebiega oczami po cenach.

W kasynie znajdują różne przywary bywalców, a Moreno słynie ze skąpstwa.

– Czarny kawior, langusta... – wylicza z namysłem najdroższe przekąski.

– Kochanie! – interweniuje muzyk, niemal wydzierając z jej rąk kartę. – Zarówno homar, jak ostrygi i langusta są z konserwy, to strasznie psuje żołądek.

– Mam bardzo zdrowy żołądek – zapewnia Wadera.

Kelner, jak i dwóch młodych mężczyzn, siedzących przy sąsiednim stoliku, słyszą ten spór i śmieją się w kułak.

– Tek... – mlaska Ivo z wydłużoną twarzą – a może na początek jakąś drobną przekąseczkę, na przykład śledzik w śmietanie i do tego czysta zimna wódeczka? – rozpaczliwie broni swego portfela.

– Nie podajemy czystej – informuje kelner.

– Dla pana śledzik i setka najtańszej wódki, jaką macie – żąda dziewczyna. – A dla mnie... – dyktuje kilka najdroższych dań. – Do picia? – niby się namyśla – koniak... „Napoleon”...

– Jeden koniak – głośno notuje kelner.

– Butelkę, proszę pana – prostuje uśmiechając się słodko. – Całą butelkę!

– „Napoleona” mam w domu, po co mamy przepłacać – walczy Moreno.

– Wypijemy i tamten – oświadcza z pogodą.

Złamany muzyk prawie zapomina o szakalu. Bez apetytu rozgrzebuje swojego śledzia i oszczędnie upija po małym łyku jarzębiak. Patrzy z cierpieniem, jak Wadera próbuje kolejną przystawkę i w myśli podlicza cenę tego, co znajduje się na stole. Z początku postanawia ratować, co się da, i spartańsko odmawia sobie koniaku oraz delikatesów. Wymaga to nie lada samozaparcia, ponieważ jest bardzo łakomy? Ale widząc, jak dziewczyna dziobie niczym ptaszek po kilka kęsów z każdego dania, dochodzi do wniosku, że i tak za to wszystko trzeba będzie zapłacić, więc przynajmniej niech się nie zmarnuje. I obyczajem skąpców natychmiast wpada w drugą skrajność.

– Żyje się raz... – nuci i rzuca się łapczywie na homara. Zaraz też poprawia mu się humor.

Zagrała orkiestra. Przed Waderą gnie się w ukłonie szakal. Dziewczyna uprzedza protest partnera i schodzi z tamtym na parkiet.

– Ja mam pieniądze, mogę pokazać... – szepcze jej gorączkowo w ucho.

– Na mieście straszne naloty, Bankier zlikwidował gry – przekonuje go.

Szakal nie wierzy, odprowadza dziewczynę na miejsce i powraca do baru.

Wadera po raz trzeci próbuje dodzwonić się do Opata, lecz telefon w jego domu nie odpowiada. Wreszcie łapie Bankiera i przedstawia mu sytuację. Ten obiecuje pomoc.

Pobyty w lokalu staje się coraz bardziej kłopotliwy. Moreno podniecony alkoholem pragnie natychmiast zrekompensować sobie wydatki zainwestowane w kolację. Dziewczyna z tajoną wściekłością powściąga jego niewybredne karesy.

Jak ośmiornica – myśli strząsając jego piękną dłoń z dekoltu, ale zaraz te natrętne, szczuple palce wiją się na jej udzie.

– Zatańczmy – nie może już nawet zdobyć się na uśmiech.

Moreno podrywa się ochoczo. Właściwie nie interesuje go tańiec, tylko chce być blisko dziewczyny; wciska jej smukłe ciało w swój obfity brzuch. Czerwony z podniecenia dyszy jej w twarz; spocony, tłusty policzek lepi się do jej włosów.

Nie wytrzymam – myśli z rozpaczą dziewczyna. To spasione cielsko przyprawia ją o mdłości. Trzeba go upić – postanawia i gdy tylko siadają, nalewa koniak.

Z początku Moreno opornie poddaje się jej zabiegom, ale po kilku kieliszkach coraz chętniej wypija dalsze, zapominając o kosztach.

Skutki nie dają na siebie długo czekać. Po chwilowym ożywieniu muzyk przygasa, flaczeje. Powieki mimo wysiłków coraz częściej opadają mu na zmętniałe oczy.

– Zaraz pójdziemy do łóżeczka... – bełkocze jeszcze, usiłując przytulić się do dziewczyny.

Przed Waderą kłania się młody człowiek od sąsiedniego stolika; przez cały wieczór obserwował jej zmagania z partnerem. Dziewczyna waha się, spogląda na Moreno.

– Zatańcz sobie – przyzwala muzyk. – A ja ureguluję... ep – dalsze słowa toną w czkawce.

– Ależ go pani dręczy – mówi jej tancerz, gdy znaleźli się na parkiecie. – Co teraz pani z nim zrobi?

– Odeślę do domu – uśmiecha się dziewczyna. Czuje wdzięczność dla tego przystojnego chłopca, że chociaż na chwilę uwolnił ją od muzyka. Trochę odurzona alkoholem spostrzega wszystko ostrzej. Bliskość tego młodego mężczyzny sprawia jej przyjemność; dotyk szerokiej piersi i kształt muskularnego barku, na którym trzyma dłoń.

– I po co się pani z takim zadaje? – w jego głosie brzmi naga i wyrzut. – Przecież to wstrętny typ...

– Ma pan rację. Byłam lekkomyślna – przyznaje z westchnieniem.

– A tamten to kto? – wskazuje oczami szakala przy barze.

– Pijak.

Z pewnym trudem, przy pomocy portiera, udaje jej się wyeksponować rozczarowanego muzyka do domu, lecz szakal pozostaje. Nie rezygnuje z obserwacji, liczy widocznie na jej powrót

do kasyna.

Wadera znów dzwoni do Bankiera. Potem nie wraca już na salę, tylko siada w kącie przy barze. Czuje na sobie spojrzenie chłopca, z którym tańczyła, i sprawia jej to wielką przyjemność, ale w tej chwili jego zainteresowanie jest kłopotliwe. Dochodzi druga. Szakal niezmiennie trwa po drugiej stronie baru; z tajoną wściekłością obserwuje dziewczynę, sączącą sok pomarańczowy.

Znów rozlegają się dźwięki muzyki i z głębi sali zmierza w kierunku dziewczyny młody mężczyzna. W tym samym momencie w drzwiach hallu pojawia się i zaraz znika Gorzeniec. Ona dostrzega go natychmiast, rusza od baru.

Tymczasem młody mężczyzna tylko pozdrawia ją lekkim skinieniem głowy i nie zatrzymując się mija bar. Dziewczyna doznaje uczucia ulgi; jego towarzystwo nie skomplikuje opuszczenia lokalu, jednocześnie przykro jej. Zainteresowania starczyło na jeden taniec – myśli z goryczą.

Na ulicy dogania ją szakal. Ponieważ – zgodnie z instrukcją Bankiera – idzie w stronę ślimaka, prowadzącego na Powiśle, tamten, ośmielony panującym mrokiem i pustką, podbiega do niej i silnie chwyta za ramię.

Ruszyła przed siebie, chcąc go odciągnąć dalej od Karowej, ale tamten brutalnie zatrzymuje ją na miejscu.

– Słuchaj, ty... – pada wulgarnie określenie. – Ja was wykończę, tak jak wy wykańczacie mnie, a ciebie pierwszą, zaraz... – cedzi nieprzytomnie, podniecony alkoholem i nieprzepartym pragnieniem gry. – Mam pieniądze... nie są gorsze niż innych, słyszysz?! – krzyczy i wymierza jej policzek. Zdążyła uchylić głowę, cios trafia ją boleśnie w ramię, zatacza się, usiłując odzyskać równowagę.

– Ty! damski bokser – słyszy znajomy głos i w tej samej chwili mężczyzna, z którym tańczyła, bije szakala w twarz.

– Psi pomocie... ja ciebie... – chrypi tamten i z pochyloną głową, z odstawionymi od krępego tułowia dużymi rękami, naciera na niespodziewanego przeciwnika.

Wadera nieruchomieje z przerażenia, głos więźnie jej w krtań. On go zabije! – myśli. Wydaje jej się, że wysmukły chłopak

nie ma żadnej szansy wobec przewagi tamtego. On go zabije! Krzyżeć? Gdzie są żule Opata? – pod czaszką mknie oszalały film.

Nawet nie zauważyła, jak to się stało: zdawało się, że młody mężczyzna nie zrobił żadnego ruchu. A jednak zwaliste cielsko szakala z głuchym łoskotem, niczym worek z piaskiem, legło na chodniku z rozkrzyżowanymi ramionami. Młody chłopak stoi jak poprzednio swobodnie, nieco niedbale.

– Myślę, że trochę ostygł – mruczy i pochyla się nad leżącym. Dokładnie obmacuje mu głowę. Szakal jęczy, porusza się, a później dźwiga na rękę. – Zabiłeś mnie – kwili, nie zdradzając już żadnej ochoty do bójki.

– Uuu, chłopie, ale masz rzut! – do młodego mężczyzny podchodzi nieznajomy, ciemnowłosy chłopak. – Widziałem całą imprezę i myślałem, że będę potrzebny... Klasa światowa, powiedziałbym... – gwizdże z uznaniem, a później bystro przygląda się zwycięzcy. – Oczywiście! – wykrzykuje – Piotr Horwat, zielony pas... – w jego głosie brzmi zachwyt. – Ale trafiła pani na obrońcę – zwraca się tym samym tonem do Wadery – przecież to mistrz światowej klasy, olimpijski medalista! – aż się zachłystuje z podziwu.

– Uprawia pan tę dyscyplinę? – zagaduje Horwat nieco skrepowany pochwałami.

– Trochę znam się na tym – kiwa głową chłopak. – Jestem pańskim wiernym kibicem, ale nie chciałbym się znaleźć w roli przeciwnika... Czerep ma cały? – wskazuje wciąż siedzącego szakala. – Taki bohater to nawet padać nie umie...

– Uważałem, nic mu nie będzie – orzeka Horwat.

Od strony ślimaka nadbiega trzech mężczyzn.

– Pomogę ich załatwić – zgłasza swą solidarność kibic i staje obok Horwata.

Ale tamci nie zdradzają żadnych złych zamiarów, jeden z nich kłania się lekko.

– Widzieli, jak mu pan spuścił parę. Przyda mu się. Zawsze, jak się urznie, to pajacuje, wreszcie trafił na kosę! Piękny wyrzut, koleś, ani mowy! Szacunek, panowie, my go pozbieramy – pochylają się nad szakalem. – Wstawaj, wietrzna ospo...

Pojękując, dźwiga się przy ich pomocy.

– Co, nie na swoich stójkach jesteś? No, rozgarnij się i podziękuj panu, że na tretuarze zębów, nie musisz szukać – podtrzymując go wloką w stronę ślimaka.

– Uszanowanie – mruczy kibic i rozplywa się w mroku. Nie odchodzi jednak daleko, śpieszy za tamtymi, kryjąc się w cieniu filarów. Przystaje i nasłuchuje nierównego tupotu kroków tej dziwnie uprzejmej trójki przyjaciół, prowadzącej opierającego się i podpitego faceta.

– Czego chcecie, odczepcie się ode mnie – opędza się szakal, wleczony po schodach, prowadzących w dół skarpy.

– Zamknij dziób – warczy uprzejmy. – Wstępny wycisk dostałeś, sam mistrz świata cię spreparował.

– Niewłaściwie podskoczyłem – pojednawczo przyznaje szakal. – Ale wam nie jestem dłużny nic, czego chcecie?

– Wyjąć ci oczy, ten największy skarb człowieka – cedzi uprzejmy. W jego dłoni błyska żyletka.

– Panowie, co wy?... – szakal głośno przelyka ślinę. – Nie żartujcie... – bełkoce ogarnięty śmiertelną trwogą, bo dwóch żuli wykręca mu ramiona, a trzeci przybliży ostrze żyletki tuż do powiek. Szakal nieruchomieje, boi się poruszyć głową, żeby nie otrzeć się o złowrogi nożyk.

Kibic rusza ze swojej kryjówki, ale zatrzymuje się wpół kroku, bo tamci uwalniają ofiarę z uścisku. Uprzejmy chowa żyletkę i mówi coś, czego kibic nie może dosłyszeć.

– ...to jest jedyne i ostatnie ostrzeżenie, następnym razem stracisz patrzalki! A teraz sznuruj! – popycha go silnie, aż szakal stacza się po stromych schodach, chwytając się jednak za poręcz i najszybciej, jak potrafi, sady wielkimi susami, nie oglądając się za siebie.

Trójka dręczycieli w milczeniu spogląda za uciekającym; gdy cichną jego kroki i oni oddalają się w kierunku ulicy Dobrej. Tymczasem Wadera z Horwatem pośpiesznie odchodzą od miejsca zajścia. Skręcają w małą uliczkę przy hotelu Europejskim, rozglądając się za taksówką. Postój jest pusty.

– Miałem wycucie, aby wyjść za panią – przerywa milczenie Horwat. – Ten facet od początku wyglądał niewyraźnie. Upo-

rczywie obserwował panią przez cały wieczór. Byłem przekonany, że to się źle skończy...

– To dlaczego nie podszedł pan do mnie, gdy siedziałam przy barze? – Wadera chce przerwać jego wynurzenia.

– Bo pani wyraźnie sobie tego nie życzyła, młoda kobieto! – podkreśla z naciskiem.

Dziewczyna milknie. Dotychczas nie zdawała sobie sprawy ze swego postępowania tego wieczoru.

– Jest pan groźnym człowiekiem – robi aluzję do jego umiejętności, chcąc skierować rozmowę na mniej kłopotliwy dla niej temat.

– Nie atakuj, dopóki nie jesteś zaatakowany – Horwat wygłasza starą dewizę zapaśników.

– Dziękuję panu – lekko ściska mu rękę. Jest wdzięczna, że napaść na nią potraktował jak atak na siebie.

– Kto to jest? – przygląda się badawczo dziewczynie.

– Pijak. Nieznajomy pijak – wzrusza ramionami, nie patrząc na niego.

Horwat ujmuje dłonią jej twarz i odwraca ku sobie, tak aby musiała spojrzeć mu w oczy. Waży jakieś pytanie, ale go nie zadaje.

– Nie uprawiam profesji, o którą pan mnie posądza – uśmiecha się do niego.

– Nic takiego nie pomyślałem – mruczy speszony, bowiem dziewczyna przejrzała jego myśli.

– Może mnie pan zaprosi do siebie – proponuje Wadera widząc nadjeżdżającą taksówkę. – Okropnie nie mam ochoty zostać teraz sama... Kolekcja motyli, płytoteka lub znaczki pocztowe niekonieczne...

– „Napoleona” brak – oświadczają. – Jest tylko jarzębiak.

– Jarzębiak też niekonieczny.

– Niekłopotliwa z pani dziewczyna – z przekąsem mówi Horwat. – Proszę! – otwiera przed nią drzwiczki samochodu.

Dziewczynie robi się przykro. Zabolął ją ten lekceważący ton. Nic jednak nie mówi. Za wszelką cenę nie chce pozostać teraz sama.

Horwat mieszka na dziesiątym piętrze, w dużym bloku, nie-

daleko ronda Waszyngtona. Jedna ściana przestronnego pokoju jest ze szkła. Naprzeciw okna stoi rajzbret z przypiętą pine-skami kalką techniczną, z zarysem konturów jakiejś budowli. Wokół walają się kartony, na których powtarza się rysunek owego budynku w różnych wariantach. Podobne kartony zaścielają prosty kreślarski stół; leżą na nim pastele, farby, kolorowe mazaki, kredki, stoją butelki z tuszem.

– Grafik? – zagaduje Wadera. Bardzo ciekawi ją to wnętrze, nigdy jeszcze nie widziała pracowni grafika lub malarza.

– Architekt – wyjaśnia.

– Podobasz mi się! – mówi niespodziewanie z rozbijającą szczerością.

Pochlebia mu to wyznanie, trochę naiwny ton i ten zupełny brak kokieterii.

– Jako architekt czy jako olimpijczyk? – uśmiecha się pobłaźliwie.

– Tak, w ogóle... – trochę się peszy dziewczyna.

Później, leżąc obok niej, czuje coś jak rozczarowanie i lekką niechęć do niej, że tak zwyczajnie, bez żadnej gry, znalazła się przy nim w łóżku. Nawet nie usiłowała stworzyć pozorów oporu czy chociaż skrupułów.

Pałac w milczeniu papierosa obserwuje w półmroku jej twarz. O czym też ona myśli – zastanawia się leniwie. Czy takie stworzenie w ogóle myśli? Żyje to jak motyl...

– Lubisz takie przygody? – przerywa ciszę i podaje jej kieliszek.

Unosi się, wspiera na nagim ramieniu, jasne, rozburzone włosy odrzuca na plecy – marudzi zbierając je w węzeł na karku. Potem wpatruje się w niego długo, natrętnie. Jednak jej oczy nie mają teraz żadnego wyrazu, przypominają dwa kawałki bardzo niebieskiego i bardzo błyszczącego szkła.

Bezmyślna twarz – ocenia Horwat – ale piękna.

– Nie bardziej od ciebie – odpowiada wreszcie na jego pytanie, niedbale, zdawkowo. Przykro jej, że nawet nie zapytał, jak się nazywa.

– Często ci się to zdarza? – jest zły na siebie, zachowuje się głupio, zadając takie pytania, ale coraz bardziej drażni go jej

nonszalancja.

– Dość rzadko spotykam mistrzów judo – śmieje się z przyzorem.

Horwat budzi się koło południa; uprzytamnia sobie, że jest niedziela i może wylegiwać się do woli. Zaraz zjawia się wspomnienie ubiegłego wieczoru.

Przywołuje obraz kobiety poznanej w knajpie. Co to znaczy piękna buzia i zgrabny kuperek – medytuje, siadając na tapczanie – zaraz się z człowieka robi rycerz. Ale gdzie ona jest? Rozgląda się po pokoju.

Przez szpary w zasłonach przesączają się złote strzały słonecznego blasku. Gdzie się podziała ta dziewczyna? Nie wie nawet, jak jej na imię.

Wyskakuje z posłania, zagląda do łazienki, do kuchni – po dziewczynie nie ma śladu. O jej niedawnej obecności świadczą tylko sprzątnięte i umyte naczynia.

Wyszła, gdy spałem – stwierdza i odruchowo sięga do kieszeni marynarki. Pod palcami wyczuwa znajomą gładkość skóry portfela i wstydzi się tego gestu.

W kuchni, na stole, znajduje kartkę przyciśniętą butelką od mleka. Pisała:

Niekiedy ranek bywa mniej przyjemny od nocy, bo noc, daje inną barwę sprawom, które dzieją się między ludźmi. Dlatego pragnę oszczędzić nam rozczarowania. Jeżeli będziesz innego zdania, to zadzwoń do mnie – dużymi, okrągłymi cyframi wypisała numer telefonu. I pod spodem jeszcze jedno zdanie: – Zapomniałam się przedstawić, nazywam się Regina Wrzos.

Wizytówka gangu

Pułkownik Lis z niechęcią patrzy na stertę akt, ekspertyz i raportów, które na jego biurku, trochę ostentacyjnie położył Korosz.

– Człowieku – krzywi się, kartkując pierwszą z brzegu teczkę
– ani myślę się w tym babrać, szkoda czasu. Gadaj!
– Dobrze, dobrze być cysoorzem... – nuci Cieślik.

– Odciski palców, zabezpieczone w skarbcu, należą do pięciu osób, które z racji pełnionych funkcji miały do niego dostęp – zaczyna inspektor. – Sprawdzono alibi kilkuset włamywaczy, podejrzanych poddano obserwacji. W czasie akcji pościgowej na drogach, dworcach kolejowych i PKS wokół Bazanowa wylegitymowano osiem tysięcy ludzi. Blokadę dróg wokół Bazanowa zdjęto po czterdziestu ośmiu godzinach, licząc od momentu ujawnienia napadu...

– Sprawcy mieli dość czasu, arby na kilka godzin przed naszym działaniem wynieść się z rejonu objętego akcją – mruczy Lis. – Dalej...

– Spróbowałem rozkolportować kilka pozostałych banknotów z zastrzeżonej serii i to w pobliżu Bazanowa. W siedemnastu sklepach nikt nie zwrócił na nie uwagi, mimo że na tym terenie, to znaczy łącznie w trzech powiatach, o napadzie na bank jest bardzo głośno, ponadto, tak jak wszędzie, podano numery skradzionych pieniędzy wszystkim pracownikom handlu... Jeżeli tam nie zwracają uwagi na nasz komunikat, to można sobie wyobrazić, jak ta rzecz wygląda w dużych i odległych miastach, na przykład w Warszawie...

– Rozumiem twój żal do handlu – przerywa Lis – ale robienie próby na tamtym terenie to strata czasu. Tylko idiota usiłowałby tam puścić w obieg zrabowane pieniądze.

– Poza tym, ile może w takim sklepie rozmienić? Pięćset, tysiąc złotych? – wtrąca Cieślik. – A tu przecież chodzi przynajmniej o setki tysięcy.

– Najciemniej pod latarnią – nie zgadza się z nimi major.

– Powtarzam, strata czasu – wzrusza ramionami Lis. – Jedź dalej!

– Lewary ręczne, zastosowane w banku, są typu B-8 i należą do próbnej serii. Wyprodukował je Varsep, wszystkiego dwieście trzydzieści sztuk. Sprawdzono i odszukano dwieście dwadzieścia osiem egzemplarzy i wyeliminowano je z kręgu podejrzeń. Te lewary na pewno nie były użyte do staranowania podłogi skarbcza...

– A dwa pozostałe? – niecierpliwi się Lis.

– ...zakupiło je przedsiębiorstwo „Solidność”, dla bazy na-

prawczej taboru samochodowego. Baza dysponuje dokumentami odbioru tych dwóch dźwigarek, tylko, drobiazg... nie dysponuje sprzętem. Zginęły!

– W jakich okolicznościach?

– Nikt nie wie. Rzecz wyszła na jaw dopiero wówczas, gdy poprosiłem o pokazanie podnośników.

– Ta „Solidność” to wyjątkowy bałagan – wtrąca się Cieślik.

– Kto miał dostęp do podnośników? – chce wiedzieć Lis.

– Praktycznie wszyscy.

– Jak to wszyscy? Pracownicy, klienci, szoferzy, a może byle przechodzień? – ton pułkownika brzmi napastliwie.

– Przechodniów można wyłączyć – major nie przejmuje się sarkazmem szefa. – Ale podejrzewać można zarówno osiemdziesięciu pracowników bazy, jak też kilkudziesięciu klientów. Barak, w którym są przechowywane narzędzia, ma zamknięcia raczej symboliczne. Warsztaty i cały ośrodek otacza równie symboliczny płot, a przy głównym wejściu na ogół drzemie dość sędziwy stróż... Podczas pracy, trwającej na dwie zmiany, wszystko stoi otwarte, a dźwigarki są ciągle używane przez różnych pracowników.

– Kto to są ci pracownicy?

– Ani gorsi, ani lepsi niż w innych przedsiębiorstwach. Trochę pijacków, paru karanych przez kolegia orzekające za chuligaństwo. Dwóch facetów z kryminalną przeszłością. Rok i półtora za kradzieże w poprzednich miejscach pracy.

– No, proszę, więc co z tymi facetami? – dopomina się pułkownik.

– Prześwietleni – włącza się Cieślik. – Nie mają z tym nic wspólnego...

– Nie musieli brać udziału w napadzie na bank, mogli po prostu ukraść dźwigarki i komuś sprzedać – upiera się Lis.

– Nie są bardziej podejrzani o tę kradzież niż inni z bazy – podkreśla wywiadowca.

– Nie bądź taki pewny siebie – krzywi się Lis.

– O rany, Heniek! – niecierpliwi się Korosz. – Przecież nie zamknę ludzi tylko dlatego, że byli kiedyś karani!

– Co jeszcze? – daje za wygraną Lis.

– Sprawdzamy klientów, szoferów i tak dalej. Oczywiście według kwitów kasowych i zleceń na remonty, wystawionych przez instytucje. Innego klucza nie mamy...

– A czy nie bierzesz pod uwagę, że ta dokumentacja nie obejmuje wszystkich zleceniodawców? – zrzędzi coraz bardziej niezadowolony pułkownik.

– Szefie! – teraz niecierpliwi się Cieślik. – Nawet we wzorowym zakładzie istnieje możliwość odwalenia fuchy, co, szef jest dzisiejszy? A cóż dopiero w takim bałaganie.

– Mała szansa – wzdycha Lis.

– Ma pułkownik lepszy pomysł? – prowokuje wywiadowca.

– Okropnie to wszystko niemrawe – orzeka Lis.

– Chciałbym widzieć, jak szybko pułkownik opracuje z natury chociaż jedno dossier! – prycha dotknięty wywiadowca.

– Od tego mam ciebie, a ty ruszasz się jak mucha w...

– Przecież przez tę pieprzoną bazę ganiam ludzi po szesnastu godzin dziennie! – porucznik czerwienieje ze złości.

– Chcesz nam sobaczyć, czy słuchać dalej, zdecyduj się, Heniu? – przerywa major. – A ty, Cieślik, nie rozczulaj nas opowieściami o dramatycznych wysiłkach służby X. Nie ma się co czarować, rzeczywiście na razie guzik mamy w tej sprawie.

– Byliśmy przy szoferach i klientach bazy – wraca do tematu Lis. – Jak wygląda płynność kadr w tym zakładzie?

– Sześćdziesiąt procent personelu to wieloletni pracownicy, reszta ciągle się zmienia.

– Pomyślałeś o zwolnionych?

– Tak. Wynotowaliśmy każdego, po kim był w kadrach chociaż ślad. Właśnie sprawdzamy. Wierz mi, Cieślik naprawdę nie próżnuje – dodaje inspektor.

– Co słyszać w mieście, poruczniku? – interesuje się Lis.

– Bywamy na metach, potajemkach, knajpach... Obserwacja knajp nie ma większego sensu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie tam puszczał bankowych pieniędzy... – pokrótce streszcza swoje spostrzeżenia. Wspomina również o zdarzeniu, jakie widział po wyjściu z „Bristolu”. Wywody Cieślika przerywa sygnał telefonu specjalnego. Pułkownik podnosi słuchawkę: – Na linii Bazanów, do majora Korosza – mówi sekretarka.

– Andrzej! do ciebie – Lis podaje mu słuchawkę.

– ...trzeba widzieć Horwata w akcji – Cieślik zniża głos, aby nie przeszkadzać inspektorowi. – Poemko!... Dziwne, trzej faceci zabierają rzekomego kompana, a następnie grożą mu żyłką... Jakieś porachunki między żułami. Tylko co ma z tym wspólnego olimpijski mistrz w judo?

– Niesłychane! Takie hece w śródmieściu?! – gorszy się pułkownik i zaraz jeży się na wywiadowcę za zajmowanie się ubocznymi sprawami. Daje jednak spokój, bo jego uwagę absorbuje zachowanie majora. Zaczyna przysłuchiwać się jego rozmowie, prowadzonej monosylabami.

– ...jeżeli tam były ślady, to dróżnik je starł... – inspektor przygryza wargę – ...mimo to natychmiast przyślijcie do zakładu... – zauważa zainteresowanie Lisa, znowu przygryza usta i lekko czerwienieje. – Bądźcie na linii, muszę naradzić się z szefem.

– Znalaziono pistolet strażnika – mówi cicho, nie patrząc na Lisa, i odkłada słuchawkę.

– Co ma z tym wspólnego dróżnik? – dziwi się Lis.

– Właśnie dróżnik, wracając ze służby, znalazł w rowie, w zamulonym rowie przy bocznej drodze, pistolet zrabowany strażnikowi – powściągliwie wyjaśnia inspektor.

– W rowie, przy drodze!!! – ze zgrozą woła Lis. Robi się purpurowy, a potem blednie z wściekłości. – Ale robotą, nie ma co... sami specjaliści od szukania...

– Obszar objęty poszukiwaniami jest bardzo rozległy – usprawiedliwia się Korosz. – Mając trzy plutony ludzi nie mogłem tego dokładnie zrobić...

– Czy odmówiłem ci ludzi? – cedzi z zimną furią Lis. – Pytam! Zabroniłem wziąć więcej? Ale ty wcale nie chciałeś, w ogóle nie przyszło ci to na myśl... Po rowach walają się pistolety, a wy... Czym wy się zajmujecie? Eksperymenty z kolportażem poszukiwanych banknotów i chuligaństwo pod knajpą! Z kim ja pracuję, na miłość Boga? Czy to jest posterunek w Koziej Wólce?

– Nawtykasz mi później, dobrze? – miękko prosi major.

– Nie, zaraz dobiórę wam się do skóry! – nie może się uspo-

koić Lis.

– Dlaczego w a m? – wtrąca się Cieślik. – Nieśmiało zauważam, że m n i e w tej akcji nie było – podkreśla z godnością.

– Dawaj tu mapę terenu – opanowuje się pułkownik – i połącz się z Bazanowem... niech też wezmą pod nos mapę.

We trzech pochylają się nad płachtą szczegółowego planu Bazanowa i okolicznych powiatów. Po ustaleniu z komendantem powiatowym współrzędnych, nanoszą na mapę miejsce, w którym znaleziono rewolwer.

Lis namyśla się, sprawdza kategorie dróg, obszar zalesienia, linie komunikacyjne, przebiegające opodal tego punktu, a później zakreśla czerwonym ołówkiem niewielki klin, sięgający wierzchołkiem miasteczka. Major szybko przelicza odległość.

Pułkownik wciska przełącznik selektora i taster łączący selektor z radiotelefonem. Dzięki tej kombinacji każde słowo powiedziane teraz do mikrofonu słychać zarówno w gabinecie komendanta powiatowego w Bazanowie, jak i w jednostkach sąsiednich.

Natychmiast, jeden po drugim, zgłaszają się kolejno oficerowie dyżurni.

Na ekranie kontrolnym zapalają się i gasną czerwone punkty, w miarę jak poszczególne komendy przyjmują przeznaczone dla nich polecenia.

– Heniek, może poprosić o pomoc saperów... pistolet na takim obszarze to rzeczywiście szpilka... – zastanawia się inspektor.

– Pierwsze dorzeczne słowo, jakie dziś słyszę – pomrukuje Lis i łączy się z nadwiślańską jednostką wojskową. Po chwili za wiadomia Bazanów:

– Jadą do was saperzy z aparatami do wykrywania metalu... Zaczekajcie na nich. Meldować o rozpoczęciu działań!

Po godzinie odzywa się Bazanów.

– Niedaleko miasta, w lesie, znaleziono resztki spalonej odzieży...

Trzecia i czwarta godzina akcji. Pułkownik prosi sekretarkę o papierosy i coś do jedzenia. Mija jeszcze kilka godzin i znów informacja:

– W stawie, przy brzegu, w trzcinach i mule, znaleziono pistolet TT. Aparaty saperskie rejestrują tam jeszcze jakiś metal. Mimo grindowania na żaden przedmiot nie natrafiono. Użycie sieci również nie przyniosło rezultatów, bo staw ma podłoże bagienne. Co robić?

– Wypompować staw! – bez namysłu huczy Lis.

Z tamtej strony zapada pełne zakłopotania milczenie.

– Zaraz przybędzie z pomocą straż pożarna. Tymczasem nie traćcie czasu i dalej przeszukujcie teren!

W kilka minut później samochody bojowe straży z pełną załogą mkną na syrenach do Bazanowa.

W dziewięć godzin po rozpoczęciu akcji Bazanów melduje o jej zakończeniu.

– W stawie znaleziono jeszcze jeden pistolet typu Walter oraz dwa lewary ręczne firmy Varsep... Na osiemnastym kilometrze na północny wschód od miasta, w gęstym młodniaku natrafiono na magazynki z amunicją. Jeden pełny, do pistoletu TT, zawierający siedem naboji, drugi taki sam z zasobem tylko dwóch pocisków. Magazynku do Waltera nie znaleziono.

Wreszcie milkną radiotelefony – gasną światła na ekranach kontrolnych.

– Andrzej! poczekasz na ten cały kram – poleca Lis inspektorowi – i dopilnujesz przeprowadzania odpowiednich badań. Rezultaty chcę mieć jutro na ó s m ą rano! Dobranoc, moje orły – rzuca z przekąsem na pożegnanie.

Inspektor i eksperci z zakładu kryminalistyki nie śpią prawie całą noc, ale na rano wszystko jest gotowe.

Gdy Lis, punktualnie o ósmej, wchodzi do gabinetu, inspektor i porucznik już na niego czekają.

– Jacy skrupulatni, a jacy pracowici! – pokpiwa z nich szef. – Trzeba was tylko czasem popędzić, od razu nabieracie wigoru!

– Wczoraj to pułkownik popędził nie tylko nas – odszczekuje się Cieślik, gdy Lis jest w dobrym nastroju, można mu wiele powiedzieć i porucznik natychmiast z tego korzysta. – Gdybym ja wymyślił taki spektakl, to rękaw od kamizelki bym dostał, a nie saperów. Ale zamiast strażaków powinien pułkownik zamówić nurków i elektromagnes, byłoby efektowniej!

– Już mi włazisz na łeb? – mówi bez złości Lis, przerzucając stertę teczek z ekspertyzami. – Przecież nie będę tego wszystkiego czytał! – jak zwykle odsuwa od siebie papiery. – Mów, Andrzej!

– Jeden magazynek – major przysuwa do siebie dokumentację – należy do pistoletu strażnika, wszystkie naboje w komplecie. Drugi pistolet TT oraz magazynek z dwoma pociskami to stara broń, pochodząca prawdopodobnie jeszcze z czasów wojny. W każdym razie nie jest nigdzie zarejestrowana, dotychczas nie była używana... To znaczy, nie posiadamy na ten temat żadnych informacji...

– Zdatna do użytku?

– Jak najbardziej. Natomiast Walter jest atrapą, przeżarty rdzą i bez iglicy.

– Chyba nie mieli do niego magazynku – domyśla się Lis.

– Na to wygląda, ale nie to jest istotne. Ten grat ma dla sprawy znaczenie bezcenne... Otóż został on oczyszczony i aby lepiej wyglądał, niedawno pomalowano go czarnym lakierem.

– Co to za lakier? – interesuje się Lis.

– Lakier s a m o c h o d o w y, nitro-alex, powszechnie stosowany w przemyśle samochodowym i warsztatach naprawczych. W bazie przedsiębiorstwa „Solidność” – major uprzedza pytanie szefa – są hektolitry takiego lakieru i to w różnych kolorach.

– W tym wypadku wolałbym mniej typową farbę – mruczy Lis.

– Ja też, ale nie przerywaj, nie to jest tak cenne... otóż ktoś, kto lakierował ten pistolet, zostawił na jego brzegu czytelny ślad kciuka...

– Jak to, nie zamalował? – nie dowierza Lis.

– Owszem, pociągnął lakierem, ale malując całą broń, trzymał ją właśnie w tym miejscu, rozumiesz, Heniek? – zapala się inspektor. – Nareszcie mamy jakiś konkretny ślad człowieka, nadający się do identyfikacji. Na razie nie wiemy nic więcej o tym facecie, ale teraz łatwiej będzie go szukać... Gdybym miał wziąć odciski, nawet od dziesięciu tysięcy ludzi, to ja ten czarny kciuk znajdę!

– Nieco jaśniej rysuje się kierunek dalszych poszukiwań – przyznaje Lis. – W pierwszym rzędzie „Solidność”, pracownicy i klienci.

– Szoferzy – podchwytuje Cieślik – wszyscy szoferzy, pracownicy zakładów remontowych, lakierniczych, blacharskich, rautunku! – łapie się za głowę. – Da szef ludzi do tej niewielkiej roboty?

– Nie dam! Ale możesz przestać interesować się knajpami. Sam narzekałeś, że to nie ma sensu – mówi Lis.

Dzwoni telefon. Pułkownik podnosi słuchawkę: – Tak... – Melduje się komendant dzielnicy Warszawa-Ochota...

– Szefie! mamy tu taki nietypowy wypadek z samochodem. Na Raszyńskiej stoi „Warszawa”. Od dwóch dni nikt się po nią nie zgłasza, użytkownik nie złożył dotychczas zameldowania o kradzieży wozu. Sprawdziliśmy we wszystkich jednostkach milicji na terenie miasta. Takiego zgłoszenia nie odnotowano. Sprawdziliśmy numer rejestracyjny w wydziale komunikacji... według dokumentów właściciel nazywa się Ivo Moreno, co robić?

– Samochód zamknięty?

Tamten potwierdza.

– Nie ruszać go. Zaraz się po niego zgłosi ktoś ode mnie – pułkownik notuje numer wozu i adres właściciela. – Dziękuję! – odkłada słuchawkę i powtarza oficerom otrzymaną wiadomość.

– Jeszcze jeden wóz do sprawdzenia – wzdycha ma jor.

– Nie pierwszy i nie ostatni – odpowiada Lis. – Ale obejrzyć go trzeba. Weź technika, sprawdźcie, a potem przyprowadźcie go tutaj. Cieślik! – zwraca się do wywiadowcy – żywo! Dowiedz się, co to za facet, i zasięgnij języka, co on robił przez ubiegłe dwa dni... Dlaczego, mieszkając na Starówce, parkuje wóz na Ochocie. Nie bałamucie, chłopaki, bo jeszcze dzisiaj trzeba postanowić, w jaki sposób szukać Czarnego Kciuka.

Major wraca pierwszy, wywiadowcy jeszcze nie ma.

– Przyholowałem to pudło. Ma nawaloną instalację elektryczną, poza tym żadnych uszkodzeń. Zebraliśmy kilka, nawet czytelnych, śladów linii papilarnych. W karbach protektorów jest

jakieś wapno i trochę żużlu.

– Co o tym sądzisz? – bada go wzrokiem Lis.

– Ten samochód mógł być w Bazanowie – inspektor namyśla się, coś sobie przypominając. – Czeka! Przecież po sąsiedzku obok banku jest jakaś budowa. Prowadzi do niej przyzwoita ulica z klinkierową nawierzchnią, ale skręcając od banku, prostopadle do tej ulicy, mamy dość piaszczystą drogę, również używaną. Widocznie ta trasa jest krótsza niż po klinkierze. Aby pojazdy nie grzęzły, wysypano w piach nieco żużlu... właśnie w wyżłobieniach bieżników tej Warszawy wydłubałem taki przekładaniec: żużel-wapno-żużel! To oczywiście wymaga laboratoryjnego zbadania.

– Szalenie hipotetyczny ślad – sceptycznie wzdycha Lis.

– To ciekawy przypadek – podejmuje major. – Daje do myślenia. Facet mieszka na Starym Mieście, a wóz bez opieki znajdujemy na Ochocie...

– Właśnie tam mogła nawalić instalacja.

– Instalacja mogła się zepsuć zarówno przy niewinnym kursie wozu, jak i po rabunku banku, lecz jeżeli samochód się psuje, to na ogół właściciel nie pozostawia go bez opieki przez dwa dni, w odległej dzielnicy.

– Również gdy komuś ginie samochód, to ten ktoś niezwłocznie zgłasza milicji, nieprawdaż?

– Może go komuś pożyczył? – zastanawia się major.

Wraca Cieślik.

– Violino principale filharmonii – oznajmia. – Rodowe nazwisko: Kupa, zmienił kilkanaście lat temu na Moreno, Jana we własnym zakresie przechrcił na Ivo i stąd ten pretensjonalny szyld. Podobno utalentowany skrzypek. Często koncertuje za granicą. Sztokholm, Wiedeń. Ostatni kontrakt, dwa lata temu, miał w Stanach. Od tego czasu nie angażowano go nigdzie.

– Aktualnie ma jakieś widoki na zagraniczny engagement? – dowiadyuje się major.

– Skąd o tym mogę wiedzieć? – wzrusza ramionami Cieślik.

– Zlecenie na faceta otrzymałem przed trzema godzinami. Muszę mieć trochę czasu, to nie piekarnia... Ale ten facet ma niewątpliwie pieniądze i możliwość ich zarobienia, więc po co mu

bank?

– A kto tu mówi o nim jako o sprawcy napadu? – mruczy Lis.

– Przy takich dochodach taki wysłużony wóz? – dziwi się inspektor. – Z tego, co mówisz, widać, że stać go na „Mercedesa”!

– Nie każdy ma hyzja na punkcie czterech kółek, tak jak major! – wywiadowca, robi oko do Lisa, obaj znają słabość inspektora do markowych samochodów.

– Masz mówić o Ivo Moreno – nadyma się inspektor.

– Właśnie o nim mówię. Facet traktuje samochód jak środek lokomocji, a nie jak fetysz, i w zupełności wystarcza mu „Warszawa”, wóz mocny, solidny...

– Jeszcze słowo o zaletach „Warszawy”, a dam ci w ucho – grozi major.

– Ostatnio Moreno był na miejscu – podejmuje Cieślik. – Normalny dzień muzyka. Ćwiczenia, próby, wieczorem koncerty... Aha, garaż ma, ale dość daleko. Przypuszczalnie często parkuje samochód w pobliżu domu...

Sekretarka kładzie na biurku przed Lisem doręczone przez zakład kryminalistyki ekspertyzy; cała trójka z ciekawością kartkuje tablice porównawcze.

– Cieślik, zostaw to! – inspektor odbiera wywiadowcy arkusz z opiniami biegłych, przebiega oczami końcowe akapity... – ślady linii papilarnych – głośno czyta inspektor – odkryte na samochodzie „Warszawa”, pochodzą od dwóch różnych osób. Jednak nie mają żadnych cech zbieżnych ze śladami określonymi jako Czarny Kciuk. Tyle podaje ekspertyza – trochę rozczarowany odkłada teczkę.

– A gdzie są wyniki porównań z tym drobnym tysiącem śladów – z pretensją pyta Cieślik – przez które moja służba gonila dzień i noc?

– Nie udawaj idioty! – obrusza się major. – Jakim cudem można tak szybko zbadać tysiąc śladów?

– Mnie nikt nie pyta, jakim cudem zebrałem ten jeden jedyny tysiąc! – odszczekuje się Cieślik.

– Dlaczego on wciąż czepia się ekspertów? – wzrusza ramionami inspektor.

– Brak im ikry, dlatego – stwierdza Cieślik. – pułkownikowi...

– Skończ już to gadanie – opęda się Lis. – Trzeba zdobyć ten tysiąc i pierwszy ślad... Ivo Moreno!

– Załatwione – z nonszalancją godzi się Cieślik.

– Ktoś musi z nim porozmawiać – mówi inspektor. – Oczywiście – uprzedza zastrzeżenia tamtych – nie o banku. W bezpośredniej rozmowie mogą wyjść pewne szczegóły, których Cieślik swoją bezszmerową metodą nie zdobędzie... Przecież i tak trzeba mu oddać wóz.

– Samochód powinna mu zwrócić dzielnica – zauważa Cieślik.

– Ja mu oddam – decyduje major – i przy okazji obejrzę sobie z bliska tego faceta.

– Bardzo proszę pamiętać, ja byłem przeciw! – zastrzega porucznik.

– Bierz na warsztat muzyka – zgadza się Lis. – On ma w domu telefon? – pyta Cieślika.

– Ma – wywiadowca dyktuje numer. – Ale w ta pora może być na próbie – podaje następny numer telefonu.

– Cieślik, przydziel facetowi opiekę. Interesuje mnie, dokąd pójdzie po rozmowie z nami – podnosi się pułkownik. – A ty, Andrzej, poproś Moreno... – namyśla się chwilę. – Zaprosz mnie na tę rozmowę, chcę przy niej być.

Major nie jest zachwycony życzeniem szefa. W takich sytuacjach bardzo nie lubi obecności osób trzecich. Lis o tym świetnie wie, pozostawia inspektorowi pełną samodzielność, ale również chce się przyjrzeć właścicielowi sfatygowanej „Warszawy”.

– Nie będę się wtrącał do rozmowy – obiecuje.

– To przynajmniej zmień te ciuchy – inspektor wskazuje namiaminiki Lisa. – Z mety wypłosisz mi faceta. Będziesz protokołował – krzywo uśmiecha się inspektor. – I pamiętaj! Protokolant milczy jak ryba!

– Niech pułkownik włoży jakąś starą dwurzędówkę – radzi Cieślik. – Służę cywilną szatnią mego wydziału, będzie szef wygłądał jak rasowy sierżant, którego tuż przed emeryturą przenieśli do lepszej pracy!

– Padalec! – bez złości wykrzykuje Lis.

Ivo Moreno przerywa próbę i bez ociągania się przybywa na telefoniczne zaproszenie majora Korosza. Jego ciemnoszary garnitur ma nieskazitelny krój. Siadając muzyk podciąga idealnie zaprasowane spodnie. Widać szafirowe skarpetki, w takim samym kolorze jest chusteczka, dyskretnie wyglądająca z kieszeni na piersi, i fontaż z aksamitki pod kołnierzykiem kosztownej, jedwabnej koszuli.

Podnosi na majora nalaną, starannie wygoloną twarz; maskuje niepokój, wywołany nieoczekiwanym zaproszeniem.

– Gdzie jest pański wóz?

Krótką, jak mgnienie oka, chwila wahania, przylepiony do warg uśmiech znika z twarzy, a wodniste oczy tracą jakikolwiek wyraz.

– Pan znalazł? – sonduje wzrokiem majora.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – inspektor stara się tonem złagodzić kategoryczność żądania.

– Nie wiem... chyba jednak został ukradziony – Moreno bezradnym gestem rozkłada niewiarygodnie piękne dłonie.

– Gdzie go pan pozostawił przed zaginięciem? – major bada spojrzeniem twarz siedzącego przed nim człowieka.

– Opoдал domu... wróciłem późno, nie chciało mi się jechać do garażu. To było trzy dni temu, w sobotę. W niedzielę około południa, gdy wyszedłem z domu, nie znalazłem samochodu.

– Dlaczego nie zameldował pan o kradzieży? Nie mogę pojąć beztroski, z jaką poświęca pan rzecz wartą kilkadziesiąt tysięcy złotych.

– Rozumiem pana zdziwienie – leciutko uśmiecha się tamten – ale naprawdę te sprawy w milicji są bardzo kłopotliwe... Nie miałem na to czasu. Szukając wozu wartego kilkadziesiąt tysięcy, mogłem w tym czasie stracić szansę zarobienia nie mniejszej sumy, i to w d e w i z a c h! Ponadto wóz jest ubezpieczony.

– Bez zaświadczenia milicji o kradzieży nie otrzyma pan ani grosza z zakładu ubezpieczeń.

– Ależ nie o to chodzi – Moreno oblizuje mięsiste wargi. – W chwili gdy otrzymałem telefon od pana, miałem zamiar wybrać się do komisariatu... specjalnie zaplanowałem sobie czas.

– Złożenie zameldowania nie wymaga wiele czasu – wzrusza ramionami inspektor.

Ivo Moreno ostentacyjnie odsuwa śnieżny mankiet koszuli i zerka na złoty zegarek.

– Broń Boże, nie chcę pana urazić – zastrzega – ale moja wizyta u pana, oczywiście cała przyjemność po mojej stronie, trwa już p ó ł godziny, a przecież nie ja o nią prosiłem...

Lis, siedzący nad maszyną do pisania, powściąga uśmiech, przygryzając wargi. Inspektor udaje, że nie widzi złośliwej miny swego szefa.

– Jeden zero dla pana – śmieje się. – Napije się pan kawy? – zwraca się do nieco zdziwionego takim obrotem sprawy Moreno.

Muzyk przystaje ochoczo. Major rzuca w stronę Lisa: – Sierżancie, proszę podać nam kawę i... koniak, stoi w pokoju, na regale, za dziesiątym tomem encyklopedii, chyba R–S.

Lis posłusznie wychodzi, tylko gdy odwraca się w drzwiach, posyła inspektorowi spojrzenie bazyliuszka. Figiel majora jest złośliwy; inspektor posłał swego szefa do jego własnego gabinetu po butelkę, którą Lis ukrył przemyślnie na szczególne okazje.

– Muszę się panu przyznać – podejmuje major – ...ja pana celowo zatrzymuję... ta drobna sprawa wcale tego nie wymaga, ale chciałem z bliska zobaczyć, i co tu dużo mówić, wypić kieliszek z... Ivo Moreno – mówi nieśmiało.

– Pan mnie zna? – Moreno po raz pierwszy wydaje się zaniepokojony.

– Jestem melomanem – niemal kryguje się inspektor – i... wielbicielem pańskiego talentu... – major dodaje jeszcze coś mętnie na temat muzyki i oddycha z ulgą, gdy jego wywody przerywa powrót Lisa; nie czuje się zbyt mocny w tym temacie.

Trafił jednak w czułe miejsce skrzypka; wymuskany elegant rozkwita. Na jego twarzy maluje się próżność i zadowolenie z siebie.

– Jakaż to satysfakcją słyszeć! – tokuje. – No, to teraz pan rozumie, dlaczego tak mało obchodził mnie skradziony wóz. Akurat prowadziłem pertraktacje w sprawie wyjazdu do Włoch! –

zawiesza głos i znacząco patrzy na majora.

– Nikomu nie pożyczał pan wozu? – wraca do tematu major.

– Wykluczone – oburza się. Moreno. Ujmuje kieliszek, wierci się przy tym, z zażenowaniem przenosi wymowne spojrzenie z majora na protokolanta.

– Sierżant jest na służbie – oświadcza major, pojmując towarzyskie skrupuły podstarzałego dandysa – i nie pije! Ja też robię wyjątek tylko na cześć sławnego gościa. Prosit!

Moreno bezkrytycznie łyka wraz z koniakiem i to pochlebstwo. Promienieje.

– Czuję się zaszczycony, że mogłem poznać pana osobiście – wdzięczy się inspektor. – Oczywiście, znaleźliśmy samochód... – zawiesza głos, ale muzyk nie kwapi się z pytaniem, gdzie został znaleziony wóz, więc major ciągnie dalej – proszę, aby pan obejrzał go i złożył odpowiednie oświadczenie... To taka formalność.

Wychodzą na dziedziniec, gdzie stoi odnaleziona „Warszawa”. Na jej widok Moreno zmienia się zupełnie. Jest teraz wyraźnie ucieszony, obmacuje karoserie, myszkując we wnętrzu, zagląda pod maskę.

– Ma zepsutą instalację – chmurzy się.

– W takim stanie został znaleziony – wyjaśnia inspektor. – W ogóle wydaje mi się, a jestem samochodziarzem, mam „Fiata”, że pański wóz był niedbale konserwowany, przecież nie ma zbyt wielkiego przebiegu... – inspektor przygląda się zegarowi kilometrażu.

– Zaraz, zaraz – Moreno również ogląda zegar i wyciąga notes. Gmera w nim. – Ci złodzieje przejechali czterysta osiemdziesiąt pięć kilometrów! O, mam tu zanotowany ostatni stan licznika. Wie pan, lubię porządek, zawsze notuję... Poza tym, pan nie ma racji! Wóz nie był źle konserwowany, reperacje i przeglądy robi mi zawsze znakomity fachowiec i wcale niedrogi! To ci dranie tak go urządzili. Jeśli pan ich złapie, proszę mnie powiadomić...

– No cóż... – waha się major. – Trzeba to uwzględnić, uszkodzenia mogły powstać podczas kradzieży. Dam panu pismo do PZU. To jednak będzie niezbyt duże odszkodowanie, a ile przy

tym chodzenia... nie wiem, czy to warto.

– Oczywiście warto! – przerywa Moreno. – Dlaczego mam tracić.

To nie tylko kabotyn i afektowany wytwornis – myśli major – ale również nieprzeciętna sknera. Zna ten typ samolubnego skąpstwa, nie żałującego sobie absolutnie niczego, ale nie darującego nikomu bezinteresownie nawet złotówki.

– Dobrze! – zgadza się. – Wobec tego proszę mi podać ostatnią datę przeglądu technicznego i adres zakładu, który konserwuje panu wóz. Może być również kwit kasowy za dokonane naprawy.

– Józef Rajfel, zakład naprawczy w Bazanowie – mówi Moreno. – Znakomity i tani fachowiec. Polecam!

Majora elektryzuje nazwa miejscowości, ale notuje niedbale, rozwlekłe powtarzając nazwisko i imię mechanika.

– Jaki adres?

– Nawet nie wiem, ale tam łatwo trafić. Przy wjeździe do miasta, obok szosy, jest tablica informująca, a poza tym to jedyny warsztat w tej uroczej skądinąd mieścinie.

– Zna pan właściciela? – niezręcznie pyta inspektor.

– Tylko tyle, że od czasu do czasu konserwuje mi wóz – dobitnie akcentuje Moreno. Po raz drugi podczas tej rozmowy wydaje się zaniepokojony. – Kiedyś jechałem do Krakowa, prawie pod tą tablicą nawalił mi silnik, wówczas po raz pierwszy skorzystałem z usług tego warsztatu. Panie, Wersal! Sam ściągnął mi wóz z szosy, zrobił szybko i dobrze... Od tej pory nie ma dla mnie Tosów, smosów... to przeważnie partacze, niesłowni... zresztą co będę panu mówił, mając wóz, pan te rzeczy doskonale zna. A do Bazanowa żabi skok, niespełna trzydzieści kilometrów, szosa jak stół, no, to ile pan wyda na benzynę? Opłaci się.

Major jest bardzo uprzejmy, więc Ivo Moreno zostaje odholowany wraz ze swoją „Warszawą” milicyjnym samochodem. Na pożegnanie muzyk obiecuje mu bilety na najbliższy koncert. Major wylewnie dziękuje i tak się rozstają.

Wraca na górę; Lis właśnie zrzuca, prawie ze wstrętem, garnitur i przebiera się w mundur, asystuje temu Cieślik.

– Ty skurczybyku – syczy pułkownik na widok inspektora –

w jaki sposób wymyszkowałeś mój żelazny zapas?

Cieślik robi okrągłe oczy i pytająco patrzy na majora.

– Nic groźnego! – uspokaja inspektor – napocząłem z nim butelczynę, którą szef schował przed nami za encyklopedią, a do tego nie dostał kielicha, ale przecież nie mogłem pospolitować się z sierżantem, i to na służbie, stąd te dąsy!

– Okrucieństwo tak traktować szefa! – obłudnie gorszy się wywiadowca. – Trzeba było widzieć, jak Moreno topniał przy jednej dziewczynie w „Bristolu”... cała knajpa miała zabawę, bo chciał ją uwieść, skąpiąc na kolację. Tę dziewczynę później poderwał Horwat i...

– Cieślik, dość o pięknościach nocy – przerywa major. – Panowie! Moreno ma związek z Bazanowem! – z satysfakcją powtarza im rozmowę z muzykiem.

Tamci poważnieją.

– Nareszcie widzę dla siebie godziwe zajęcie – mówi Cieślik. – Zaraz powinienem pojechać do Rajfla i skorzystać z jego renomowanej usługi... Rajfel? – zastanawia się. – Nomen, omen! ma cholernie podejrzane nazwisko². Co za sielankowe miasto ten Bazanów, jeden etatowy włamywacz, jeden zakład naprawczo-lakierniczy i jeden bank!... Ale co ja potrzebuję od Rajfla? Przede wszystkim śladów linii papilarnych i lakieru nitro-alex.

– Właśnie, jak zdobędziesz ten lakier? – namyśla się Korosz.

– To najprostsze – Cieślik łączy się z biurem służby X. – Potrzebuję natychmiast samochód – informuje dyżurnego – obojętnie, jakiej marki, któryś z bardziej wysłużonych, nie, nie nowy... – powtarza. – Musi być w kolorze czarnym, ale warunek: lakier polskiej produkcji nitro-alex. Otrzyjcie go nieco o jakiś betonowy słup lub coś w tym rodzaju... może powstać również niewielkie wgłębienie, na przykład z boku maski lub na błotniku... Meldować o wykonaniu, duchem! – odkłada słuchawkę.

– Musisz aż psuć samochód? Przecież i tak po tym lakierze niewiele sobie obiecujemy – pułkownikowi zdecydowanie nie podoba się pomysł wywiadowcy, a szczególnie beztraska, z jaką traktuje służbowy sprzęt.

² Rajfelki – pilniki używane przez włamywaczy do obróbki kluczy.

– Najnaturalniejszy sposób zdobycia próbki lakieru – popiera Cieślika inspektor. – U Rajfla nie wolno przeprowadzać żadnych oficjalnych czynności.

– Niech będzie – niechętnie godzi się Lis. – Co sądzisz o Moreno?

– Skrzyżowanie lekkomyślności, sprytu, skąpstwa i narcyzmu... Rzekomo beztrąsko odnosi się do zaginięcia samochodu, a ma zanotowany ostatni stan licznika. Opowiada o tysiącach w dewizach, które niebawem zarobi, ale od PZU chce wycygnąć kilkaset złotych, wóz reperuje w Bazanowie, bo odliczając koszty benzyny, zużytej na drogę, wypada to o jakieś grosze taniej... same sprzeczności!

– Może celowo zwrócił uwagę na tę problematyczną różnicę stanu licznika? – zastanawia się Lis.

– Może? Ale że coś ukrywa, to pewne. Prawdopodobnie samochód zginął z innego miejsca niż to, które podał. Być może, właśnie dlatego przez kilka dni nie meldował o jego zaginięciu. Wahał się, jakie szczegóły podać, prawdziwe czy zmyślane. W końcu jednak nie powiedział nam prawdy.

– Trzeba koniecznie wyjaśnić, czy coś więcej łączy Moreno z Rajflem – dodaje Lis.

– Zrobi się! – przyrzeka wywiadowca. – Pułkownik chyba na serio nie myśli, że między Moreno a Rajflem mogą być inne związki poza remontem samochodu... W taki głupi i prosty sposób sypnąłby współnika? Przecież to jak wskazanie palcem, a na takiego idiotę facet nie wygląda.

– Logicznie myślisz – przyznaje Lis – jednak temu człowiekowi trzeba się dokładnie przyjrzeć.

Cieślikowi przygotowano starego, czarnego „Wartburga”; zgodnie z jego zamówieniem prawy błotnik nieco wygięto i otarto z lakieru, akurat na tyle, aby wyklepanie i pomalowanie nie zajęło zbyt wiele czasu.

Już z daleka na szosie wywiadowca zobaczył tablicę informacyjną, o której wspominał Moreno. Zatrzymał więc wóz i zgodnie z planem uszkodził silnik.

Bez trudu udało mu się zatrzymać jakąś ciężarówkę i skłonić kierowcę, aby doholował go do warsztatu.

Mechanik obejrzał wóz i zaraz wziął się do roboty.

Cieślik przysiadł na jakiejś skrzynce na dziedzińcu i obserwował jego zabiegi. Mechanik pracował zręcznie, nie zdradzał jednak ochoty do rozmowy.

– Sam pan prowadzi warsztat? – zagaduje go wywiadowca .

– Sam – kiwa głową – jeśli się zatrudnia pracowników to stopa podatkowa jest wyższa... nie opłaca się.

– Przecież to znakomity punkt – zauważa Cieślik.

– To się tylko tak wydaje – mruczy tamten. – Właściwie to trochę roboty jest na wiosnę i latem. Zdarzy się turysta, wy-cieczkowicz, niedzielny kierowca. Mam także kilku stałych klientów z Warszawy, i to wszystko – odpowiada monosylabami, nie przerywając pracy.

– A miejscowi? Uprzemysłowane miasto, więc dobre zarobki, to i samochody powinni ludzie mieć.

– Ile tych samochodów – z lekceważeniem wrusza ramionami Rajfel. – Będzie ze trzydzieści, no, może trzydzieści pięć... i z piętnaście taksówek. Ale taksjarze tylko z kapitalnymi remontami przychodzą do mnie. Inne naprawy robią sami – zręcznymi, szybkimi uderzeniami kauczukowego młotka przywraca pierwotny kształt błotnikowi.

Gdy skończył, otarł dłonie w zaoliwioną szmatę i znikł w otwartych drzwiach warsztatu. Cieślik zobaczył, że przestawia na półce okrągłe pudełka. Wybrał jedno z czarnymi zaciekami.

– Co to za lakier? – wywiadowca wskazuje blaszankę w rękę mechanika.

– Taki, jakim pomalowany jest wóz – odpowiada flegmatycznie Rajfel. – Krajowy, nitro-alex.

Gdy wreszcie Cieślik opuszcza Bazanów, pierwsze rzadkie krople deszczu bębnią po masce. Wywiadowca próbuje uciec przed nadciągającą ulewą, jednak jest już za późno. Zjeżdża więc szybko z szosy na wyboistą drogę, ginącą w świerkowym lesie. Wyskakuje z wozu, nad maską robi osłonę przy pomocy zdjętego z siedzenia koca. Obficie obsypuje czarną płaszczyznę jasno srebrzystym argentorem.

Granatowe chmury, cień jodłowych łąpek i osłona z koca powodują mrok, więc porucznik przy świetle latarki ogląda obsy-

paną proszkiem powierzchni.

Widzi kilkanaście czytelnych śladów, które udało mu się ochronić przed zmyciem przez deszcz. Pomagając sobie zębami, rozrywa perforowany arkusik folii daktyloskopijnej, utrwała na niej ślady dłoni, pozostawione przez mechanika.

Na szosie dopada go ulewa i do czysta zmywa karoserię wozu.

Następnego dnia razem z Koroszem przeglądają gotowe już wyniki ekspertyz; zarówno skrzypek Ivo Moreno, jak też Józef Rajfel – właściciel warsztatu w Bazanowie, nie są osobami, które pozostawiły rysunek kciuka na czarnym lakierze pistoletu Walter.

A lakier? – ten, który pochodzi z warsztatu Rajfla, niczym nie różni się od farby użytej do przemalowania rewolweru, ale również próbki lakieru nitro-alex, pobrane z kilkudziesięciu zakładów remontowo-lakierniczych, nie wyłączając bazy przedsiębiorstwa „Solidność”, są identyczne, jak lakier używany w warsztacie Rajfla.

W tej sytuacji lakier, którym pomalowany jest pistolet, nie odgrywa żadnej roli w identyfikacji sprawcy.

Przez następne miesiące śledztwo nie posuwa się ani o krok. Obserwacja Moreno i Rajfla nie dostarcza nic takiego, co wskazywałoby na ścisły związek między nimi. Nie dało również wyników poszukiwanie zrabowanych banknotów. Żadna placówka handlu, żaden bank w kraju nie zasygnalizowały pojawienia się pieniędzy z zastrzeżonych serii.

I nagle, gdy już wydawało się, że śledztwo umiera naturalną śmiercią, nastąpił zdecydowany zwrot. Sygnał przychodzi z bazy zakładu „Solidność”.

Placówką tą, mimo braku doraźnych efektów, zajmowano się ciągle jeszcze bardzo aktywnie. Z mrówczą cierpliwością badano ludzi, posiadających jakikolwiek związek z firmą.

Odciski palców zdobywano w najbardziej przemysłny, a nieoficjalny sposób, przez służbę X. Opracowywał je wydział daktyloskopii, mając za punkt odniesienia ślad utrwalony na pistolecie, pokrytym czarnym lakierem.

Pewnego dnia do majora zadzwonił ekspert i siląc się na spokój zawiadomił go, że w materiale porównawczym, dostarczo-

nym do badań, zidentyfikowano ślad palca o wzorze daktyloskopijnym w pełni odpowiadającym cechom śladu, który umownie nazwano Czarny Kciuk.

– Nie ulega wątpliwości, to ten sam człowiek – podkreślił biegly. – Orzeczenie już wysłałem przez łącznika.

Wiele wysiłku kosztuje go ten powściągliwy ton; zdaje sobie przecież sprawę, że to przełom w śledztwie. Pracownicy daktyloskopii są nie mniej podnieceni niż major. Zmęczyła ich ta obłądna robota; od kilku miesięcy cały zespół ślęczał przy mikroskopach. Polecenie było rygorystyczne; każdy ślad dostarczony przez służbę X musi być bezzwłocznie zbadany. Codziennie do godziny dziesiątej rano kierownik wydziału składał raport o ilości i wynikach przeprowadzonych ekspertyz.

Inspektor dosłownie rzuca się do kartoteki, zawierającej szczegółowo dane o osobach, których ślady odcisków palców przekazano do badań. Wyciąga kartę z czterocyfrowym numerem porządkowym. Informacja jest lakoniczna, lecz konkretna:

Antoni Łopatko, lat trzydzieści pięć, miejsce zamieszkania: Warszawa-Sady Żoliborskie, rozwiedziony, jedno dziecko przy żonie, zawód: technik samochodowy – lakiernik. Miejsce pracy: miejskie zakłady komunikacyjne. Nie karany.

Na odwrocie widnieje adnotacja: przed dziesięcioma miesiącami opuścił bazę przedsiębiorstwa „Solidność”. Zwolniony na własną prośbę. Po czym podjął natychmiast nową pracę.

– Odszedł z bazy sześć miesięcy przed dokonaniem napadu w Bazanowie – inspektor odkłada kartę i powściąga chęć natychmiastowego działania.

Cieślik, który zjawił się tu niemal wraz z łącznikiem zakładu kryminalistyki, przygląda się majorowi natarczywie. Czuje się nieco dotknięty jego milczeniem.

– Pasuje – ocenia sentencjonalnie – wszystko mamy w bazie. Podnośniki, lakier i ten Czarny Kciuk... ciekawy facet. Major chce go zaraz wiązać? – odgaduje zamiar zwierzchnika.

– I to jeszcze dziś! – decyduje się Korosz.

– Ja bym zaczekał. Może warto pochodzić... – proponuje nieśmiało.

Inspektorowi dotkliwie dały się we znaki cztery miesiące uga-

niania się za jałowymi, nie prowadzącymi nigdzie tropami. Przy badaniu tych mglistych informacji i nie dających się wyjaśnić poszlak zatrudniono ogromny aparat; mimo to dotychczas nie zdarzyło się nic, co dałoby się uchwycić. Teraz ma wreszcie konkret, niezbity dowód. Ten człowiek nie może zaprzeczyć... Chce go więc mieć tu natychmiast, twarz w twarz, trzeba go zmusić do mówienia...

Major odrzuca wszystkie argumenty, przemawiające przeciwko natychmiastowemu zatrzymaniu Łopatki.

– A Lis? – namyśla się major. Pułkownik jest dostatecznie zirygowany brakiem postępów w śledztwie. Codzienne raporty poranne stały się dla inspektora udręką.

– Po co ta mowa – zazwyczaj przerywał mu zwierzchnik – powiedz krótko, nie ma przecież nic... i nie zabieraj mi czasu.

– Chcę mieć przysłowiowego wróbla w garści – stwierdza teraz twardo major. – Zaraz sprawdz, czy to wszystko jest aktualne – wskazuje wywiadowcy kartę ewidencyjną Antoniego Łopatki, a później łączy się z komendantem dzielnicy na Żoliborzu.

Jeszcze tego samego dnia, po zakończeniu pracy, Łopatko zostaje doprowadzony przez sierżanta z dzielnicy.

Jest to ciemnowłosa mężczyzna, średniego wzrostu, o atletycznej piersi i harmonijnej budowie. Ma otwartą, jasną twarz, mimo woli budzi sympatię. Wcale nie wydaje się zaskoczony pierwszymi stereotypowymi pytaniami o personalia, zawód, adres.

Gdy major każe go zdaktyloskopować, robi naiwnie zdziwione oczy, ale nie protestuje ani też o nic nie pyta, kiedy technik podkłada mu pod palce pudełko z tuszem. W dalszym ciągu sprawia wrażenie człowieka może trochę zaniepokojonego, ale przede wszystkim mocno zdziwionego tym wszystkim, co się wokół niego dzieje.

– Proszę możliwie szybko o wynik – inspektor celowo głośno zwraca się do biegłego, nie chce, aby Łopatko zorientował się, że jego kartę daktyloskopijną milicja posiada już od dawna. Cała scena została zresztą szczegółowo wyreżyserowana przez majora.

– Co pan robił w sobotę dnia... – pada data napadu na bank.

I to pytanie nie robi na zatrzymanym żadnego wrażenia. Jest może nieco zaciekawiony tą sytuacją. Patrzy przez chwilę na inspektora, później zastanawia się, marszczy brwi, pociera dłonią czoło.

– Pojęcia nie mam – przyznaje z westchnieniem. – Co ja mogłem robić? Rano byłem w pracy, ale później? Mogłem się gapić w telewizor, mogłem być z kolegami na wódce... nie, nie jestem pijakiem – broni się lekkim uśmiechem i uprzedzającym ruchem dłoni przed takimi posądzeniami – ale od czasu do czasu lubię się zabawić... Mogłem być w kinie, lub pomagać мамie na działce, mogłem odwiedzić dziecko: To chyba wszystkie możliwości. Zaraz... osiemnastego, osiemnastego kwietnia? Jakiego to patrona? – pyta nagle.

Inspektor zagląda do kieszonkowego kalendarzyka: – Apoloniusza – odpowiada z całą powagą.

– Nie! imieniny odpadają – wzdycha tamten. – Nie znam żadnego Apoloniusza. Czy to takie ważne, panie... – urywa, bezradnie prześlizgując się pytającym spojrzeniem po cywilnym ubraniu inspektora.

– A jak pan sądzi? – odpowiada pytaniem major.

– Chyba nie zaprosił mnie pan na towarzyską pogawędkę – uśmiecha się swobodnie.

– Zgadza się – przyznaje inspektor. Dlaczego on jest taki pewny siebie – zastanawia się w myśli. – Zbyt pewny siebie. Albo jest zupełnie niewinny, albo tęgi gracz.

Pyta go jeszcze o jakieś zupełnie nieistotne sprawy, byle tylko nie wygasła rozmowa. Wreszcie pojawia się ekspert.

– Ten sam palec – informuje głośno inspektora. Podaje mu teczkę z orzeczeniem i ostrożnie stawia na biurku płaskie pudełko. Zaraz też wychodzi z pokoju.

– Przypomina pań sobie pistolet Walter, kaliber dziewięć? – atakuje znienacka inspektor.

Łopatko nie odpowiada, patrzy na majora szeroko otwartymi oczami; twarz mu jednak tężeje, zaciska szczęki, aż napinają się mięśnie.

– Nie rozumiem, o co chodzi – mówi wreszcie, nie spuszcza-

jąc tego jasnego, trochę naiwnego spojrzenia.

– To pańska broń? – inspektor energicznie wyrzuca z pudełka pistolet. Czarno połyskujący przedmiot, uderzając o biurko, wydaje metaliczny trzask, przypominający odgłos odsuwanego bezpiecznika. Tamten odruchowo odchyła się na krześle, przestraszony tym dźwiękiem. – Nie nabity – uspokaja major i ponawia pytanie.

– Nigdy nie widziałem tego pistoletu – stanowczo oświadcza Łopatko.

Inspektor z niesmakiem wydyma usta, powoli grzebie w szufladzie, szukając czegoś. Wyciąga silne szkło powiększające.

– Proszę się dobrze przyjrzeć – podaje mu soczewkę, oprawioną w ciemną ramkę z takimż uchwytem i podsuwa mu dwie duże tablice, sklezione ze sobą. Na jednej widnieją dwie powiększone fotografie śladu ujawnionego na rękojeści broni, druga przedstawia ślady linii papilarnych jego lewego kciuka. – O tutaj – wskazuje major – na tym lakierze jest pięknie zachowany rysunek pańskiego feralnego palca.

– Mojego? – ze zdumieniem wykrzykuje tamten.

– Nie ma mowy o pomyłce, słyszał pan chyba, co przed chwilą powiedział ekspert. Ci się nie mylą, to nauka... – głos majora brzmi beznamiętnie, jak gdyby stwierdzenie tego faktu było mu całkowicie obojętne.

Łopatko, ciągle z niedowierzaniem, ogląda fotografie. Po chwili bierze do ręki pistolet. Ostrożnie ogląda go ze wszystkich stron, zagląda w lufę, nieufnie próbuje odciągnąć spust.

– Ależ to jakiś straszak! – mówi, jak gdyby zawiedziony. – Zaraz, zaraz... – ściąga z namysłem brwi, obracając w rękę broń. – O rany! coś sobie przypominam, Chryste Panie! Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że przez tę kupkę blachy będę miał taką bonanzę... – podnosi na majora te swoje szczere oczy.

Przypomina sobie, że rzeczywiście kilka miesięcy temu, wówczas pracował jeszcze w bazie samochodowej przedsiębiorstwa „Solidność”, jeden z klientów poprosił go, aby pociągnął lakierem taki zżarty korozją grat, twierdząc, że chce pistolet podarować swemu synowi. Rzeczywiście, polakierował go, traktował ten wrak jak zabawkę, nawet przed tym trochę oczyścił rdzę,

aby lakier lepiej przylgnał. To wszystko.

– Kiedy to było?

– Na pewno w zimie, ale miesiąca dokładnie nie pamiętam.

Inspektor notuje w pamięci, że Łopatko podaje okres na długo przed włamaniem do banku.

– Panie! – apeluje do majora, jest najwyraźniej zaniepokojony – takim szmelcem nie nastraszy się nawet dziecka... – przerywa, czeka moment na odpowiedź inspektora, ciężko wzdycha i podejmuje dalej – ...no, może zrobiłem to lekkomyślnie, ale to przecie nie przestępstwo...

– Jak się nazywa ten klient? – przerywa major.

– Nie znałem go z nazwiska, mówiliśmy do niego: panie Kaziu. Taki wesoły kieryka... – peszy się nagle, wyłamuje palce. – No, więc panie majorze – podejmuje z nagłym postanowieniem w głosie – czasami robiło się po fajerancie małe partaniny. Jemu czasami też się robiło... to znaczy, ja robiłem. Rozumie pan, te parę złotych człowiek chce zawsze dorobić... – wyjaśnia zacinając się. – To cała moja wina...

– Gdzie on pracuje?

– Chyba prywatnie, ale zakładu nie znam – odpowiada coraz bardziej zmartwiony.

– Pozna go pan?

– Poznam! – rozjaśnia się Łopatko w szerokim uśmiechu. – Kto by tego stypnego faceta nie poznał. Wielki, tęgi, trochę przyłysiały, może mieć z pięćdziesiątkę, tak na oko... skubaniec, pół litra za jednym łykiem w siebie wlewał i nic, tego... – przygryza usta i milknie.

– I potem za kierownicę siadał, co? Rzeczywiście stypny facet – kończy za niego inspektor.

– No, nie – broni się nieprzekonująco Łopatko. – Nie to chciałem powiedzieć, po prostu wódka na niego nie działa.

Antoni Łopatko otrzymuje kilkaset zdjęć dużego formatu; major chce, aby je przejrzał, być może odnajdzie na którymś z nich pana Kazia; są to fotografie klientów bazy, ale tego już mu inspektor nie mówi, i pozostawia go samego pod pretekstem innych pilnych zajęć.

W sąsiednim pokoju, przy wizjerze ukrytym w ścianie, czuwa

pracownik. Pomieszczenie przystosowane jest do obserwowania reakcji osób przesłuchiwanym, pozostawionych samym sobie.

Inspektor idzie do Lisa. Mimo późnej pory pułkownik jest w komendzie. Chce być bieżąco informowany o postępach w rozmowie z Łopatką.

Teraz zastanawiają się razem z majorem, co zrobi mechanik samotnie pozostawiony w pokoju. Jak się będzie zachowywał? Zadzwoń do kogoś? Może wcale nie będzie oglądał tych zdjęć, jeżeli jowialny pan Kazio jest wytworem jego fantazji, sprokurowanym na użytek milicji.

Major przekazuje dotychczasowy przebieg rozmowy oraz swoje wrażenia o zatrzymanym.

– Mamy czterdzieści osiem godzin czasu, aby coś postanowić – stwierdza na zakończenie relacji.

– Mamy?! – akcentuje Lis. – Chyba ty! Przed zatrzymaniem moja opinia cię nie interesowała...

– Wobec tego występuję do prokuratora o nakaz aresztowania – chłodno mówi major.

– W tej sytuacji nie widzę innej rady – prycha pułkownik. – Teraz nie można go wypuścić.

– To, co on mówi, może być prawdą – waha się inspektor. – Ale nie wypuszczę go wcześniej, zanim nie wskaże mi pana Kazia.

– Nawet jeżeli ten facet istnieje, to i tak może się wszystkiego wyprzeć i pozostanie na łodzi z Łopatką, któremu najwyżej będziesz mógł udowodnić pomalowanie tej niezdatnej do użytku broni.

– Marudzisz! – obrusza się inspektor. – To poważny ślad w sprawie. Z tej bazy zginęły również podnośniki.

– Zgadza się z tobą, ale zbyt mało wiesz o Łopatce. W jaki sposób zmusisz go do wyjawienia prawdy? Zawsze powtarzam: milicja musi być cierpliwa! Natomiast tobie cierpliwości czasami nie dostaje, a konsekwencje? Bardzo podejrzany facet, którego niedobrze jest zatrzymać i niedobrze jest puścić, oraz mityczny pan Kazio.

– Nie mam zamiaru go puścić. Będzie siedział! – inspektor

broni swego zdania.

– Może coś wysiedzi... – ostentacyjnie ziewa pułkownik. – Ja jednak stanowczo wolę metodę Cieślaka. Wolę, gdy podejrzani
c h o d z ą!

– Rewizje? – medytuje inspektor.

– U kogo chcesz robić te rewizje? – z rezerwą pyta Lis.

– Rodzina, koledzy... – major nie kończy głośnych rozmyślań. Uświadamia sobie, że zatrzymując tego człowieka postąpił pochopnie. Pragnienie sukcesu przysłoniło mu wszystko.

Pociera zmęczoną twarz, jest przygnębiony.

– Nie jest to najświetniejsze posunięcie taktyczne – próbuje go pocieszyć Lis – ale to jeszcze nie klęska...

– Na uparte go można go zwolnić – w rozterce wyrzuca z siebie Korosz.

– Powtarzam! Teraz już nie można! – kategorycznie podkreśla Lis. – Sprawa z nim zaszła zbyt daleko. Zna nasze atuty, a my? Wystrzeliliśmy wszystkie naboje... No cóż, wolisz żywych ludzi od informacji Cieślaka. Masz, co lubisz. Przypadek wprost klasyczny – kpi pułkownik.

Czarny Kciuk – jak umownie nazywają Łopatkę – pozostawiony sam, w czasie nieobecności inspektora sumiennie przeglądał przekazane mu fotografie. Zachowywał się jak świadek zaproszony tu dla złożenia wyjaśnień w jakiejś dalekiej mu sprawie. Nie tknął telefonu, raz tylko podniósł się i przestawił popielniczkę z biurka na stół, przy którym siedział.

Wygląda, jak gdyby nie miał z tym wszystkim nic wspólnego – myśli inspektor, siadając znów przy biurku. A jednak jest zdenerwowany – w popielniczce piętrzy się stos niedopałków, wypalonych przez jego klienta. Jednak to o niczym nie świadczy, normalna reakcja przeciętnego człowieka.

– Już mi w oczach miga od tych podobizn – skarży się majorowi Łopatkę. – Te obejrzałem – wskazuje plik zdjęć, starannie ułożonych na brzegu stołu.

– Nie chcę pana martwić, ale do obejrzenia jest jeszcze bardzo dużo. Oczywiście ma pan przed sobą wiele czasu...

Tamten mruga powiekami i podejrzliwie patrzy na inspektora. Na jego sympatycznej twarzy po raz pierwszy maluje się

niepokój.

– Zmuszony jestem zatrzymać pana pod zarzutem nielegalnego posiadania broni i udziału w napadzie z włamaniem – inspektor już nie widzi powodu, aby ukrywać przed nim przyczyny zatrzymania.

Łopatko zastyga z przerażenia, ma prawie łzy w oczach, ale patrzy majorowi prosto w twarz.

– Pan za tę broń chce mi złamać życie? Przecież to szmelc, zardzewiała blacha!

– Tym szmelcem sterroryzowano strażnika – mówi sucho major. – Przy pomocy tej blachy zrabowano w banku w Bazanowie piętnaście milionów!

– Ależ ja nie mam z tym nic wspólnego!

– To się okaże – major dzwoni po profosa aresztu. – Radzę panu szybko rozpoznać pana Kazia.

– Proszę pana – opanowuje się tamten – przecież to wszystko trzeba udowodnić. A co pan może mi udowodnić? Że malowałem ten nieszczęsny grat! Temu nie zaprzeczam.

– To starczy na prokuratorską sankcję.

– Pan to musi udowodnić – upiera się tamten i drżą mu usta. – Mnie chroni prawo. Ja nie muszę panu udowadniać, że jestem niewinny. Jeszcze jest prokurator i sąd – milknie powstrzymując łzy.

Faites vos jeux!

Segment szklanej ściany jest uchylony. Lekki wiatr porusza jasnobrunatną kotarą, przenikające przez nią promienie słoneczne nasycają pokój łagodnym cienistym półmrokiem. Jest pełnia lata, ulice buchają żarem, lecz w pokoju panuje przyjemny, orzeźwiający chłód.

– Wspaniała chata – przeciąga się Regina – na mojej mansardzie nie ma czym oddychać. – Spogląda na zegarek, siada na tapczanie i bosymi stopami szuka sandałów.

– Dokąd się tak śpieszysz, niedobra dziewczyno! – protestuje Piotr, siadając obok niej. – Do odjazdu pociągu jest jeszcze kil-

ka godzin... zdążysz.

– Muszę kupić parę drobiazgów, wpaść do domu i zapakować rzeczy, wreszcie wziąć z redakcji kamerę – wylicza dokładnie, powściągając zniecierpliwienie.

Nucąc pod nosem znika w łazience.

Horwat bez celu kręci się po mieszkaniu. Włącza adapter, idzie do kuchni. Do wysmukłych szklanek wlewa trochę koniaku, trochę wermutu, wrzuca lód i cytrynę.

Jest zły! Jest bardzo zły, chociaż stara się tego nie okazywać. Przed chwilą dowiedział się o kolejnym wyjeździe dziewczyny. Jak to ona mówi? – w plener. Nie podoba mu się ten zawód i ciągle wędrówki po kraju.

Co się ze mną stało? – dziwi się sam sobie. Jeszcze pół roku temu nie miał pojęcia o jej istnieniu. Gdy rano, po tej pierwszej nocy, zniknęła, był nawet zadowolony. Prawdę mówiąc, nie miał o niej dobrego zdania. A później? Zadzwoił i zaczęło się.

Lubił z nią być, ale początkowo nie czuł żalu ani pustki po rozstaniu. Odpowiadała mu ta nieobowiązująca, a miła znajomość, i każde spotkanie było tym bardziej podniecające, że mogło być ostatnim.

Nieraz w ciągu wielu dni nie tylko nie pragnął jej obecności, ale nawet o niej nie pomyślał. Dziewczyna nie była kłopotliwa. Zjawiała się tylko na zaproszenie, niczego nie żądała.

Nie spostrzegł nawet, jak ten wygodny układ przestał wystarczać. W pewnym momencie odkrył, że Regina ma jakieś swoje życie, zajęcia, obowiązki, o których on nic nie wie, że ona wcale nie pragnie go do tego życia przyjąć. Poczul się na marginesie jej zazdrośnie chronionego świata i to drażniło jego ambicję. I coraz częściej zaczęło mu tej dziewczyny brakować. Tym dotkliwiej to czuł, że nie był przyzwyczajony do porażek w stosunkach z kobietami.

Jeszcze dziś rumieni się na wspomnienie brutalnej awantury, jaką zrobił jej pewnego dnia, gdy nie chciała wyjaśnić, skąd wróciła nad ranem. Obraziła się na niego. Poczul wówczas chwilową ulgę; może się to wszystko wreszcie skończy. Ulga rzeczywiście była tylko chwilowa. Potem przeraziła go myśl o jej odejściu. Cierpiał. Nie umiał cierpieć. I znów zabiegał o nią

jak o żadną dotychczas.

Dziewczyna wróciła, ale zazdrości nie umiał się już pozbyć. Dręczyło go to uczucie jak ukryty, nieprzerwany ból, starał się jednak panować nad sobą.

– Nie wiem, czy cię kocham – mówi, gdy dziewczyna wraca z łazienki – ale na pewno nie mogę bez ciebie być. Nie cierpię tej twojej pracy i jestem wściekły, gdy wyjeżdżasz.

– Powinieneś żyć kilka wieków wcześniej i być co najmniej wezyrem – Regina czesze się przed lustrem. W łagodnym świetle pokoju jej śliczne włosy spływają spod szczotki jak struga płynnego złota.

– ...Za bardzo mnie krępujesz, ograniczasz... Czy ja chociaż słowem wtrącam się do twojej pracy, sportu, klubu?

– To ciebie po prostu nie obchodzi! – wzbiera w nim uraza.

– Mylisz się! Wszystko, co jest związane z tobą, bardzo mnie obchodzi.

– Frazesy!

– Takie wypytywanie, nieufność, po prostu nużą... – za późno spostrzega, że te słowa nie powinny paść.

– Oboje mamy siebie dość – chłodno stwierdza Piotr i w tej chwili jest święcie przekonany, że tak jest naprawdę. Naprawdę ma dość tej dziewczyny. Może nareszcie pozbędzie się tego niepokoju, który nie pozwala mu pracować. Przecież to niewola!

– Nie gniewaj się na mnie, Piotrze – dziewczyna bierze go za rękę. – Nie mogę rozstawać się z tobą w gniewie, wydaje mi się wówczas, że już nigdy ciebie nie zobaczę. Ja... już bez ciebie nie umiem żyć... – mimo kłamstw, w tym wyznaniu jest zupełnie szczerą. Przeraza ją myśl o zerwaniu. – Przepraszam, byłam okropna – tłumaczy się pokornie, łąsi się do niego. – Ale teraz naprawdę muszę już iść!

Horwat żegna ją chłodno i zaledwie poprawnie. Jest głęboko dotknięty, sam podsycy w sobie urazę i nie reaguje na jej ostatnie słowa. Zalewa go nowy przypływ złości. Przez myśl leci taśma: zagadkowe nocne zniknięcia, kłamstwa, wykręty.

Niech to się jednak skończy – postanawia i w minutę później wybiega z domu.

Wadera łapie taksówkę na rondzie Waszyngtona. Jest w roz-

paczliwym nastroju. Kolejna scena z Piotrem rozstroiła ją zupełnie. Gdy zapala papierosa, drżą jej ręce. Do tego jest spóźniona. W salonie – jak gracze potocznie nazywają kasyno – powinna być już co najmniej od pół godziny.

To musi się w końcu wydać – pesymistycznie ocenia sytuację i nie bardzo wie, jak z tego wybrnąć. Ukrywanie się przed Piotrem przerasta jej siły psychiczne.

Z początku, kiedy to się zaczęło, nie wierzyła w trwałość jego zainteresowania. Bez trudu lawirowała między kasynem a Horwatem. Było to łatwe, bowiem Piotra nie interesowało jej życie. Jeszcze dziś dotkliwie czuje smak tych upokarzających spotkań.

Świetnie pamięta, kiedy to się zmieniło... pierwszy bakarat po czteromiesięcznej przerwie; wróciła – jak zwykle w takich razach – nad ranem, a Piotr od wieczora czekał przed jej domem. Była mu prawie wdzięczna za tę piekielną awanturę, ale udała obrażoną, bo nie mogąc powiedzieć prawdy, nie umiała wymyślić na poczekaniu przekonującego kłamstwa.

Zaraz potem wcieliła się w fotoreportera CAF-u, często wyjeżdżającego w teren.

I zaczęły się odprowadzania na dworzec. Nie zawsze mogła wyskoczyć z wagonu na stacji, bo Piotr przeważnie czekał, aż pociąg ruszy. Najczęściej wysiadała na najbliższym przystanku, a potem rujnowała się na taksówki, aby zdążyć na czas do kasyna.

Ciąży jej to wszystko. Nie sposób dalej kłamać. Musi wybierać między kasynem a Piotrem.

Zwalnia taksówkę daleko przed kasynem, potem bezszelestnie wślizguje się do małego hallu, ozdobionego stylową konsolą i antycznym zegarem. Z góry dobiega lekki szmer rozmowy.

Wraca do kuchni, pośpiesznie przygotowuje przekąski. Później, gotowe już, upycha do lodówki i zabiera na piętro stos nakryć.

– Gdzie ty się podziewasz? – zrzędzi Bankier, który rozmawia właśnie z Opatem. – Jeszcze nic nie gotowe!

– Wszystko jest gotowe, tylko schowane w lodówce. W taki upał nie mogę trzymać jedzenia na wierzchu. Byłam tu przed

wszystkimi – kłamię gładko – musiałam wyjść, aby uzupełnić alkohole... Borys! – decyduje się nagle i czuje przyływ strachu.

– Chcę z tobą pogadać!

– O czym?

– O... sobie – ma uczucie, jakby rzucała się w przepaść, ale pragnie mieć tę rozmowę już za sobą.

– Też się wybrałaś – krzywi się Zakrzewski. – Teraz jestem zajęty.

– To nie potrwa długo – upiera się z desperacją.

– Dobrze, dobrze, ale po dzisiejszej rulecie – obiecuje z roz-targnieniem. – A teraz idź już stąd!

Obaj mężczyźni milczą przez chwilę, nasłuchują lekkich kro-ków dziewczyny, oddalającej się po schodach. Opat przynosi z baru pękata butelkę i kieliszki, napenia je do połowy; ostrożnie uchyla drzwi – z dołu dobiega szum wody. Uspokojony wraca i wyciąga się w fotelu.

– ...tylko dlatego cię niepokoją, ponieważ są nowe? – podej-muje przerwana rozmowę.

– Nawet nie są nowe, tylko zużyte w jakiś dziwny sposób.... – nie umie wytłumaczyć Bankier. – Poza tym są wszystkie z jed-nej serii.

– O, cholera! Dużo ich jest? – z obawą pyta Opat.

– Pięćdziesiąt tysięcy w banknotach po tysiąc złotych – wzdy-cha Bankier.

– Pokaż! – domaga się współnik.

– Schowałem w domu... dopóki się nie upewnimy, nie mogą trafić do gry – Zakrzewski jest wyraźnie przestraszony.

– A czy dobrze przejrzałeś ostatnie wpływy, nic więcej podej-rzanego nie zaplątało się?

– Chyba nie – Bankier nie jest jednak zupełnie pewny.

– Kogo posądzasz o tę gotówkę, to wpływy z baka czy z rule-ty?

– Na pewno z rulety... Może od grubego grajka, od Moreno. Może od doktora, może od Rajfla...

– Dlaczego Rajfel? Bo ma warsztat w Bazanowie! Tak to moż-na wszystkich podejrzewać. Lepszy z ciebie krupier niż detek-tyw.

– Nie ma o czym mówić... poza tym. Rajfel jeszcze nie zwrócił wszystkiego Waderze!

– A to niedobrze! Trzeba go będzie przycisnąć – stwierdza Opat. – Interesuje mnie, dlaczego posądzasz o podłożenie nam gnoja tę bekę zjełczałego smalcu?

– W tej grze Moreno miał równe pięćdziesiąt tysięcy!

– Aha... coś ci się jednak pokręciło, przecież on obstawił jedną trzecią cylindra i wygrał!

– Nic mi się nie pokręciło! – protestuje Bankier. – Najpierw obstawiał kolory i zgrał się do grosza... Kazałem Waderze pożyczyć mu, niby w tajemnicy przede mną, i wtedy odkuł się.

– Puścił to znowu? – dowiadyuje się Opat.

– Wyobraź sobie, nie. Zaraz też zwrócił pożyczkę Waderze, i to jest mi bardzo nie na rękę. To właśnie druga sprawa, którą pilnie chcę z tobą omówić.

– Najpilniejsza jest pierwsza – przerywa Opat. – Niedługo mamy grę, a nie jesteśmy pewni, czy w naszym banku nie płaczą się jakieś śmierdzące grajbery. Skóra mi cierpnie. Jeśli wypłacę graczowi uczciwą kaniotę, a ta się okaże forszą zarejestrowaną przez milicję? Smuga pójdzie w Warszawę, wtedy koniec z kasynem, a my od jutra musimy się ukrywać!

– Odwołać ruletę? – denerwuje się Bankier.

– Czekaj! – powstrzymuje go Opat. – Bez paniki. Zdażymy sprawdzić... zapisałeś te serie?

Tamten potwierdza ruchem głowy i wyciąga z portfela kartkę.

– Ile mamy w kasynie do dzisiejszego banku?

– Osiemset tysięcy w różnych banknotach... cały kapitał.

– Uuu, dużo... sam nie zdażysz. Trudno, wołaj Waderę i poukładajcie je według serii. Nie musisz jej wtajemniczać, o co chodzi.

– Ona jest dostatecznie inteligentna, aby zorientować się bez moich wyjaśnień – kręci głową Bankier.

– Możesz powiedzieć, że na mieście pokazały się zastrzeżone dziadki, a my sprawdzamy profilaktycznie, jasne? Ja tymczasem skoczę do naszego gracza, tego, co ma komis, i zbadam, co on wie na ten temat. Taki sklep, obracający setkami tysięcy, musi mieć spis. Jakbym był tymi, co muszą tę forszę znaleźć, to

każdy kiosk ruchu dostałby wykaz.

– Zgłoś im ten projekt, a z mety zrobią cię tajniakiem – śmieje się Bankier, czuje się już pewniej, operatywność współnika budzi w nim zaufanie.

Razem z Waderą wyjmują zawartość kasy i układają na mahoniowym blacie baru. Segregują według numerów. Serie są bardzo różnorodne, więc idzie im to niesporo. Gdy po godzinie wraca Opat, musi im jeszcze pomóc.

Po skonfrontowaniu z zastrzeżonymi numerami okazuje się, że alarm był fałszywy. Banknoty przeznaczone do dzisiejszej gry nie budzą zastrzeżeń, natomiast nie ma w dalszym ciągu pewności co do owych pięćdziesięciu tysięcy złotych, które wywołały nieufność Bankiera.

W spisie otrzymanym przez Opatą widnieje podobna seria, ale cyfry są zaplnięte farbą drukarską i nie dość czytelne.

– Zaraz je spalę – podnosi się Bankier.

– Uspokój się, gdzie będziesz teraz jeździł – perswaduje Opat. – Jutro znajdę sposób, aby znaleźć inny spis, na pewno nie wszystkie są spaprane, i sprawę się wyjaśni. To może być niewinna forsa, więc po co niszczyć taką kupę pieniędzy... Co to za druga sprawa, o której wspominałeś?

– Właśnie! – ożywia się Bankier. – Moreno zastawił skrzypce... termin wykupu mija za kilka dni.

– Niewypłacalny! – domyśla się Opat. – Po diabła nam jeszcze takie kłopoty! Sam się wpakujesz, a później ja muszę się z gościem użerać.

– Ty kiedyś polegiesz śmiercią frajera – z politowaniem kiwa głową Bankier. – Chcę zrobić wszystko, żeby on tego fantu nie mógł wykupić. Przyswajasz, o co chodzi?

Zdezorientowany Opat jeszcze nie rozumie, podejrzliwie świdruje współnika oczami.

– Czuję jakiś interes, tylko jaki? – bada ostrożnie.

– To „A m a t i”!

– Rzadki okaz, tak? – rozjaśnia się Opat, w istocie rzeczy dalej nie rozumie, o co chodzi.

– Cenne! Pięćdziesiąt tysięcy dolarów – niby od niechcenia mówi Bankier, bawiąc się wrażeniem, jakie robi ta suma.

Opat nie może uwierzyć, że zwykle skrzypce mogą mieć taką wartość.

– Znam się na tym – z pobłażaniem uśmiecha się Bankier. – Odkąd je u niego zobaczyłem, śniły mi się po nocach. No i same trafiły do ręki.

– On dzisiaj nie ma prawa wygrać – pojmuje wreszcie Opat. – Wolałbym baka, pokera... Ty wiesz, on cholernie leci na Waderę.

– Nie, nie, Opat, żadnych takich – żywo protestuje Bankier. – Dziewczyna go nie cierpi. Ona jest pożyteczna w kasynie i nie chce jej stracić przez twoje głupie zagrywy. Ani się waż nawet napomykać jej o czymś takim! Ty zupełnie nie umiesz obchodzić się z ludźmi.

– Misjonarz, przestań nawracać! – przerywa Opat. – Nie mam zamiaru namawiać ją do łóżka, to bezcelowe! Ta kufa łoju jest obłędnie skąpa. Wystarczy mu podsunąć numery, rozumiesz? N u m e r y! A ona potrafi to zrobić.

– Niezła myśl – łaskawie zgadza się Bankier. – Ale słuchaj! On też zna wartość tych skrzypiec. Może zdobyć pieniądze gdzie indziej i będę zmuszony zwrócić mu fant. To nie jest banrut...

– Nie jest – przyznaje Opat. Wspiera podbródek na smagłej ręce i wlepia oczy we współnika. Potem jego urodziwą twarz rozjaśnia szeroki uśmiech.

– Mam! Jeśli przyniesie pieniądze, nie będzie się miało do nich zaufania. Trzeba będzie powołać się na te pięćdziesiąt tysięcy i podsunąć mu pod gały... teraz tobym nawet chciał, żeby one okazały się trefne, ale i tak się załatwi! Jeśli zechce wykupić fant, przekaz go mnie, nastraszę i pogonię z lokalu jak szakala. Stracimy gracza, ale warto dla takiej rzeczy. Dobra myśl?

Wieczorna ruleta gromadzi licznych graczy. Prowadzi ją Bankier, pozostawiając współnikowi swobodę ruchów. Zakrzewski od początku narzuca tempo, toteż klimat robi się gorący, gra toczy się ostro.

– Faites vos jeux! – powtarza Bankier sakramentalną formułę krupierów, dostrzegając kątem oka, jak przy barze Wadera szeptem rozmawia o czymś z muzykiem. Nie wie, że zamiast

podsuwać mu „szczęśliwe” numery, ostrożnie odradza grę.

Rajfel z płonącymi oczami i wypiekami na twarzy usiłuje opanować podniecenie; już pochwyliła go magia wirującej tarczy. Obstawia liczby.

– Jeden, piętnaście, dwadzieścia pięć, trzydzieści! – rzuca pięćsetzłotowe sztony.

Rolę żetonów o tej wartości wymiennej spełniają srebrne, przedwojenne dwuzłotówki. Od częstego używania mają starte karby obrzeża, ledwo czytelne rysunki rewersów i napisy awersów, ale wypolerowane niecierpliwymi palcami lśnią najczystszym blaskiem szlachetnego kruszcu.

Wiruje cylinder rulety, przez chwilę numery stają się nieczytelne, tworząc ciemny szlak na brzegu tarczy.

– Dziesięć, osiemnaście, dwadzieścia dwa, trzydzieści pięć! – grabki Bankiera zagarniają stosik sztonów Rajfla. Ten rzuca świeżą garść srebra, powtarzając uparcie swoje liczby. Przegrywa. Następny plik banknotów wymienia u krupiera na połyskujące monety.

Po krótkim wahaniu spocona dłoń ciska je wszystkie na zielone sukno; stawia tysiąc złotych na liczbą dziewięć, pięć tysięcy na plena, pięć tysięcy na szewala, dziesięć tysięcy na carré.

Bezwiednie kurczy ręce i wstrzymuje oddech, jak gdyby mógł nim spłoszyć kapryśne szczęście. Aż do bólu oczu wpatruje się w magiczny bęben rulety.

– Dwadzieścia za plena, sześćdziesiąt za szewala, dwadzieścia za carré, jeden za dziewięć! – beznamietnie ogłasza krupier, przysuwając do Rajfla piramidę żetonów. – Płacić? – pyta tym samym, pozbawionym jakiegokolwiek barwy głosem.

W ciągu kilku sekund Rajfel wygrał ponad sto tysięcy złotych; jest nieco oszołomiony tym nagłym uśmiechem fortuny. Gdzieś na marginesie świadomości gaśnie mglista myśl, aby przerwać, aby odejść...

– Nie – zaprzecza i ruchem dłoni zatrzymuje rękę, sięgającą po banknoty. – Gram dalej! Parzyste, czarne, mangue, trzeci tuzin! – obstawia z namysłem, przesuwając stertę srebra w stronę krupiera.

Przez krąg graczy, otaczających ruletę, przeciska się Ivo Mo-

reno. Przeczekuje dwa obroty cylindra, nie biorąc udziału w grze. Siedzi z napięciem przeskokki kulki, obserwuje, jak Rajfla nie opuszcza szczęście.

Znów wiruje tarcza, młoda, czarnowłosa dziewczyna z ciemnymi rumieńcami na smagłej twarzy powtarza kombinację szczęśliwego gracza – również wygrywa. Drżącymi palcami zagarnia sztony, długie, wypielęgnowane paznokcie, pokryte purpurową emalią, przypominają zakrzepłe krople krwi.

Bankier jest dobrym krupierem, z maestrią prowadzi grę, podtrzymuje tempo. Jego: – *Faites vos jeux* – elektryzuje graczy niczym czarnoksiężskie zaklęcie.

Z męskich portfeli, damskich torebek – małych wieczorowych cacek z lamy, aksamitu, złotego sznurka – wysypują się zwitki banknotów, pieniądze zmieniają właścicieli z szybkością tysiąca złotych na sekundę. Zgromadzeni tutaj ludzie mają pieniądze, muszą je mieć – sam wstęp kosztuje tysiąc złotych za wieczór.

Muzyk, ogarnięty gorączką trzydziestu siedmiu wirujących numerów, wymienia na sztony dwadzieścia tysięcy złotych.

– *Transversal!* – ze sztuczną nonszalancją odsuwa od siebie dziesięć tysięcy złotych żetonów; są to metalowe znaczki, wydane z jakiejś okazji, z godłem Warszawy.

Wygrywa.

– *Podwójny transversal!* – znów wygrywa. Obstawia kolory – ani złotówki nie rzuca na liczby. Fortuna traktuje go życzliwie. Grabki Bankiera już po raz piąty podsuwają mu stertę sztonych. Moreno za każdym razem dzieli całość na cztery części i zaraz jedną czwartą stawia na następną grę.

Czarnowłosa dziewczyna, z bolesnym grymasem zastygłym na pięknej twarzy, odchodzi z ociąganiem z kręgu graczy – przegrała wszystko.

Rajfel rzuca na *mangue* ostatnie dziesięć tysięcy złotych. W niespełną godzinę zdążył przegrać wszystko.

Skrzypka nie opuszcza wręcz natrętne szczęście. Bankier z kamienną twarzą wywołuje liczby, rozdziela sztony. Już go niepokoi niespotykana *passa* muzyka. I dlaczego nie obstawia cyfr?

Przy stole zjawia się Opat. Posepnie obserwuje obracający się cylinder. Od niechcenia, dla zabawy, kładzie kilkanaście żetonów, stawia, jak nowicjusz, tylko na kolor.

Muzyk już bez reszty uwierzył w swe szczęście. Ogarnięty euforią porzuca swój przezorny sposób dzielenia sztonów na cztery części. Marzy mu się rozbicie banku, dlaczegoż by nie? Więc na jakąś skomplikowaną kombinację ciska wszystkie żetony. Jest zupełnie pewny i w pierwszej chwili nie rozumie, dlaczego grabki krupiera zagarniają piramidę metalu i srebra ku sobie, a nie odwrotnie.

Przez moment gapi się bezmyślnie przed siebie na puste, zielone sukno. Przytomnieje. Wyszarpuje z portfela następne dwadzieścia tysięcy. Na ramieniu czuje czyjąś dłoń. Z niechęcią odwraca głowę.

– Chodź ze mną – nakazuje Opat i wzmaga ucisk.

– Nie przeszkadzaj – z wściekłością cedzi Moreno – popsujesz mi passę! – jak większość graczy jest przesądny.

– Ty nam psujesz kasyno – szepcze Opat. – Ani słowa więcej, bo... – stalowa obręcz na ramieniu muzyka zaciska się aż do bólu. – Idziemy – Opat energicznie pociąga go za sobą.

Moreno już nie protestuje; groźba w głosie Opata budzi niepokój. Posłusznie pozwala wprowadzić się do małego pokoju obok salonu.

Opat uwalnia wreszcie jego ramię i starannie zamyka drzwi.

– O mało nie złamałeś mi ręki – skarży się muzyk, rozcierając obolały bark.

– Wart jesteś, aby ci połamać kości! Zaraz stąd wyjdiesz i na zawsze zapomnisz nasz adres – skanduje Opat.

Moreno jest zaskoczony; nigdy nie spotkał się z taką brutalnością. Nie może się zdobyć na żadne słowo. Gapi się na Opata z wyrazem doskonałej tępoty na twarzy.

– Na co czekasz? Wyrażam się chyba jasno! – podchodzi do muzyka, chwyta go za kołnierz nieskazitelnego smokinga i bez widocznego wysiłku obraca jego masywną postać przodem do drzwi.

– O co chodzi? – odzyskuje głos Moreno, starając się ruchami ramion strząsnąć z karku rękę Opata.

– O to! – Opat uwalnia go, wyciąga plik pięćsetek, rozwija w wachlarz, a później rzuca mu w twarz. – Zbieraj tę śmierdzącą kaniotę i żebym cię więcej nie widział. Powtarzam, zbieraj! – nakazuje, ponieważ Moreno wpatruje się bezmyślnie w rozrzucone wokół jego stóp banknoty.

– Łajdaku! – cedzi Opat – winien mi jesteś dwadzieścia tysięcy w uczciwej monecie. Wart jesteś, żeby cię odstawić na milicję razem z tymi przekłętymi grajberami!

– Na miłość Boga, nic nie rozumiem! – sapie żałośnie Moreno. Szybko jednak podnosi banknoty. – Dlaczego się tak biesisz, co ty chcesz od tych pieniędzy?

– Tymi pieniędzmi graj w toto-lotka albo na loterii, ale nie w porządnym kasynie. U nas nie ma miejsca dla mankowiczów i z ł o d z i e i, ty zadro w cie!e!

– Jak śmiesz mnie obrażać – prostuje się Moreno z żalosną godnością. – Wypraszam sobie takie chamstwo... Porządne kasyno! – czerwień zalewa tłustą, spoconą twarz. – Melina, gangsterska melina... Żule! – podnieca się coraz bardziej, trzęsie mu się okrągły brzuch, wygląda śmiesznie i groteskowo, gdy wymachuje rękami przed pozornie spokojnym Opatem.

– Zjeżdżaj stąd! – przerywa chłodno Opat. – I zapomnij o nas, jeśli chcesz zachować zdrowo te swoje zdolne rączki. Jeżeli będziesz nierozsądny, stracisz fach. Żaden chirurg ci ich nie poskłada tak, abyś mógł z powrotem wziąć smyczek.

– Chcę mówić z Zakrzewskim – natychmiast pokorniejze Moreno.

– To bezcelowe – krzywi się Opat. – Od wymiatania śmieci i ochrony kasyna jestem ja! Wiesz o tym. Każdy gracz wie o tym.

– Nie skaczmy sobie do oczu – pojednawczo wtrąca muzyk. Ogarnia go strach, rozumie, że tamten nie szarżuje, nie bawi się w pogroźki. Udzielił mu ostrzeżenia i następnego już nie będzie. Jeśli szybko nie wyjaśni nieporozumienia, to rzeczywiście musi na zawsze opuścić kasyno. Krzywi się boleśnie i bezwiednie masuje swoje piękne, szczupłe ręce.

– Wyjaśnij po ludzku, co do mnie masz? – prosi gorąco.

– Spróbuj wydać te pieniądze w sklepie, najlepiej w komisie – z przekazem radzi Opat – z mety wylądujesz tam, gdzie już

dawno powinienes być.

– Czy są fał...szywe? – wydaje się, że Moreno dopiero teraz coś zaczyna rozumieć.

– Gorzej! Zostały ukradzione w bazanowskim banku. Nie udawaj, błaznie, naiwniaka.

– Zwariowałeś! ja i kradzione pieniądze?

– Jesteś wyjątkowa szuja, jeżeli właśnie nam podłożyłeś takiego gnoja, który może kosztować dwadzieścia pięć lat. Zjeżdżaj, bo nie ręczę za siebie i zaraz połamię ci gnaty!

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – jęczy przerażony na dobre Moreno. – Za kogo mnie macie, za gangstera rozbijającego banki? W co mnie chcecie zrobić?

– Ukradli ci wóz, i to spod naszego kasyna – cedzi Opat i znów wzbiera w nim furia.

– Sam ci przecież powiedziałem... – błednie Moreno.

– I trąbiłeś do graczy – wzrusza ramionami Opat. – Nie obchodzą mnie źródła dochodów graczy, dopóki nie koliduje to z interesami kasyna. Naraziłeś nas na niebezpieczeństwo, ale nie polecę z donosem, o to możesz być spokojny, lecz dłużej cię tolerować ani myślę. Ani słowa więcej! – podnosi głos uprzedzając następne usprawiedliwienie. – Obserwowałem cię... po pierwszym razie nie byłem pewny, czy to ty... dzisiaj Bankier odłożył twoją pulę. Sprawdziłem! Zabieraj się stąd.

Moreno blady, spocony, nie jest w stanie ruszyć się z miejsca. Drżą mu policzki, a wydatne usta krzywią się jak do płaczu.

– Idę, ale oddajcie mi skrzypce – mówi błagalnie. – Jeśli mi ich nie zwrócicie, to... to ja pójdę na milicję... Ja nie mam się czego bać! – tym stwierdzeniem chce przekonać nie tylko Opat, ale i siebie.

– Grozisz? – rzuca się ku niemu Opat. Chwyta dłonią klapy jego smokinga. – Nie jestem pewien, czy dojdiesz cały do domu... – syczy i ściąga ciasno przy szyi ubranie Moreno.

Muzykowi braknie tchu, oczy wyłażą mu na wierzch, szamoce się bezradnie – nie ma odwagi krzyżeć.

– Ja nic nie zrobię, przysięgam! – bełkoce zduszonym głosem. – Słowo honoru, nic i... zapomnę o was dokładnie...

Opat uwalnia go z uścisku i odpycha od siebie. Moreno z tru-

dem odzyskuje równowagę, przez chwilę ciężko dyszy.

–oddajcie mi skrzypce – kończy z jękiem.

– U mnie nie zastawiłeś. To sprawa Bankiera – odpowiada Opat. – Przyniesz pieniądze i wykup fant. A teraz won!

Świta, gdy ostatni gracze opuszczają ruletę.

– Co chciałaś ode mnie? – pyta Bankier, gdy Wadera kończy porządkowanie baru. – Przyniesz coś do picia i siadaj tu z nami – wskazuje jej miejsce obok siebie.

Dziewczyna przynosi butelkę i kieliszki. Wypija jeden i drugi. Zmęczona całonocną krzątaniem natychmiast czuje działanie alkoholu; wraca jej odwaga.

– No wal, co masz na wątrobie – zachęca Bankier. Jest usposobiony łaskawie, wpływy z gry przeszły jego oczekiwania. Rozważa w myśli wysokość sumy, jaką jej da dzisiaj ponad ustaloną stawkę. Dwieście, trzysta? – Tym bardziej jest zaskoczony i niemile dotknięty jej oświadczeniem,

– Borys, nie chcę już pracować... zwolnij mnie – wyrzuca jednym tchem postanowienie, które dojrzało w niej po wczorajszej scenie z Piotrem.

– Dlaczego? – Bankier jest oburzony. – Źle u mnie zarabiasz, a może źle cię traktuję? Wadera, ależ to czarna niewdzięczność. I pomyśleć! właśnie dzisiaj chciałem ci podnieść pensję!

– Nie mam ci nic do zarzucenia, mam dla ciebie dużo wdzięczności – łagodzi dziewczyna – tylko sam musisz przyznać: to, co robię, to żaden fach. Mam dwadzieścia lat i najwyższy czas, abym jakoś ustawiła się w życiu, zanim nie będzie za późno. Zrozum mnie... jesteś dobrym człowiekiem – płacze się bezładnie, schlebając mu niezręcznie – chcę być wolna...

– Co ty pleciesz? – gorszy się Bankier. – Kto cię krępuje, kto ogranicza twoją swobodę? – przenosi podejrzliwe spojrzenie na Opata.

Tamten krzywi się wymownie i wzrusza ramionami.

– Sama praca w kasynie – wyjaśnia Wadera – uniemożliwia mi współzycie z ludźmi, z normalnymi ludźmi...

– To ja jestem nienormalny? – obrusza się Zakrzewski. – Nic nie rozumiem – bezradnie rozkłada ręce.

– Powód jest prosty – wtrąca się wreszcie Opat. – Za Waderą

od jakiegoś czasu snuje się pewien facet Porządny! Widać dziewczyna wpadła w tak zwaną wielką miłość i przebywanie w naszym towarzystwie uważa za niegodne. Tylko bardzo wątpię, czy on chciałby się z tobą ożenić...

– Szpicel! – syczy z nienawiścią dziewczyna.

– To należy do moich obowiązków – leniwie stwierdza Opat.

– Taki facet może nam zamącić nie gorzej niż szkał. Dobrze ci radzę, Wadera, musisz go ustawić, bo inaczej przetrzepię mu skórę!

– Spróbuj! – z mściwą satysfakcją wykrzykuje dziewczyna.

– Nie z takimi kozakami radziliśmy już sobie... – Opat ostentacyjnie przeciąga się w fotelu. – Przedtem jednak, zanim uczeszę twego olimpijczyka, zapoznam go dokładnie z twoją pensjonarską przeszłością.

– Łajdak! – dziewczyna ma łzy w oczach.

– Jesteś ordynarna – tym samym tonem ciągnie Opat. – I okropnie niewdzięczna... szybko zapomniałaś, kto cię wyciągnął z impasu...

– Z twoich łap!

– Raczej z objęć! Dla tych, jak twierdzisz, łap rzuciłaś studia – mówi zjadliwie Opat. – Gdyby nie Borys, teraz startowałabyś jako portowa dziwka, i to marnego sortu, bo na lepszy start brak ci smykałki.

– A ty... – w dziewczynie znów kipi nienawiść.

– Cicho, stajnia! – wreszcie interweniuje Bankier; pozwolił im na tę kłótnię, udając, że nie wie o zmianach wżyciu dziewczyny. Poza tym lubi pochlebstwa, lubi udawać dobrotliwego szefa, a nade wszystko lubi poczucie władzy, jaką ma nad nimi.

– Oboje was wyciągnąłem z rynsztoka! Czego się jej czepiasz?

– ostro strofuje Opata. – Dziwki byś z niej nie zrobił!

– Jak się człowiek uprze, to z każdej robi.

– Milcz! – Bankier podnosi głos. – Za mało mam kłopotów, jeszcze wy musicie się żreć? Zależy ci na tym chłopcu? – pyta Waderę. – No śmiało, mów! Potrafię cię zrozumieć.

Dziewczyna, ze skrzepowaniem, przyznaje ruchem głowy.

– Chcesz wyjść za mąż?

– Nie było o tym mowy – Wadera odpowiada zduszonym głosem.

sem, czuje gorzki smak upokorzenia, przymus tłumaczenia się przed Bankierem w obecności Opata.

– Czyli luźny związek – ocenia Bankier. – No więc co ci przeszkadza?

– Bardzo trudno mi chronić tajemnicę mojej pracy... Nie mam już siły lawirować między kasynem, a...

– Taki wścibski – kiwa głową Bankier. – To niedobrze, to bardzo niedobrze... – sprawia wrażenie niemal ojcowsko zatroskanego. – Ale chyba nie domyśla się twego fachu? – świdruje ją podejrzliwym wzrokiem.

– Nie! – gorąco przyznaje Wadera.

– Namysł się, czy aby na pewno musisz wybierać między nim a kasynem. Nie da się tego pogodzić?

– Ja już nie chcę... nie mogę tego godzić.

– Dobrze – stwierdza z westchnieniem Bankier. – Postąpisz, jak zechcesz. Na siłę nie będę cię zatrzymywał, choć mówiąc szczerze z żalem się z tobą rozstanę.

Opat jest zdumiony tą łatwością, z jaką Bankier przyjmuje rezygnację Wadery, szczególnie teraz, gdy po długiej przerwie podjęli gry i z trudem, z tysiącem dodatkowych ostrożności, a mimo to ze zwiększonym ryzykiem, nadrabiają poważne straty, powstałe podczas przymusowej bezczynności.

– ...Ale – ciągnie Bankier – rozważ dobrze, co stracisz. Zarabiasz u mnie pięćset złotych za wieczór, ponadto masz stały procent z baru, przyznaje, niewielki, ale stały. Twój pokój też ja opłacam. Gdzie w takiej sytuacji, w jakiej się znajdujesz, zarobisz tyle pieniędzy?

– Oczywiście nie zarobię tyle, a znacznie mniej – przyznaje Wadera.

– Dziecko, lekkomyślne dziecko! – z pobłażaniem kiwa głową Bankier. – Nie znajdziesz żadnej pracy, przecież brakuje ci stałego z a m e l d o w a n i a w Warszawie, a z tymczasowym nikt cię nie zatrudni, najwyżej jako pomoc domową z pensją sześćset, no, osiemset złotych miesięcznie. Oczywiście otrzymasz do tego wyżywienie i spanie w kuchni, może w służbówce, harówka od świtu do nocy, jedno popołudnie w tygodniu wychodne. To jest przyszłość, to jest ta swoboda, wolność?

– Zawsze może wrócić na wieś – wtrąca Opat, który nareszcie pojął rzekomą wielkoduszność Bankiera. – Tam trzeba rąk do pracy...

– Poradzę sobie – mówi pobladła Wadera.

– Wiem, co myślisz i na co liczysz – podejmuje Bankier. – To samo, co większość dziewcząt w twoim wieku: choćby w chatce, ale z nim! To zdarza się w powieściach, nigdy w życiu! W życiu, jeżeli chce się zatrzymać mężczyznę, trzeba mieć start, najskromniejszy przynajmniej. A to minimum to własny kąt, pieniądze na szmatki, na fryzjera, na to, aby utrzymać takie rączki – wskazuje wypielegnowane dłonie dziewczyny. – Naiwna jesteś, jeśli liczysz na niego... Myślisz teraz, Zakrzewski głądzi, zaraz, jak się z nimi rozstanę, pójdę do tamtego, a on natychmiast pobiegnie ze mną do urzędu stanu cywilnego albo do katedry... Małżeństwo! W najgorszym razie wspólne życie... skończą się wszystkie problemy. Facet z mety weźmie cię na swoją stajnię, pośle na uniwersytet... Wadera, takie dziewczyny zalegają kawiarnie, knajpy i wszystkie ulice tego miasta, takie cuda, bez obrazy, można mieć bez żadnych kłopotów i zobowiązań. Znam życie! Gdy tylko facet się dowie, że jesteś bez miejsca na ziemi, pozostawi cię samej sobie.

Dziewczyna uparcie milczy.

– Masz tu za dzisiejszą noc – Bankier kładzie przed nią pieniądze. – Rozważ dobrze, co ci powiedziałem. Nie wymagam od ciebie natychmiastowej decyzji. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, poirytowani... Odeśpij tę hecę. Sen przynosi dobrą radę i pomaga rozsądnie pomyśleć.

– Dziewczyno, niepotrzebnie się miotasz, przecież masz do wyboru co najmniej trzy rozwiązania – wtrąca się Opat. W jego głosie nie ma śladu niedawnej agresji i złośliwości.

– No właśnie – przyznaje Bankier. – Możesz spławić faceta, możesz zrezygnować z-kasyna i... możemy wspólnie rozważyć, jak go utemperować.

– Przy pomocy waszych goryli? – Wadera podejrzliwie mierzy ich wzrokiem. Niepokoi ją ich ustepliwość i skłonność do kompromisu.

– Goryle to ostateczność – z niesmakiem krzywi się Bankier.

– Nie jestem gangsterem! – podkreślą z urazą – tylko w ostateczności uciekam się do tego środka... wiesz o tym. Dotychczas nic nie mam do Horwata, przypuszczam, że w przyszłości też nam nie zagrozi... Jestem skłonny – dodaje z namysłem – sam z nim pogadać!

– Stary, to nierozsądny pomysł – kręci głową Opat. – Horwat nie należy do mężczyzn, którzy zgodzą się tolerować pracę swojej dziewczyny w takiej branży – starannie dobiera słowa, aby jej nie drażnić.

– Masz rację – mruczy zachmurzony Bankier. – Słuchaj! – nachyla się nad dziewczyną – daję ci trzy dni do namysłu – jego ton nie jest już serdeczny, brzmi sucho, niecierpliwie – jeśli do tego czasu nie zmienisz postanowienia, rozliczysz bar i zwolnisz pokój.

– Nie jestem pewna, czy w trzy dni znajdę inny.

– To już nie moja sprawa.

– Niech pomieszka do końca miesiąca – niespodziewanie interweniuje Opat.

– Nie bądź wspaniałomyślny moim kosztem – obrusza się Bankier. – Mieszkanie potrzebuję dla nowej barmanki. Może ja mam podawać napoje i zajmować się tym całym kramem?

Opat bezradnie rozkłada ręce i wymownie spogląda na dziewczynę.

Wadera idzie powoli przez znajome ulice; usiłuje trzeźwo zastanowić się nad sytuacją. Ale zmęczenie i lęk nie sprzyjają znalezieniu wyjścia. Jedno, co dotkliwie czuje, to wzrastające przerażenie przed niepewnym jutrem. Trzy dni, a później?... wynajęcie pokoju to tysiąc złotych miesięcznie, niekiedy trzeba płacić z góry za rok. Mizernih oszczędności wystarczy na kilka miesięcy. Jak znaleźć pracę, jakkolwiek, aby pozostać w tym mieście, bliskim jej, a tak teraz nieprzyjaznym.

Zawsze mogę powrócić do swoich – dodaje sobie otuchy. Ale mizerne to pocieszenie; oszukuję siebie – rodzi się natrętna myśl. – Nie mogę tam wrócić, nie mogę... to klęska dla starych – wspomina rodziców. Klęska ich nadziei, ich ambicji. Umrą ze wstydu pod presją ludzkiej opinii. Zwalić im się na kark, niech utrzymują niewydarzoną córeczkę. Czy tylko tyle potrafię?

Piotr! – na dnie świadomości kołacze malutka nadzieja na jego pomoc.

Nie – odsuwa od siebie kuszące marzenie, aby przewidywany zawód nie zdruzgotał jej doszczętnie, nie pozbawił resztek godności, woli.

– Jeszcze nic cię nie nauczył ten rok w Gdańsku? – łapie się na tym, że ogarnięta pasją mówi sama do siebie.

Przestań się wreszcie czepiać mężczyzny – nakazuje sobie. – Bankier miał rację... jeszcze liczę, wciąż liczę na kogoś... Nie można być aż tak zależną od drugiego człowieka. Takiego ciężaru on wcale nie chce i będzie chciał się go pozbyć... Mit opieki, mit pomocy, kiedy wreszcie przestanę w to wierzyć... są słabi, egoistyczni, wygodni i nieskłonni do poświęceń...

Nad czym ja rozpaczam – otrząsa się, zbierając resztki energii. – Świat się przecież nie zawalił. Na skutek własnej głupoty zostałam bez pracy i mieszkania, bez prawa pobytu w tym mieście – to wszystko. Chcę w nim pozostać, ale nie za wszelką cenę! Bo chcę być człowiekiem, i blisko mężczyzny, którego... Więc muszę to rozwiązać s a m a!

A jednak robi jej się raźniej i niemal wesoło, gdy około południa przychodzi Piotr. Nie zastanawia się, dlaczego Horwat zjawia się bez uprzedzenia i o tak niezwykłej porze.

– Wcześniej wróciłaś – zauważa, gdy dziewczyna prowadzi go do swego pokoju.

– Tak – dopiero teraz ogarnia ją popłoch, bo przecież dokładnie zapowiedziała swój powrót dopiero za dwa dni. – Tak, zdążyłam wrócić wcześniej – pociera dłońią oczy podkrążone liliowymi cieniami, pobladła; bez makijażu przypomina wystraszoną dziewczynkę.

– Skąd wracasz?

Nie odpowiada; waha się jeszcze tylko krótką chwilę, lecz nie ma już siły na wykręty, uniki. Chce być nareszcie w zgodzie ze sobą, z nim, z życiem. Nie musieć kłamać! Serce w niej zamiera, ale mówi szybko, aby nie zostawić sobie odwrotu.

– Już więcej nie będę wyjeżdżała i... muszę szybko zmienić mieszkanie... wymówiono mi – wyrzuca jednym, tchem.

– Ooo! – Piotr krzywi się z przekąsem – co za zmiany, co za

zmiany. Taki przełom w przeciągu jednej nocy! Zmieniłaś pracę?

– Już nie mam pracy – mówi wolno i boi się spojrzeć na niego. – Od dziś nie mam pracy ani mieszkania i... właściwie prawa pobytu w Warszawie... widzisz, ja nie mam stałego zameldowania... to wszystko – podnosi na niego oczy, ale widzi gniewnie skrzywioną, nieprzyjazną twarz.

– I może ja mam się o to wszystko postarać? – ton jest obraźliwy; Piotr mimo niesmaku do siebie stara się ją upokorzyć.

– Niczego od ciebie nie oczekuję – odpowiada z godnością dziewczyna; gaśnie malutka nadzieja, malutka wiara w jego życzliwość. – Zawsze chciałeś ode mnie prawdy, zadreżczałeś mnie żądaniem prawdy – dodaje z goryczą – więc mówię ci, jak jest...

– Zawsze kłamałaś i teraz kłamiesz! – z furią krzyczy Piotr.

– Teraz nie – mówi ze znużeniem. – Czego ty wreszcie ode mnie chcesz, Piotrze? Złoszczą cię moje kłopoty, bo boisz się, aby nie zmały twego spokoju. Powtarzam: niczego od ciebie nie oczekuję, możesz, a nawet powinienes w tej chwili odejść i zapomnieć o moim istnieniu. To bardzo nieudane istnienie, zapewniam cię.

Jej rezygnacja przekroczyła granicę, poza którą nie ma już strachu, nadziei, nie ma nawet pragnień. W tej chwili nawet ten mężczyzna jest jej obojętny i obojętna myśl, co będzie dalej.

Piotr nie rozumie tej nagłej zmiany jej nastroju. Podejrzewa w tym grę, kolejny wybieg, udawaną dumę.

– Ty dziwko z oczami dziecka!

– Przyszedłeś mnie obrażać? – pyta apatycznie; ma przy tym zamkniętą, pozbawioną wyrazu twarz i tęczówki jak dwa kawałki nieprzejrzystego szkła. Piotr nie cierpi tego jej spojrzenia.

– Co robiłaś w tamtym domu przez całą noc?... – pedantycznie, z ponurą satysfakcją wymienia adres. – Widziałem, jak wchodziłaś, czekałem na twoje wyjście, i widziałem tych facetów sutener i alfons!

– Ach, więc i to! Śledziłeś mnie – mówi bezbarwnym głosem dziewczyna.

Horwat czuje wzbierającą w nim furię; zaciska dłonie na po-

ręczach fotela, byle jakoś ochłonać, bo jeszcze chwila, a uderzy tę pobladałą twarz, zmusi ją do jakiejś ludzkiej reakcji. Chociażby do łez, chociażby do złości. Wszystko jedno, byle tylko zburzyć, zmącić tę nieznośną obojętność manekina.

Jest zawiedziony i czuje się oszukany, ośmieszony. Przy tym jest zupełnie zbity z tropu. Spodziewał się zaskoczenia, strachu, zaprzeczeń, wykrętów, płaczu, może błagań o przebaczenie, przyrzeczeń.

– Co to za melina, kto są ci mężczyźni? – kipi w nim zazdrość i upokorzenie. – Co tam robiłaś?

Regina otrząsa się z odrętwienia, pod maską chłodu j obojętności zastanawia się gorączkowo, co odpowiedzieć. Nie przewidziała, że Piotr może ją śledzić, odkryć kasyno. Jest gorzej, niż myślała. Musi mu powiedzieć prawdę, inaczej on spróbuje wyjaśnić wszystko na własną rękę.

Dziewczynę ogarnia przerażenie na myśl, że Piotr zechce się wdrzeć do kasyna, a tam nieuchronnie natknie się na goryli szefa. W najlepszym wypadku Opat poinformuje go w sposób brutalny i plugawy o Gdańsku.

– Pracowałam tam do dzisiaj – oświadczają z determinacją.

– Cóż to za praca?

– Nic szczególnego... sprzątanie, podawanie do stołu, porządki...

– Dziewczyna do wszystkiego i tylko w nocy?

– Niesłusznie nadajesz temu taki prostacki podtekst.

– Dość tego! Chcę wiedzieć, co tam robiłaś! – krzyczy Piotr potrząsając ją za ramiona.

– Przecież już sobie odpowiedziałeś! – W Reginie budzi się bunt i niedobra chęć odwetu za doznane upokorzenia. – Puść mnie, zmiażdżysz mi ręce.

– Kto są ci mężczyźni?!

– To jest towarzystwo dla takich gentlemanów jak ty. Dobrze ci radzę, trzymaj się od nich z daleka... nawet judo niewiele tu pomoże. Nie weszli ci w drogę, więc ty im też nie wchodź! To r u l e t a, b a k a r a t, p o k e r, rozumiesz, chłopcze z dobrego domu? Nielegalne kasyno, gdzie ludzie chorzy na hazard tracą w różny sposób zdobyte pieniądze... byłam tam barman-

ką. Tylko barmanką i niczym ponadto! Tam się nie przychodzi w celach, o jakie mnie niezmiennie podejrzewałeś. Tam nikt nie przychodzi zdradzać swoich kochanków, najwyżej siebie! To inny świat, zamknięty, wyizolowany ze świata normalnych ludzi, na swój sposób biedny i godny litości... Nie chciałam ci się przyznać, było mi wstyd... A teraz zapomnij ten adres i tych ludzi, bo jeśli będziesz chciał im zaszkodzić, oni się będą bronili. Są wówczas bezwzględni. Nie ufaj swojej sprawności fizycznej, oni nie bawią się w sportową walkę, atakują grupą i zawsze niespodzianie. I jeszcze jedno... jeśli dowiedzą się, że wiesz to wszystko ode mnie, nie będę miała prawa żyć!

– Ja im skuję mordy! – Horwat jest oszołomiony tym, co usłyszał, lecz nie stajęła w nim wściekłość; jeszcze bardziej rozjątrzył go ton dziewczyny, sposób, w jaki wyjawiała swą tajemnicę, krótko, wręcz po męsku. I to podkreślenie: nic od niego nie chce, nie oczekuje pomocy, pogardliwie jak do szczeniaka.

Horwat nie może rozeznąć się w swoich uczuciach: czy pragnie jeszcze tej dziewczyny, czy chce jej pomóc, czy uciec od niej?

– Piotrze – prosi Wadera, pełna lęku o niego – zapomnij, proszę cię na wszystko, oni mają długie ręce...

– Jakim sposobem trafiłaś w to bagno?

– Bagno, rynsztok, błoto! – wylicza dziewczyna i nagle śmieje się histerycznie. Tych samych słów użyli niedawno tamci z kasyna. Opanowuje się z trudem. – Nie mam ochoty ci tego opowiadać! – prawie krzyczy. – Idź sobie stąd, idź!

– A ty wrócisz do tych gangsterów?

– Nie wiem, ale obmierzła mi twoja porządność. Twoja załgana moralność przyprawia mnie o mdłości. Uzurpujesz sobie tylko prawa! Cała twoja uwaga koncentruje się poniżej pępka. Tam lokujesz godność, charakter, prawość! Nie wytrzeszczaj tak oczu i nie rób głupiej miny zgorzonego bigota... To pięknie i wygodnie mieć niekłopotliwą dziewczynę... przyjdź – jest; odejdz – znika... Ale co się z nią poza tym dzieje, to już jej wyłączna sprawa! Jesteś subtelny, szanujesz indywidualność partnera... Idź już – powtarza nagle już bez pasji – co ja wygaduję. Jesteś w najzupełniejszym porządku, tylko ja... idź już!

– Regina, jeżeli teraz wyjdę, to... nie wrócę – grozi do głębi urażony Horwat.

– Ależ wiem o tym od chwili, gdy tu wszedłeś! Masz dostateczną ilość pretekstów, aby z czystym sumieniem to uczynić. Jeszcze ci mało? Mam po dziurki od nosa twego widoku i obsesyjnej troski o moją cnotę!

Opat przystaje w drzwiach kuchni i z niezbyt mądrą miną przygląda się Bankierowi. Potem wybucha gromkim śmiechem.

Bankier spocony, z zawiniętymi rękawami smokingowej koszuli i przepasany fartuchem z kwiecistego kretonu wygląda groteskowo, miotając się bezradnie między otwartą lodówką i biało lakierowanym bufetem, który zalegają bezładne piramidy różnych produktów. Właśnie rozpaczliwie zmagał się z urządzeniem do krojenia pieczywa, ale kromki wychodziły zbyt cienkie lub nazbyt grube.

– Czego rżysz? – pyta płacząco – lepiej byś pomógł... sam tego bałaganu do sądneho dnia nie skończę. Niewdzięczna bestia z tej dziewczuchy, prosiłem, aby chociaż dziś pomogła. Nie i nie! co za cholerny charakter...

– Kogo dziś postawisz za barem? – Opat zdejmuje marynarkę i majstruje przy krajarce do chleba.

– No właśnie – wzdycha Bankier. – Dziś przyjdzie wdowa...

– Uuu, krówsko!

– A co mam zrobić? Przynajmniej pewna... To prawda, że stara, gruba i rusza się jak mamut. Dla nas się w ogóle nie nadaje... Trzeba było dziewczynie lepiej płacić, nie miałbym teraz takiego kramu – z obrzydzeniem operuje łąpatką, rozsmarowując masło na kromkach.

– Można ją opluskwić w oczach tego sportowca, podbarwić Gdańsk... facet ją rzuci, a my się uzalimy i dziewczyna nasza! – radzi Opat.

– Głupi jesteś – obrusza się Bankier. – Nie doprowadzajmy jej do ostateczności. Jeśli przez nas rzuci ją kochanek, może stać się niebezpieczna... Miarkuj wiatr według wełny jagnięcia! To już w piśmie świętym nakazywano.

– To przestań jęczeć! Trzeba znaleźć nowe jagnię – wzrusza

ramionami Opat. – Nie mogłeś tej starej krowy zagonić do kuchni? – mówi o wdowie,

Zakrzewski nie odpowiada, robi jakiś nieokreślony gest dłonią i z rezygnacją układa przekąski na półmiskach.

Gdy rozlega się hasło, przekazane przez mikrofon ukryty w dźwiękochłonnym obiciu drzwi, wszystko jest przygotowane; nawet tłusta wdowa, starannie uszmkowana, prezentuje się znośnie w łagodnym świetle kinkietów.

Niebawem jest komplet i pierwsze sztony sypią się na zielone sukno. Opat wezwany przez Gorzeńca schodzi na dół. Ponury osiłek szarpie się z Rajflem, nie wpuszczając go na górę.

– Co za wyglupy? – woła z pretensją mechanik na widok Opaty. – Czego ten gamoń chce?

– Wynos się stąd – Opat odsuwa Gorzeńca i staje blisko Rajfla, niemal dotykając go piersią. – Golców nie przyjmujemy, kto nie ma pieniędzy na grę...

– Nie przyszedłem grać! Chcę z tobą porozmawiać w cztery oczy – mówi z naciskiem Rajfel.

– Oddaj, co jesteś winien, tu, na rękę! – cedzi Opat.

– Nie wyglupiaj się! – Rajfel nie daje zbić się z tropu. – Odeślij Gorzeńca – zniża głos.

– Nie chcę cię tu widzieć! – Opat odsuwa się od niego. – Jeszcze słowo, a stracę cierpliwość...

– Ty tchórz!

Dalsze słowa przerywa dźwięk dzwonka; to szef wzywa Opaty na górę.

– Zapamiętaj sobie! – Opat podsuwa pod nos mechanikowi zaciśniętą pięść. Na jego serdecznym palcu wielki kamień, uwięziony w złocie oprawy, lśni ciemną purpurą, jak olbrzymia kropla krwi. – Mam ci pomóc wyjść?

– Dziękuję, sam wyjdę – Rajfel wycofuje się, składając błazeński ukłon. Gorzeniec rygluje za nim drzwi.

Na górze Opaty ogarnia wściekłość na widok wdowy niemrawo zmagającej się z butelką koniaku. Pomaga jej wyciągnąć korek, napełnia kieliszki. Ale wdowa znowu nie może sobie poradzić, tym razem z butelką szampana.

– Ech, ty – syczy Opat z furją.

Kobieta podnosi dłoń do twarzy, aby osuszyć nagłą łzę, grożącą sztywnym od tuszu rzęsom, i jej pulchny łokieć strąca kiełiszki, z brzękiem sypie się rozbite szkło...

Zakrzewski robi przerwę i skinieniem dłoni przyzywa ku sobie Opat. Pociąga współnika w kąt salonu.

– Po przerwie ty prowadzisz grę: Ja muszę wyjść!

– Zwariowałaś?! Ta słonica zdemoluje tymczasem bar.

– Przez godzinę nawet ona nie rozwali baru... Niech jej pomoże Gorzeniec.

– Masz przedszkole czy kasyno? – złości się Opat. – Gorzeniec jest niezbędny na dołę, musi pilnować goryli.

– To nie przejmuj się barem – już ze zniecierpliwieniem mówi Bankier. – Kij kładę na dzisiejszy dochód z baru, mam ważniejszą sprawę. – Jest niezwykle podniecony, sprawia wrażenie nieobecnego.

– Dokąd ci tak pilno? – nie ustępuje.

– Do domu... umówiłem się z Moreno, domyślasz się, w jakiej sprawie.

– A dlaczego ja o tym nic nie wiem? – Opat jest dotknięty do żywego. – Nie mogłeś się umówić tutaj? W domu – przedrzeźnia Bankiera. – ...Gównu będziesz miał z dzisiejszej gry, nie wyjdziemy nawet na swoje...

– Zapominasz się, chłopcze – głos szefa lodowacieje. – Nie mam obowiązku tłumaczyć się przed tobą ze wszystkich swoich interesów. A teraz zajmij się robotą!

Opat już nic nie mówi, posępnym spojrzeniem odprowadza go do drzwi. Po przerwie ujmuje w dłoń grabki krupiera; o okna uderza pałdziernikowy wiatr.

Wieczór jest ciemny; zimny wiatr zamiata kolorowe liście, szarpie gałęziami drzew okalających jasno tynkowane bloki osiedla. Jakiś przechodzień, otulony wiatrówką, w zniszczonym baskijskim berecie, wciśniętym aż po brwi, przemyka się wśród luźno stojących domów.

Klatka schodowa, pod sklepieniem słaba żarówka w drucianej osłonie. Cisza. Nikogo. Jeden krok ku ściennej szafce z metalowymi drzwiczkami, krótka manipulacja i w korytarzu gasną światła.

Mężczyzna w baskijskim berecie wślizguje się do windy, naciska guzik. Za chwilę ósme piętro, ostatnia kondygnacja, wyżej są już tylko strychy.

Opuszcza dźwig, z zapartym oddechem przypłaszcza się do ściany, wsłuchuje się w mrok. Czeka tak kilka sekund, potem omiata korytarz wąziutkim snopem jaskrawego światła kieszonkowej latarki. Uspokojony przesuwa się do pierwszych z lewa drzwi.

Białe światło, o średnicy nie szerszej niż napastrzek, nieruchomo spoczęło na otworze zamka. Delikatny dźwięk kluczy, wyciszony zaraz dłonią w irchowej rękawiczce, charakterystyczny chrobot odsuwanych zastawek, promień przesuwa się wyżej, ale dwa pozostałe rygle nie stawiają oporu. Nie są zamknięte. Jeszcze tylko nieskomplikowany zamek w ściennej szafce, podobnej jak na dole. Gazomierz, licznik, ruch dłoni przy bezpiecznikach; delikatne naciśnięcie klamki i drzwi cicho ustępują, przepuszczając do wnętrza mężczyznę w basku.

Pewnie, już bez pomocy latarki, mija długi przedpokój, prześlizguje się przez uchylone drzwi do pokoju po prawej stronie. W głębi majaczy prostokąt balkonowego, uchylonego okna. Podmuchy wiatru mierzwią lekką firankę. Mężczyzna bezszelestnie myszkuje po pokoju, sprawdza szuflady. Wspina się do najwyższych półek obudowanej aż pod sufit ściennej szafy.

Wyciąga jakiś woreczek, palce natrafiają na płaskie puzdro – upycha to wszystko w zanadrze. Znów przez przedpokój przemyka się do sąsiedniego pomieszczenia...

Przykuwa go do miejsca jakiś szmer. W najdalszym kącie pokoju dostrzega dwa punkty fosforyzujące zielono. Powtarza się ten sam odgłos ni to charkotu, ni zduszonego okrzyku...

Serce zastyga na chwilę i zaraz bije szybkimi uderzeniami, w skroniach grzmot krwi.

Przecież to tylko kot! – spływa olśnienie. Jednym susem zbliża się do biurka, gdy nagle wyrasta przed nim masywny cień.

– Łajdaku, poznałem cię! – zduszony szept i cień z łoskotem wali się na niego, zbija z nóg, przypłaszcza do podłogi. W tej samej chwili słyszy wściekłe miauknięcie, obok twarzy widzi niesamowite, zielone ślepie i czuje na szyi, tuż przy nasadzie bar-

ku, zagłębiające się pazury.

Ogarnięty paniką, bije z całej siły, kantem rozwartej dłoni, w skroń atakującego go człowieka, drugą ręką oddziera od siebie i ciska, jak może najdalej, oszalałe ze strachu zwierzątko.

Jednym ruchem strząsa z siebie napastnika, który leży teraz przed nim nieruchomy, jak ciemny tłumok, pozbawiony czucia... Dotyka go ostrożnie, z niedowierzaniem i przerażeniem.

Nie ma co się łudzić! Ten człowiek poznał go... To nie wytwór podnieconej strachem wyobraźni.

Teraz prawie już nie myśli, rządzą nim odruchy; okrutny, atawistyczny instynkt samoobrony.

Przy świetle latarki nerwowo wyrzuca przedmioty, zabrane przed chwilą. Gdy w wąskim promieniu światła pojawia się lśniąca klinga noża, ogarnia go groza.

O Boże – dławi go strach – te smugi, te matowe smugi na ostrzu!

Chowa latarkę, nie chce już nic więcej widzieć. Jak to się stało? Niezbyt przytomnie spogląda na fosforyzującą tarczę zegarka na przegubie ręki.

Dochodzi godzina dwudziesta pierwsza piętnaście.

Nowa fala strachu podbiega do gardła i zmusza do działania. W momencie, gdy rzuca się do ucieczki, napiętą ciszę rozdziera dźwięk telefonu. Sygnał jest długi, uporczywy...

Równie uporczywie dzwoni telefon w pokoju przylegającym do stylowego salonu rulety.

Niemrawa wdowa przeciska się zza baru i ciężkim truchtem dopada słuchawki. Ktoś wzywa Opata, który w tej chwili uważnie śledzi wirujący cylinder rulety. Z daleka dostrzega znak wdowy, jednak spokojnie czeka na koniec rundy.

– Mały antrakt, proszę państwa – wybiega z salonu i bierze słuchawkę.

Przez rozwarte drzwi obserwuje graczy, nie spuszcza spojrzenia z zielonego sukna stołu.

Słuchając przykrywa dłonią membranę, chłodnym spojrzeniem znów prześlizguje się po twarzach ludzi, zebranych wokół rulety.

Gracze spoglądają na niego, już niespokojni, ale nic nie mogą

wyczytać z twarzy Opatą, pozbawionej jakiegokolwiek wyrazu.

Odkłada wreszcie słuchawkę i staje w drzwiach salonu.

– Proszę państwa – zwraca się do zebranych – musimy przerywać grę. Wymaga tego bezpieczeństwo nas wszystkich. Proszę się nie denerwować, portier na dole jest do waszej dyspozycji i wie, co ma robić w takich przypadkach. Dobranoc państwu! O następnym terminie gry powiadomimy jak zwykle!

Salon pustoszeje, wszyscy pośpiesznie schodzą na dół. Gorzeńiec podaje okrycia, później wychodzi na dwór, bada sytuację na ulicy. Uspokojony wraca i wypuszcza gości parami w małych odstępach czasu.

Po piętnastu minutach nie ma już nikogo, gasną światła w salonie, tylko w pokoju z telefonem świeci się gabinetowa lampka.

Opat odprawia wdowę, potem zwalnia Gorzeńca, odliczając mu zapłatę dla obstawy.

– Trzeba będzie zrobić przerwę – uprzedza. – Nie przychodź bez wezwania, musimy przeczekać...

Gdy tylko zamyka za nim drzwi, pędzi na górę i wykręca numer na tarczy telefonu; przeciągły sygnał, jeden, drugi... dziesiąty. Po tamtej stronie nikt nie podnosi słuchawki.

Miota się gorączkowo, wyciąga pościel i ściele tapczan, potem porządkuje salon, zbiera na tacę kieliszki, sprzęta nakrycia, wysypuje z popielniczek niedopałki.

To nerwowe krzątanie przerywa dźwięk telefonu. Podbiega do aparatu i przez chwilę waha się, zanim zdejmuje z widełek słuchawkę.

– ...Moreno – niemal z ulgą rozpoznaje głos skrzypka –...przecież się spóźniłeś, więc dlaczego masz pretensję? Oczywiście, czekał na ciebie... Idź! Na pewno będzie... bardzo się śpieszył...

Godzina dwudziesta druga dwadzieścia. Podoficer dyżurny w sali operacyjnej stołecznej milicji, młoda kobieta o ciemnorudych włosach, podnosi słuchawkę.

– Pogotowie milicyjne, słucham? – przysuwa do siebie blok, notuje godzinę zgłoszenia.

– Tu Kowalski, gospodarz domu przy ulicy Małwy osiem –

głos po tamtej stronie przewodu drga nienaturalnym brzmieniem. Człowiek, który to mówi, łapie powietrze jak po długim biegu. – W mieszkaniu numer siedemdziesiąt sześć grasują złodzieje, przyjeżdżajcie prędko... – połączenie zostaje przerwane.

Rudowłosa dziewczyna z naramiennikami sierżanta natychmiast wywołuje przez mikrofon radiowóz pełniący służbę patrolową w pobliżu ulicy Malwy. Powtarza treść zgłoszenia.

Godzina dwudziesta druga trzydzieści pięć – załoga wozu patrolowego jest już na miejscu. Kierowca pozostaje na podwórku, plutonowy i kapral wpadają do klatki schodowej. Światło nie działa. Plutonowy przy pomocy latarki odnajduje kasetę i dokręca zluzowane bezpieczniki, wskakuje do windy. Kapral biegnie do góry schodami.

Na podeście piątego piętra niemal zderza się z tęgim mężczyzną. Tamten usiłuje minąć milicjanta, nawet mamrocze coś jak: – Przepraszam!

Plutonowy zatrzymuje go, żąda okazania dokumentów.

Grubas sięga do wewnętrznej kieszeni eleganckiej kurtki z wielbłądziej sierści. W tym momencie milicjant spostrzega wąskie, krwawe bruzdy na zewnętrznej stronie jego dłoni. Szykowna kurtka z kapuzą również pobrudzona jest krwią.

Milicjant chowa dowód do torby i zabiera zażywnego pana na górę. Tamten błady i przerażony bełkoce coś niezrozumiale, próbuje się opierać.

Na górze dudnią schody pod szybko biegnącymi stopami; na podeście zatrzymuje się plutonowy, wysłuchuje lakonicznego wyjaśnienia kaprala, również spostrzega plamy na ubraniu mężczyzny i jego poranioną rękę.

– Idź i pilnuj wejścia – mówi plutonowy do kolegi. – Drzwi nie są zamknięte, ale nie wchodź do środka! To sprawa facetów z kryminalnego. Idziemy! – zwraca się tym samym tonem do mężczyzny w kurtce z wielbłądziej wełny. Bierze go pod ramię, sprowadza na podwórko, oddając pod opiekę kierowcy, a sam wchodzi do wozu i włącza mikrofon.

– Tu B-18... Malwy osiem, mieszkanie siedemdziesiąt sześć, zabójstwo... zatrzymaliśmy, podejrzanego, proszę o skierowanie brygady dochodzeniowej!

Dyspozytor centrali przyjmuje meldunek i alarmuje dyżurnego służby kryminalnej.

Godzina dwudziesta trzecia. Na miejscu zbrodni są już specjaliści. Dowódca radiowozu pośpiesznie informuje o sytuacji.

– Podobnie jak na klatce, tak i w mieszkaniu światło było wyłączone... Niczego nie dotykaliśmy. W domu światło nadal nie działa. Kasetą licznika i gazomierz znajdują się obok drzwi wejściowych na korytarzu...

Godzina zero osiem, nad uchem śpiącego majora Korosza uporczywie brzęczy telefon. Wreszcie inspektor otwiera oczy, znany jest z tego, że sen ma jak drwal i niesłychanie trudno go obudzić.

– Korosz, słucham? – mruczy wściekły.

Wiadomość z tamtej strony przewodu podrywa go natychmiast. W kilka minut później major wchodzi do mieszkania numer siedemdziesiąt sześć przy ulicy Malwy osiem.

– Co to jest? – ze zdziwieniem pochyla się nad nastroszonym, kudłatym kłębuszkiem, wtulonym w kąt przedpokoju.

– Kot – oznajmia porucznik, kierownik grupy śledczej.

Zwierzę ma zmierzwione futerko, wielkie ślepia płoną jak karbunkuły, drżą łapy, skrępowane chustkami do nosa. Na przyjazny gest inspektora wściekle miota puszystym łbem, płasko stula uszy i kłapie drobnymi, ostrymi ząbkami. Pac! pac! – uderza jedwabisty ogon.

– Szalał – odpowiada porucznik na nieme pytanie majora. – Musieliśmy go związać, podrapał technika i mnie – pokazuje rękę pokrytą czerwonymi bruzdami.

– Piękny okaz persa – kiwa głową inspektor, idąc za porucznikiem w głąb mieszkania.

– Leżały w nie zamkniętej szufladzie biurka – informuje tamten, wskazując banknoty wyłożone na szklany blat. – Pięćdziesiąt tysięcy z bazanowskiego banku! W tej sytuacji przerwaliśmy oględziny do pańskiego przybycia.

Banknoty nie sprawiają wrażenia nowych, jednak są dziwnie zużyte.

– Tak – inspektor, nie dotykając, ogląda je przez małą, kieszonkową lupę. – Spreparowano je niezbyt zręcznie. Zgniecio-

ne, zamoczone w wodzie i rozprasowane...

Major ogląda pokój. Duży salon jest w jasnobieżowej tonacji. W pobliżu okna stoi biedermeierowska sekretera, przy niej także fotel, pod ścianą berżera w tym samym stylu. Po przeciwległej stronie całą długość ściany zajmują rzeźbione szafy, zdobne okuciami z brązu. Na półkach za szkłem leżą najróżniejsze instrumenty muzyczne. Niektóre zamknięte w futerałach, inne ułożone wprost na miękkiej tkaninie.

Na starym smyrneńskim dywanie o cudownie pięknych, jakby wypełzłych barwach, między fotelami a niskim stolikiem, leży odwrócone na wznak ciało mężczyzny. Głowa jest przechylona na bok, skroń i kość policzkową przecina podłużna fioletowa pręga. W miejscu, gdzie spoczywa lewy bark, harmonię rysunku kobierca maści niewielka, rudawa plama zakrzepłej krwi. Opodal bezwładnie opadłej ręki leży fiński nóż z kościaną rękojeścią i ostrą stalową klingą.

Mężczyzna jest ubrany w czarne smokingowe spodnie z atłasowymi lampasami, lakierki, nieskazitelnie białą koszulę i domową kurtkę z płowej, miękkiej wełny! Na sztywnym, wykrochmalonym gorsie leży skórzany, pękaty woreczek, rodzaj dużej sakiewki lub kapciucha, ściągnięty ciasno rzemienną krajką, oraz wytarte puzdro, przypominające etui na biżuterię.

Na stoliku rozstawiona prześliczna zastawa do herbaty z chińskiej laki. Imbryk jest pełen aromatycznego, wystygłego płynu, jedna filiżanka napełniona herbatą, dwie pozostałe, przewrócone, tkwią w kałużach rozlanej cieczy, której część ściekła i wsiąkła w dywan.

Po przeciwnej stronie stolika stoją jeszcze dwa krzesła i taboret, widocznie przyniesione z sąsiedniego pokoju. Tuż przy drzwiach wala się mosiężny lichtarz, tkwią w nim nadpalone świece, trzeci ogarek, pokryty stearynowymi soplami, wypadł z ramienia świecznika i potoczył się aż pod próg.

Porucznik podaje inspektorowi dokumenty, wyjęte z kieszeni smokingowej marynarki, przewieszanej przez poręcz fotela, stojącego przed sekretarą.

– Borys Zakrzewski, lat pięćdziesiąt sześć, zawód: pracownik umysłowy... – półgłosem odczytuje major.

W portfelu oprócz dowodu i kilku banknotów znajduje się legitymacja rencisty.

– Renta inwalidzka. – Major zwraca dokumenty porucznikowi, a sam przechodzi do sąsiedniego pokoju.

Drzwi ściennej szafy z jasnego, matowego drzewa są uchylone, szuflady wyciągnięte. We wnęce stoi prosty tapczan, przykryty futrzaną narzutą, przy nim niska półka, na niej telefon, lampa z kremowym, jedwabnym abażurem, stos książek.

– „Chordofony smyczkowe”, „Skale diatoniczne”, „Aerofony”, „Idiofony”... – major odczytuje dziwaczne tytuły na grzbietach opasłych, oprawnych w skórę lub wytarte płótno tomów.

W pobliżu okna olbrzymi regał jest ciasno wypełniony podobną literaturą. Piętrzą się tam stare foliały obok nowych książek w barwnych, błyszczących obwolutach. Zbiór jest różnorodny, teksty angielskie, francuskie, przeważają jednak włoskie i polskie.

– Interesujące hobby – mruczy major.

Oddzielny regał zalegają periodyki z dziedziny lutnictwa, porządnie poukładane datami. Jeden z nich jeszcze w kopercie, stemple, ofrankowanie i adres nadawcy pochodzą z Mediolanu.

Na wprost uchylonego balkonowego okna stoi prostokątny, zajmujący prawie całą szerokość pokoju, wąski stół, zarzucony najróżniejszymi przedmiotami. Zalegają go flakoniki pełne jakichś cieczy, płyty rezonansowe, podstrunnice, smyczki, na kołkach wiszą zwoje włosia, ślimacznice strun z jelit, mosiądzu lub stali, leżą bryłki kalafonii.

Zagląda porucznik, zawiadamia o zakończeniu oględzin w pokoju, gdzie jeszcze leży zamordowany. Dodaje, że ambulans medycyny sądowej jest już w drodze.

– Przyrowadź zatrzymanego – poleca inspektor.

W asyście plutonowego zjawia się mężczyzna w kurtce z wielbłądziej wełny. Widok majora szokuje go jeszcze bardziej. Wlepia w inspektora wodniste, zaczerwienione teraz oczy.

– Znów się spotykamy, panie Moreno – wzdycha Korosz. – Co pan tu robi? – uprzejmym gestem podsuwa mu krzesło.

– Ja tu nie byłem – muzyk siada w taki sposób, aby nie patrzeć na zwłoki. – Dzwoniłem, byłem umówiony z panem Za-

krzewskim, ale nikt nie otworzył, więc odszedłem, no i... spotkałem milicjantów...

– Niechże pan będzie rozsądny i nie wypiera się tak niemądrze. Pogarsza pan i tak już wystarczająco ciężką sytuację. A to co? – ujmuje jego rękę ze śladami kocich pazurów. – A ta krew na kurtce? Proszę to zdjąć!

Moreno posłusznie ściąga okrycie, odbiera je od niego technik. Muzyk z opuszczoną głową masuje, swą kształtną dłoń.

– Widzi pan, ten kot nie tylko panu nie pozwalał zbliżyć się do zabitego. Koledzy mają podobne znaki. No więc, będzie pan rozsądny?

– Nie jestem mordercą! – krzywi się bliski płaczu Moreno.

– Ja tego nie powiedziałem – podkreśla major.

– Ale traktujecie mnie jak...

– Proszę pana – niecierpliwie się Korosz. – Przecież zamordowano człowieka, jest pan pokrwawiony i zatrzymano pana podczas ucieczki z tego mieszkania. Kiedy miał się pan spotkać z Zakrzewskim i w jakim, celu?

– ...Spóźniłem się, i to znacznie... konserwowałem mi skrzypce... miałem je właśnie odebrać... spóźniłem się, bo nie miałem pieniędzy...

– Jakie to skrzypce? Proszę obejrzyć te instrumenty – major podprowadza go do oszklonych szaf.

Moreno podchodzi ociężale i pilnie ogląda; major otwiera futerały. Tamten kręci głową, porusza ustami, jakby żuł coś bardzo twardego.

– Tu ich nie widzę, panie majorze! Moje skrzypce są niesłychanie cenne! – niemal krzyczy. – To „A m a t i”, rozumie pan, „A m a t i”! – opada z powrotem na fotel.

Porucznik podsuwa Koroszewi skorowidz w twardej okładce. Zawiera on nazwiska, zapisane w alfabetycznym porządku. Przy nich widnieją pedantycznie wyszczególnione marki instrumentów przyjętych do naprawy i termin wykonania pracy. Nigdzie nie ma notatki, dotyczącej instrumentu Ivo Moreno, skrzypiec Amatięgo

– Przykro mi, ale musimy pana zrewidować – inspektor ruchem dłoni daje znak porucznikowi. Moreno poddaje się temu

z rezygnacją, już nie protestuje.

Oprócz kilku nieistotnych drobiazgów przy muzyku znajdują pięćdziesiąt tysięcy złotych w nowiutkich tysiączłotowych banknotach.

Porucznik sprawdza pieniądze w sąsiednim pokoju; ani jeden banknot nie nosi numeru lub serii zastrzeżonej w związku z włamaniem w Bazanowie.

Major jest niemal rozczarowany, podejrzewał, że i te pieniądze pochodzą z obrabowanego banku.

– Ile miał pan zapłacić za reperację? – pyta.

– Cztery i pół tysiąca – wzdycha Moreno.

– Po co pan nosił przy sobie tak wielką sumę? – dziwi się Korosz.

– Otrzymałem dzisiaj honorarium, nie zdążyłem przekazać na swoje konto – wyjaśnia muzyk.

– O tej porze wypłacono panu honorarium, w nocy? Dopiero słyszeliśmy, że spóźnił się pan na spotkanie z Zakrzewskim właśnie przez brak pieniędzy, więc gdzie to pan otrzymał i kiedy?

– Wieczorem oddano mi dług... bo właśnie przedtem całe honorarium pożyzyłem i dlatego – płacze się Moreno.

– Dobrze, wrócimy jeszcze do tego – przerywa inspektor. – A więc przyszedł pan, uprzednio umówiony, na którą?

– Na dziewiątą.

– A kiedy pan tu przybył?

– Mogło być w pół do jedenastej, może wcześniej...

– Dobrze – zgadza się Korosz. – Proszę dokładnie opowiedzieć, co było dalej!

– Nikt nie odpowiadał na dzwonek, odruchowo nacisnąłem klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Wszedłem, zawołałem: – Panie Zakrzewski! Nikt nie odpowiedział... namacałem kontakt, ale światło nie zapaliło się... zawahałem się, co robić, wówczas usłyszałem coś jak chrapliwy oddech lub zduszony jęk... Wszedłem po omacku do tego pokoju i na sekreterze zamajaczył mi lichtarz, zapaliłem świecę i wtedy... zobaczyłem go leżącego... Pomyślałem, zasnął, zemdlął? Podeszedłem i przyklęknąłem przy nim, uniosłem mu głowę i wtedy rzucił się na

mnie ten kot. Wypadł mi świecznik, świeca zgasła... Strasznie się przeraziłem, a ponieważ i tak nie mogłem już nic pomóc, wyszedłem...

– Skąd był pan taki pewny, że już nic nie można mu pomóc? Skąd to przekonanie?

– Usiłowałem go podnieść – kurczy się Moreno. – Był zimny, bezwładny, sztywny, no i ta krew...

– Zaraz, zaraz – przerywa major – sztywny czy bezwładny?

– Bezwładny, przelewał się przez ręce... zauważyłem finkę.

– Gdzie leżał nóż, czy tak jak teraz? Proszę, niech pan podej-
dzie!

Moreno niechętnie, nie mogąc ukryć wstrętu, pomieszanego ze strachem, podchodzi, do zwłok.

– Prawdopodobnie w tym miejscu, ale nie jestem pewien,..
Panie, co ja przeżyłem! – trzęsie się i zaczyna płakać, jest bliski ataku nerwowego.

Porucznik podaje mu środek uspokajający, tamten posłusznie łyka i popija wodą, podzwaniając zębami o szklankę.

– Proszę pana – podejmuje po chwili major – człowiek względnie normalny, jeżeli znajdzie się wobec takiego wydarzenia, usiłuje przynajmniej sprowadzić pomoc, a już na pewno zawiadomić milicję. Dlaczego pan uciekał?

– Widać jestem nienormalny – chwije głową Moreno. – Nie wiem! Miałem tylko jedną myśl, chciałem uciec jak najdalej od tej makabry! Bałem się...

– I to wszystko, nic pan nam więcej nie powie? – major z niedowierzaniem kręci głową.

– Nic nie ukrywam – jęczy tamten, bezradnie rozkładając ręce.

Zjawiają się sanitariusze z zakładu medycyny sądowej i zabierają zwłoki, co Moreno przyjmuje z widoczną ulgą.

Inspektor każe odwieźć muzyka do komendy na Puławską; tamten z rozpaczą czepia się rąk majora, przekonuje o swej niewinności.

– Muszę pana chwilowo zatrzymać – perswaduje Korosz. – Niechże pan weźmie się w garść i nie maże jak smarkacz... Jeśli jest pan niewinny, rzecz się szybko wyjaśni.

– Opinia w środowisku... przekreślona przyszłość... kontrakt do Włoch – bełkoce tamten.

Wywiadowca sprowadza go do samochodu.

Dozorca przychodzi rozespany, w płaszczu narzuconym na bieliznę; zapytany o nazwisko, odpowiada niechętnie, tłumiąc ziewanie. Wydaje się, że zupełnie nie rozumie, dlaczego milicjant przyprowadził go do mieszkania Zakrzewskiego.

– Proszę nam powiedzieć, jak to było? Pan przecież zawiadomił pogotowie – inspektor jest szorstki, zniecierpliwiony czekaniem.

Kowalski wytrzeszcza na majora wielkie oczy; nie rozumie jego pytań, nie rozumie, czego żąda od niego milicja.

Nigdzie nie d z w o n i ł, do żadnego pogotowia... Od siódmej po południu był w domu, około dziesiątej położył się spać. Jego żona, która pomaga mu w obowiązkach gospodarza domu – bo on ma także drugie zajęcie – również od siódmej była w domu i w tym samym czasie położyła się spać. Ona także na pewno nigdzie nie dzwoniła. Ponadto Kowalscy nie posiadają telefonu... Zameldowanie o grasujących złodziejach? To jakieś nieporozumienie albo głupi kawał.

Inspektor jest zaskoczony. Spisuje oświadczenie dozorca i odsyła go do domu.

Świta. Oględziny zostały zakończone. Grupa śledcza kończy pakowanie niektórych przedmiotów, szczególnie instrumentów muzycznych, które zostaną zdeponowane w komendzie.

Major pociera zmęczone oczy, ma piasek pod powiekami. Rozgląda się jeszcze po mieszkaniu. Zastanawia się, czy niczego nie pominięto.

Przejrzano nawet olbrzymią bibliotekę, niemal kartka po kartce. Zwalone tomy leżą jeszcze na podłodze, zalegają w nieładzie półki.

– Chyba wszystko – podaje dłoń kierownikowi brygady.

– A co zrobimy z tym zwierzakiem? – przypomina porucznik.

– Na razie niech będzie tutaj, i tak trzeba tu kogoś zostawić, przynajmniej na kilka dni... Może ktoś przyjdzie, powiedzmy, z klientów... może się zdarzyć telefon... – major, trze nie ogoloną brodę i marzy o filiżance gorącej kawy.

– No, to odmeldowuję się! A to różne takie szpargały, papierzyska do przejrzenia – oficer podaje Koroszowi pudełko po czekoladkach, przewiązane sznurkiem.

Inspektor pozostaje jeszcze w mieszkaniu i dzwoni do wydziału służby X. Zgłasza się dyżurny. Po kwadransie zjawia się wywiadowca, młody chłopak z niesforne sterczącą, jasną czupryną.

– Jeśli się coś zdarzy, natychmiast melduj Cieślikowi, on wie, gdzie mnie szukać.

Zanim wychodzi, ostrożnie zdejmuje więzy kotu, ale zwierzątko już go nie atakuje. Rozprostowuje zdrętwiałe łapki, biegnie i wskakuje na sekretkę. Wylizuje futerko, a później wlepia w oficera skośne oczy.

– Masz towarzystwo – uśmiecha się inspektor do wywiadowcy. – Daj mu coś jeść...

Inspektor jedzie do domu, bierze zimny prysznic, goli się i przebiera. Dochodzi siódma, gdy zjawia się w komendzie. Dyżurny melduje:

– Moreno umieściłem w pokoju przesłuchań... nie było rozkazu zamykania go w areszcie.

– Dobrze – kiwa głową major. – Jak się zachowuje?

– Płakał, a później usnął.

Major wydzwania Cieślika. Porucznik zjawia się błyskawicznie. Można by pomyśleć, że nic innego nie robił, tylko oczekiwał wezwania.

– Co major taki wyniszczony? – krytycznie ogląda kolegę. – Kac?

– Morderstwo – Korosz tłumaczy ziewanie, krząta się przy przyborach do kawy, jednocześnie krótko wyjaśnia okoliczności.

– Major chce zatrzymać tego skrzypka? – sonduje wywiadowcę.

– Sam nie wiem... – inspektor wchłania silny zapach kawy, który rozchodzi się po pokoju. – Właśnie się przymierzam... Miałeś go na wrywkowej obserwacji. Małwy osiem?... Spotkałeś się z tym adresem w raportach o muzyku?

– Nie... ale ten facet i skrzypek do siebie pasują. Nie znam się na instrumentach, jednak sądzę, że trzeba je od czasu do czasu

konserwować.

– On cos kręci... – inspektor parzy sobie usta, połykając gorący płyn.

– A kto z naszych klientów nie kręci? – wzrusza ramionami Cieślik. – Tu się nie przychodzi na psychoanalizę... Podejrzenie o morderstwo to najcięższy zarzut, wolałbym, aby i nasz szef dorzucił pogląd, na ten temat...

– Dorzuci, dorzuci! – uspokaja go major, przypominając sobie okoliczności aresztowania Czarnego Kciuka.

– Dobra milicja, to cierpliwa milicja! – wywiadowca ma również na myśli tamto zatrzymanie, powtarzając ulubione porzekadło pułkownika Lisa. Przy tym doskonale naśladuje barwę głosu i gesty szefa.

– No to, Cieślik, ruszaj się – decyduje Korosz. – Zanim pójdziemy z tym do Lisa, musimy sprawdzić, czy Moreno posiada w ogóle jakieś konto, czy ma na nim pieniądze, czy wczoraj lub kilka dni temu otrzymał jakieś honorarium. Trzeba wyjaśnić, skąd on miał przy sobie pięćdziesiąt tysięcy złotych... aha! „Amati”! Przyznaje się do posiadania oryginalnych skrzypiec Amatiego, rzekomo oddanych do konserwacji... Po tym instrumencie nie ma śladu. Może on pragnie w ten sposób wydusić jakieś odszkodowanie z masy spadkowej po Zakrzewskim. Jestem skłonny posądzić go o taki zamiar po tym, jak udało mu się przy naszej pomocy wydeptać tysiąc złotych z PZU...

– ...Nadziany facet. Przecież to może być zwykły mord rabunkowy – wywiadowca uważa, że nie należy odrzucać tej najbardziej prostej hipotezy.

– Nie mam jeszcze poglądu – wzrusza ramionami inspektor – może i rabunkowy... Ale tam zostało jeszcze sporo wartościowych rzeczy. Na przykład ta zastawa ze starej chińskiej laki. Przecież to cacko, marzenie każdego kolekcjonera, warte jest nie mniej niż sześćdziesiąt tysięcy złotych! A biżuteria, a pieniądze?

– Skąd u niego takie gusta i takie przedmioty?

– Też chciałbym wiedzieć. Sądząc po wnętrzu mieszkania był to facet kulturalny, chociaż niektóre przedmioty, mimo ich niewątpliwej wartości, są od Sasa... To wygląda trochę jak skrzyżo-

wanie Desy z lamusem. Zastanawiające nagromadzenie różnorodnych staroci. Kolekcjoner? No, idź już!.

Jest pięć po ósmej, gdy inspektor melduje się u pułkownika Lisa. Składa mu dokładną relację z wydarzeń minionej nocy.

– Tylko pięćdziesiąt tysięcy z zastrzeżonych serii – zastanawia się Lis. – Jest tam piwnica?

– Przekopaliśmy ją na dwa metry w głąb – wyjaśnia major. – Nic nie znaleziono.

– Ale kto dzwonił do pogotowia? – pułkownika bardzo zastanawia ten telefon.

– O ile znam się na ludziach, na ich reakcjach, to dozorca nie kłamie. On nie dzwonił! Nie widzę, dlaczego miały się tego wypierać. Po prostu ktoś się pod niego podszył, i to jest ktoś, komu mogło zależeć na wrobieniu Moreno. Ten człowiek musiał jednak być dokładnie poinformowany o spotkaniu Zakrzewskiego z muzykiem, to może być tylko ktoś blisko związany z tym zbieraczem, stąd też zna nazwisko dozorca...

– Ryzykowna teza – wtrąca Lis. – Nie trzeba przyjaźnić się z lokatorami, aby znać nazwisko dozorca.

– Powiedzmy – zgadza się major. – Można jednak przypuszczać, że jest to próba rzucenia podejrzeń na Moreno.

– Morderca?

– Właśnie – przyznaje Korosz. – Na razie to tylko podejrzenie, i to bez pokrycia. – W takim razie co robimy z muzykiem?

Lis nie odpowiada, namyśla się, wyciąga papierosa, ogląda go ze wszystkich stron, bawi się zapalniczką, zanim go przypali. Wreszcie tubalnym basem woła sekretarkę i żąda kawy.

– Nie podoba mi się ten facet, od początku jest niewyraźny – majora nurtują wątpliwości. – Ten jego rzekomo skradziony wóz... dziwna historia...

– To żadna podstawa do pozbawiania człowieka wolności! – ucina pułkownik.

– ...miał kontakt z facetem, u którego znaleziono pieniądze zrabowane w Bazanowie...

– Tak rozumując można zamknąć jeszcze kilku znajomych i klientów Zakrzewskiego, bo przecież mieli z nim kontakty.

– Trzeba przyspieszyć ekspertyzy – wzdycha major.

– A trzeba, trzeba! – pułkownik podnosi słuchawkę, łączy się z zakładem kryminalistyki.

Niespodziewanie szybko zjawia się Cieślik.

– Ivo Moreno rzeczywiście ma konto, na którym posiada w tej chwili tylko czterdzieści pięć zetów. W filharmonii, oprócz stałej pensji w wysokości czterech tysięcy złotych miesięcznie, w ciągu ostatniego kwartału nic ponadto nie otrzymał. Natomiast dowiedziałem się, że Moreno sprzedał samochód, nie wiem jeszcze komu i za ile, ale sądzę, że teraz powie nam sam, bez oporów.

– To jednak drań. Widzicie, jak on łąże? – ze złością żali się Korosz. – Po jaką cholere ukrył taki prosty fakt? Za te kretyńskie kłamstwa wart jest celi!

– Przecież to snob – wtrąca się Cieślik. – Sprzedaż wozu to dla niego rzecz wstydliva. Być może, że w jego pojęciu, być gołym jak święty turecki to deklasacja!

– I dlatego kłamie przed milicją, zatrzymany niemal na miejscu morderstwa? Iii, Cieślik, gadasz głupstwa – protestuje Korosz.

– Porozmawiaj z nim, spróbuj wyjaśnić te sprzeczności – decyduje Lis.

Major wraca do siebie, każe przyprowadzić muzyka.

– Na koncju ma pan czterdzieści pięć złotych, żadnego honorarium ostatnio pan nie otrzymał. Wiem o sprzedaniu wozu – bez wstępów wylicza major. – Czy wreszcie będzie pan ze mną rozmawiał szczerze? Proszę się dobrze zastanowić. Od pańskiej lojalności zależą w tej chwili nasze decyzje... Komu pan sprzedał samochód i dlaczego?

Moreno z trudem przełyka ślinę, żałośnie przygląda się inspektorowi. Z ociąganiem wymienia nazwisko i adres nabywcy.

Major natychmiast telefonicznie przekazuje tę informację Cieślikowi, poleca ją sprawdzić.

– To zbyteczne – kręci głową Moreno – teraz mówię prawdę... Wóz sprzedałem, bo potrzebowałem na gwałt pieniędzy... Powiem panu szczerze! Kiedyś, przyciśnięty potrzebą, pożyczyłem od Zakrzewskiego pięćdziesiąt tysięcy pod zastaw skrzypiec... Trzy dni temu upłynął termin ich wykupienia.

Przez cały czas liczyłem na jakieś większe pieniądze, ale nie ułożyło mi się... Dopiero wczoraj późnym wieczorem otrzymałem gotówkę i natychmiast poszedłem z nią po „Amatego”...

– On pożyczał pieniądze pod zastaw? – unosi brwi major.

– Mnie pożyczył, bo to bardzo cenny instrument, nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę, ile są warte takie skrzypce? Czy innym pożyczał, nie wiem i nie interesowałem się tym.

– Panie Moreno, po tym wszystkim, co dotychczas od pana słyszeliśmy, mam prawo mieć wątpliwości, czy ten „Amati” w ogóle istnieje, kto może potwierdzić pańskie wyjaśnienia?

Muzyk przygląda się majorowi z wyrzutem, mruga oczami i krzywi się jak do płaczu.

– Chociażby koledzy z filharmonii, panie majorze – odpowiada po namyśle. – Pieniądze zdobyłem trzy dni po terminie... Może on już je komuś sprzedał? Ale w takim razie po co się ze mną umawiał? Chyba nie po to, aby mnie zrobić w swoją śmierć! Przepraszam, mówię głupstwa.

– Zakrzewski trudnił się lichwą? – bada major; to bardzo prawdopodobne – myśli – stąd ten zbiór przypadkowych, ale zawsze bardzo cennych przedmiotów w jego mieszkaniu.

Moreno energicznie zaprzecza: – Nie znałem go od tej strony, wiem natomiast, że znał się na instrumentach, to był człowiek o złotych rękach.

– I więcej nie ma pan mi nic do powiedzenia? – major jest sceptyczny.

Muzyk kurczy się tylko pod jego spojrzeniem, robi jakiś nieokreślony ruch głową.

Inspektor idzie naradzić się z pułkownikiem Lisem.

– Co z nim zrobimy, Heniek?

– Wiesz... dwadzieścia lat temu – odpowiada z namysłem Lis – ani chybi bym go zamknął... Ale teraz? Bywają przecież sytuacje, gdy człowiek staje się ofiarą takiego splotu okoliczności i przypadków, że trudno to po prostu przewidzieć... Przytrzymaj go jeszcze trochę, ciekaw jestem, co przyniesie badanie śladów... Aha! Niech Moreno połączy się z filharmonią, a ty wymyśl mu jakiś inny powód nieobecności w pracy niż zatrzymanie w komendzie...

Na wiadomość, że może zadzwonić do filharmonii, muzyk budzi się z odrętwienia. Inspektor nie musi podsuwać mu pretekstu. Moreno afektowanym głosem zawiadamia dyrekcję o skaleczeniu ręki i wizycie u lekarza.

Już po południu zakład przedkłada wyniki ekspertyz; ślady palców Moreno znaleziono na półce sekretery, na ceramicznym świeczniku i na blacie stołu w pokoju urządzonej biedermeierami.

Natomiast w pracowni, sądząc na podstawie linii papilarnych tam zabezpieczonych, muzyk nie był.

– Mogło tak być, jak mówił – głośno myśli major. – Wszedł, oparł się dłonią o sekreterę, wziął lichtarz, zapalił świece, zobaczył leżącego człowieka, pochylił się, a przy tym wsparł się ręką o stół... Ale mogło też być zupełnie inaczej.

Przed wieczorem zapada ostateczna decyzja w sprawie zwolnienia Moreno. Na żądanie majora muzyk zostaje poddany ściślejszej inwigilacji.

Do mieszkania Zakrzewskiego zgłaszają się różni ludzie; wywiadowcy przewożą ich dyskretnie na Puławską.

Major przez cały dzień nie ma czasu odetchnąć. Słucha ich wyjaśnień, niewiele jednak dowiaduje się od nich o zamordowanym. Na ogół zgłaszają się po odbiór powierzonych mu do naprawienia instrumentów i nic bliższego o nim nie wiedzą.

Zapada wieczór, gdy przycicha ten młyn. Inspektor czuje się piekielnie zmęczony. Wyciąga się na chwilę w fotelu i zapada w lekką drzemkę. Ledwie jednak przymyka oczy, budzi go łącznik z dokumentami z medycyny sądowej.

Korosz robi sobie kolejną kawę i zabiera się do czytania notatek oraz papierów zabranych z mieszkania Zakrzewskiego; do tychczas nie zdążył ich przejrzeć.

– Jest coś nowego? – wchodzi do niego Lis.

– Nie daje mi spokoju te pięćdziesiąt tysięcy złotych! Zakrzewski nie wygląda na gangstera, zresztą nie musi być bezpośrednim sprawcą napadu na bank... Jeżeli pożyczał pieniądze pod zastaw, to te pięćdziesiąt tysięcy mógł mu ktoś oddać w charakterze długu... Cieślik musi migiem zebrać informacje o tych dwudziestu ośmiu osobach ze skorowidza tego

lichwiarza...

– Bardzo ładna koncepcja – przyznaje Lis. – Tylko trzeba znaleźć tego KTOSIA.

– A może właśnie zamordowano go dla tych pieniędzy? Tylko dlaczego w takim razie morderca ich nie zabrał? A może podłożono je specjalnie, aby skierować nas na ten tor... Może niebezpiecznie blisko, sami o tym nie wiedząc, otarliśmy się o gang? W tym jest jakaś logika – Korosz pytającym spojrzeniem bada twarz Lisa.

– Specjalnie zamordowali Bogu ducha winnego człowieka i podrzucili zrabowane pieniądze? Eee, Andrzej, ponosi cię fantazja! Pomyśl, po takim brawurowym napadzie? Przecież załatwili sprawę bez rozlewu krwi, bezczelnie gładko! I raptem mordują jakiegoś faceta, pozostawiając przy nim wizytówkę w postaci zastrzeżonych banknotów? To nie ten styl! Gang, który zagarnął piętnaście milionów, w tej chwili ma tylko jedno zmartwienie, jak wydać te pieniądze bez narażenia własnej skóry...

– Wobec tego Zakrzewski, świadomie lub nie, miał jakieś konszachty z człowiekiem lub z ludźmi, którzy brali bezpośredni udział w rabunku banku.

– Musimy więc dojść do tego, od k o g o otrzymał te pieniądze. To bardzo konkretny kierunek... Ty zawsze wciągasz mnie w hipotetyczne rozważania, zanim jeszcze zdobędziesz podstawy wysnuwania wniosków, a ja zawsze dam się sprowokować... Poczytaj lepiej, co mówi nauka – nalewa sobie kawę.

– Światło zarówno na klatce, jak i w mieszkaniu, było wyłączone. Drzwi wejściowe opatrzone są trzema patentowymi zamkami. We wszystkich trzech zamkach odkryto ślady cyny. Zamki są nie uszkodzone, stąd prosty wniosek: p a s ó w k a a n g i e l s k a. Nasuwa się więc nieodparte skojarzenie; technika identyczna jak w Bazanowie...

– Aha! Na pewno zaraz powiesz, że morderca mógł być tym specjalistą od banku – mruczy Lis.– Jedno jest pewne w tym podobieństwie techniki. Zarówno w Bazanowie, jak i na Malwy osiem drzwi otwierał f a c h o w i e c! To jeszcze niewiele mówi.

– Nasz patrol zastał drzwi otwarte – przypomina major – i z tego mogą wypływać dwa wnioski. Pierwszy: wszedł ten spec od pasówki angielskiej, nie wiem jeszcze, w jakim celu, chciał coś zabrać lub podrzucić, i wyszedł zamknąwszy rygle. Potem zjawił się Zakrzewski i oczekując na spóźnionego Moreno po prostu nie zamykał drzwi na zatraski. Muzyk, nie mogąc odzyskać swoich skrzypiec, zabił lichwiarza.

– Wobec tego kto zadzwonił do pogotowia milicyjnego? Chyba gość od pasówki angielskiej, który coś wziął lub podrzucił – już wyraźnie pokpiwa Lis.

– Oczywiście nie – ciągnął niezrażony major. – Mam zupełnie inny pomysł, to właśnie mój drugi wariant: facet od pasówki zabija lichwiarza, a ponieważ wie, że tamten umówił się z Moreno, sprowadza milicję podając się za Kowalskiego i... w ten sposób właśnie zastaliśmy muzyka niemal na miejscu zbrodni.

– W takim razie musiałby także wiedzieć o spóźnieniu Moreno – zauważa Lis. – Co mamy dalej w ekspertyzach?

– Niewiele – wzdycha inspektor. – Na jednej filiżance, czajniku i cukiernicy wyraźne ślady palców Zakrzewskiego, poza tym na różnych sprzętach nie zidentyfikowane na razie ślady palców i dłoni... Nóż, finka z klingą z hartowanej stali i rękojeścią z rogu łosia. Jaki dokładny opis! – prychnął z przekąsem major – z rogu łosia, ale to wszystko. Bo poza tym czysty jak lza, bez jakiegokolwiek śladu, poza krwią oczywiście. Nie ulega wątpliwości, że to krew denata.

– Porowata okładzina – zwraca uwagę Lis.

– Niewykluczone działanie w rękawiczkach – uzupełnia inspektor. – W woreczku i etui, znalezionych przy zwłokach, znajdowało się trzy tysiące dolarów w banknotach, dwadzieścia pięć złotych dwudziestodolarówek oraz kamienie szlachetne bez oprawy o łącznej wartości około stu tysięcy złotych.

– Rabuś mógł zostać spłoszony przez Moreno – wtrąca pułkownik – lub Zakrzewskiego... Jeżeli przez Zakrzewskiego, to mamy przyczynę zabójstwa, ze strachu! Co mówi protokół sekcji zwłok?

– Cios karate! – odpowiada major. – W zasadzie zmarł od

ciosu zadanego w skroń kantem dłoni. Potem było pchnięcie finką, które przecięło tętnicę szyi.

– Co to znaczy „potem”, jaki odstęp czasu dzieli te dwa ciosy, czy dało się to stwierdzić?

– Tak! Medycyna wyjaśnia, że nastąpiły one niemal jeden po drugim. Najpierw uderzenie, które spowodowało agonię, i zaraz cios nożem.

– No, to Moreno możemy wyłączyć. Nie sądzę, aby umiał się posługiwać tym sposobem walki... Wiadomo, skąd ten nóż?

– Tak. Moreno stwierdził, że widział go u Zakrzewskiego w domu. To samo potwierdziło dzisiaj dwoje osób: kontrabas i viola bastarda. Nie patrz tak na mnie! – odpowiada major na widok uniesionych brwi pułkownika – takie instrumenty mi pokwitowali.

– Więc mamy kilka elementów portretu sprawcy – namyśla się głośno pułkownik. – Posługuje się pasówką angielską i zna karate. Poza tym nie nosi przy sobie żadnej broni, dlatego posłużył się nożem znalezionym na miejscu. Z tego można wnioskować, że nie miał w planie morderstwa... Chodźmy spać – proponuje Lis – i tak musimy poczekać na plotki Cieślika ze środowiska Zakrzewskiego. Mogą być bardzo ciekawe.... dolary i złoto...

– A jak było ich dwóch! – wyrywa się major. – Jeden od pasówki, a drugi od karate – wlepia w Lisa oczy z takim wyrazem, jakby dokonał niesłychanego odkrycia.

– Jeden przyszedł wziąć, a drugi podrzucić, tylko jeszcze nie wiesz co? To dlaczego nie trzech, nie żałuj sobie, niech będzie trzech – ziewa Lis. – W piętę gonisz, powtarzam, idź spać.

– Chyba masz rację, trzeba to przespać – uśmiecha się Korosz. – Muszę tylko jeszcze przejrzeć te szpargały, nie miałem na to dzisiaj czasu, uch! jak ja tego nie lubię – z niechęcią przy-suwa do siebie pudełko po pralinkach, w które zapakowano różne dokumenty, znalezione w mieszkaniu Zakrzewskiego.

Po wyjściu Lisa inspektor wysypuje na biurko zawartość bombonierki. Przebiega oczami świstki papieru i od razu je segreguje, rozkładając oddzielnie: rachunki za gaz i światło – to mało interesujące. Rachunki za telefon – te już są bardziej cie-

kawe. Pozycja numer cztery, rozmowy międzymiastowe, niemal za każdy miesiąc wykazuje poważną sumę. Zazwyczaj ponad pięćset złotych.

Z kim on tak gadał? – zastanawia się major, rozkładając złożony we czworo arkusz. Patrzy przez moment na kolumny cyfr, poprzedzone literowymi symbolami.

Ależ tak! – Jest to rejestr serii i numerów banknotów zrabowanych w bazanowskim banku. Rejestr wykonany na kserografie komendy głównej i na jego polecenie przesłany do różnych placówek na terenie kraju.

Pieczołowicie odkłada spis do kartonowej teczki i ze zwiększonym zainteresowaniem grzebie się w pozostałych papierach.

Kwity z pralni, kwit za naprawę zegarka, stare prawo jazdy, i znów major natrafia na złożony we czworo arkusz sztywnego, szeleszczącego papieru, czyta:

U M O W A, zawarta między panią Reginą WRZOS, urodzoną... z zawodu: studentka, w następnych punktach zwaną podnajemcą, a panem inżynierem Karolem Michałowskim, o namjem domu jednorodzinnego, położonego na posesji, numer hipoteczny... w Warszawie przy ulicy Błękitnej numer osiemnaście...

Z treści kontraktu wynika, że Regina Wrzos przejęła w wyłączne użytkowanie willę przy ulicy Błękitnej na lat pięć, w zamian za niebagatelną sumę stu pięćdziesięciu tysięcy złotych, oraz złożyła wadium w sumie złotych sto tysięcy na wypadek uszkodzeń lub widocznego zużycia urządzeń, sprzętów itp.

Zarówno czynsz, jak i wadium, złożone zostały na specjalną książeczkę Polskiej Kasy Oszczędności, z pięcioprocentowymi odsetkami w skali rocznej, na nazwisko inżyniera Michałowskiego. Natomiast sama książeczka, za zgodą obu stron, została zdeponowana u męża zaufania obojga, Borysa Zakrzewskiego, z zawodu: pracownika umysłowego, rencisty, zamieszkałego przy ulicy Malwy osiem.

Jeden punkt umowy przyznaje właścicielowi prawo korzystania – wspólnie z podnajemcą – ze swego domu przez dwadzieścia osiem dni w roku, w dowolnie wybranym miesiącu, lecz jednorazowo, po uprzednim powiadomieniu pani Wrzos o ter-

minie przyjazdu przynajmniej na dwa tygodnie przed tym.

Książeczka z wkładem oraz z odpowiednio rozliczonym wadium ma przejść w ręce właściciela po wygaśnięciu kontraktu.

Stracony klucz

Poranek; wczesny październikowy szron opornie ustępuje w promieniach bladego słońca. Mężczyzna w rozpiętym, rudym, stylizowanym kozuchu kupuje w kiosku cztery poranne dzienniki.

Przebiega kilka ulic, zanim znajduje otwarty bar mleczny. Nieprzyjemnie uderza w nozdrza woń skisłego mleka, zastarzałej serwatki.

Zanosi śniadanie do stolika, bez apetytu pogryza czerstwą bułkę, mającą konsystencję kauczuku, z obrzydzeniem upija łyk wodnistej kawy z wyszczerbionego fajansowego kubka.

Odsuwa z niechęcią jedzenie, zapala papierosa i zagłębia się w czytanie gazetowych ogłoszeń.

– Palenie jest wzbronione, co pan, analfabeta, tabliczka wisi!
– jazgocze z okienka, gdzie wydaje się potrawy, chrypliwy, rozdrażniony głos.

Mija dobra chwila, zanim tamten pojmuje, że uwaga skierowana jest do niego; podnosi oczy, widzi skwaszoną, nieprzyjazną twarz i spojrzenie pełne pretensji do całego świata.

Ze złością topi papierosa w wystygłej lurze.

Wreszcie kilka anonsów zwraca jego uwagę. Wynotowuje adresy zakładów, oferujących kupno-sprzedaż samochodów. Opuszcza bar i jedzie do pośrednika.

Odnajduje go na przedmieściu Woli. Kryta papą, podłużna szopa i drewniana buda, z nieprzejrystym od brudu, małym okienkiem, prezentują się niezbyt zachęcająco. W drzwiach budy pojawia się zasuszony człowiek w granatowym, poplamionym kombinezonie. Taksuje spojrzeniem mężczyznę w kozuchu, który gapi się na koślawy szyld:

KUPNO – SPRZEDAŻ – WYMIANA – REPERACJE – KAPITAŁNE REMONTY – I. Kolasiński.

– Szanowny pan sobie życzy? – zagaduje przyjaźnie.
– Chcę kupić samochód – głos klienta jest niezdecydowany; sceptycznie ocenia możliwości firmy.

– Krajowy, zagraniczny? – pan Kolasiński nie zraza się wątpliwościami klienta.

– Na przykład... „Taunus” – facet w kożuchu wymienia pierwszą lepszą markę, bo zupełnie nie wierzy, aby mógł tutaj kupić jakiś możliwy samochód.

– Taunusa nie mam, ale jest na składzie bardzo piękny, prawie nowy wioski „Fiat”, oryginalny!

Fiat okazuje się rzeczywiście nowoczesnym włoskim modelem. Lakier i chromy połyskują jak nowe.

Pan Kolasiński z wyraźną satysfakcją zachwala zalety kremowego auta.

– Po minimalnym przebiegu – wskazuje zegar kilometrażu.

– Panie! – wzrusza ramionami klient – ja świetnie wiem, jak się likwiduje przebieg. Chce pan? To w tym gracie – wskazuje starą „Warszawę” – tak panu ureguluję zegar, że wóz okaże się jeszcze nie dotarty!

– Ależ, człowieku! – oburza się właściciel firmy – ja prowadzę solidny interes, mam adres, płacę podatki, szyl pan czytał... to nie giełda niedzielna... Niech pan obejrzy to cacko – z rozmachem otwiera maskę wozu – ...Chce pan posłuchać, jaki ma gang?

Klient ze znudzoną miną, ale łaskawie, zgadza się; Kolasiński zapala motor i z błogością przymyka oczy, wsłuchując się w jego pracę. Rzeczywiście dźwięk jest czysty, rytmiczny.

– Organy, nie gang – promienieje: – Śpiew słowika!

Próbują samochód. Niesie lekko, przyjemnie resoruje.

– Cena? – Trzysta tysięcy złotych. Kolasiński twierdzi, że to niemal darmo; klient tę sumę uważa za rozbój. W końcu osiągnają porozumienie przy dwustu siedemdziesięciu tysiącach z dodatkowym warunkiem, że przez najbliższe pół roku nowy użytkownik będzie się posługiwał książką wozu poprzedniego właściciela.

Spisują natychmiast umowę. Klient kładzie pod nią wyraźny podpis i datę: siódmy października (–) inżynier Tadeusz Koro-

lewicz.

U dołu wypisuje dane z dowodu osobistego i adres: Lublin, ulica... po czym wyciąga z kieszeni plik banknotów i odlicza żądaną sumę.

Kremowy „Fiat” krąży po Warszawie cały dzień. Już wieczorem jego nowy właściciel zjada obiad w porządnej knajpie na dalekim przedmieściu i potem opuszcza miasto.

Dochodzi ósma, gdy z szosy Warszawa–Kraków skręca w boczną drogę. W świetle reflektorów miga drogowskaz: ZACISZE – dwadzieścia dziewięć kilometrów.

Zaciszcie jest niewielką, ale szeroko rozrzuconą osadą. Ścisłą zabudowę ma tylko główna ulica, oświetlona bezcieniowymi latarniami, oraz rynek z dużym skwerem, pełnym krzewów i późnych, jesiennych chryzantem. Dworzec PKS, kilkanaście sklepów, jedna restauracja – dochodzi z niej muzyka i stłumiony gwar głosów.

Kremowy „Fiat” szybko przemyka przez centrum osiedla, wjeżdża w plątaninę uliczek o nierównej, wyboistej nawierzchni i zwalnia u końca wąskiej drogi, pokrytej szutrem.

Zatrzymuje się obok zielonego parkanu; w głębi podwórza stoi dom z nieotynkowanej cegły, na wysokiej podmurówce barak, obok kanał do reperacji pojazdów.

Budynek jest ciemny, tylko przez uchylone drzwi szopy pada na dziedziniec smuga światła, dobiega odgłos elektrycznej szlifierki.

Z szopy wychyla się sylwetka mężczyzny. Na widok auta podbiega i gościnnie otwiera bramę.

Przybysz wjeżdża w najciemniejszy kąt podwórza, jednak nie opuszcza samochodu, tylko zagaduje przez odsłoniętą szybę:

– N u l; akcentuje imię, jakby to było umówione hasło. – Jest ktoś u ciebie?

Nul nieufnie pochyła się ku przybyszowi i bada wzrokiem mającą w prostokącie ramy twarz.

– Czego chcesz? – mruczy niechętnie.

– Odpowiedz, czy można swobodnie pogadać... Gadaj, jak cię pytam! – warczy tamten.

– Można... – Nul przestępuje z nogi na nogę, nie spuszczać

z gościa podejrzliwego spojrzenia. – Nikogo nie ma.... żony też, pojechała do siostry...

– To dobrze się składa, prowadź do kantoru – rozkazuje wysiadający z wozu.

Nul niechętnie wchodzi z nim do baraku i starannie zamyka drzwi.

– Czego chcesz? – wspiera się biodrem o warsztat ślusarski, zarzucony narzędziami, i jak gdyby w roztagnieniu przysuwa do siebie ciężki, francuski klucz.

– Odłóż to żelastwo, idioto! – mężczyzna w kozuchu świdruje go wzrokiem. Sięga do kieszeni i w tej samej chwili Nul atakuje go.

Tamten jest o ułamek sekundy szybszy, podbija mu ramię w chwili, gdy połyskujące narzędzie zatacza nad jego głową łuk.

Klucz wypada z dłoni Nula, a przybysz bokerskim hakiem uderza go w podbródek. Nul ścięty z nóg wali się na poplamiony smarami beton podłogi.

– Wstawaj – właściciel „Fiata” podaje mu rękę – i przyjrzyj się dobrze...

Tamten siada, rozcierając obolałą szczękę, posłusznie spogląda. Przybysz trzyma w palcach połowę firmowej etykiety od wina. Nalepka ma nierówno postrzępiony brzeg; złotoczerwoną girlandę z liści akantu i wypukły, czarno-złoty napis rozdziela linia przedarcia.

W drugiej ręce podsuwa mu pod oczy chromowany, płaski klucz. Nul przez moment – jakby chciał dobrze zapamiętać – wpatruje się w rękę trzymającą klucz. Serdeczny palec zdobi staromodny, złoty pierścień; w purpurowym, ostro szlifowanym kamieniu lśnią refleksy światła.

– Myślałem, że sięgasz po gwera – Nul usprawiedliwia się niezręcznie i ciężko dźwiga się z ziemi. – Nie znam ciebie, a jak człowiek ma taką odpowiedzialność, to robi się jak wilk... – sięga do kieszeni gdzieś pod kombinezon, z portfela wyciąga postrzępiony kawałek nalepki z ornamentem z liści akantu i wypukłym napisem. Obie części etykiety przylegają do siebie idealnie.

– Ciężko mi z tym bagażem, zrobiłem się nerwowy, spać po

nocach nie mogę – żali się Nul.

– To wreszcie się wyśpisz – stwierdza przybysz. – Ruszaj się, dawaj wiertarkę, zabieramy to stąd!

– Jak to zabieramy? – jeży się Nul. – Ja też chyba mam coś do powiedzenia. Cholera! Pół roku siedzę na tym, jak na dynamicie, ani to ugryźć, ani z tego pożytek, tylko strach, a teraz ni z tego, ni z owego: zabieramy! Dokąd?... Nie zgadzam się! Niech szef zrobi naradę, niech się wszyscy wypowiedzą, jak ma być! Inaczej nie dam... Trzeba wszystko podzielić, niech każdy się o swoje martwi i szlus! Nie dam się wykiwać, rozumiesz?!!!

– A ja chcę, abyś zaraz zamknął dziób! – mówi zimno tamten.
– Nie szkoda ci śliny? Czego podskakujesz, masz znak, masz klucz! Tak zdecydował szef.

– Szef rządził przy robocie – upiera się Nul. – Teraz my wszyscy równi, każdy dla siebie szef i każdy dostaje jedną szóstą, szef czy nie szef. Taka była umowa! Masz znaki, znaczy jesteś szósty, od początku wiedzieliśmy, że jest szósty... Rób, co chcesz, ale moja dola zostaje. Resztę zabieraj. Wasza sprawa, tylko zostawisz znak, żeby kumple w razie czego nie mieli do mnie pretensji.

– Dobrze, twoja dola zostaje – niespodziewanie łatwo zgadza się przybysz. – Resztę zabieram w b e z p i e c z n e miejsce. Tylko pamiętaj! Przez najbliższe pięć lat ta forsa jest nie do wydania. Chyba, że ci cholernie śpieszno do mamra... Bierzmy się do roboty, nie mam czasu!

Nul oczyszcza kąt baraku ze zwałonego tam żelastwa, odmiata śmieci i pył, przygotowuje elektryczną wiertarkę.

– ...w bezpieczne miejsce, mówisz? – walczy z nurtującą go myślą.

– Dobrze! Zgadzam się, bo jeszcze by mnie podkusiło... Zbieraj wszystko, ale pod warunkiem, że i mnie... Chcę znać to miejsce.

– Możesz jechać – przyzwala pełnomocnik szefa.

– Trzeba rozrobić zaprawę – orzeka Nul.

– Po co? – nie rozumie przyjezdny.

– A co, może ma zostać rozbebeszona podłoga i to cholerne pudło, co? – Nul znowu nieufnie mierzy go wzrokiem.

– Dobra, mniej gadaj! Dawaj tę zaprawę.

Przybysz, nie zdejmując irchowych rękawiczek, wysypuje do blaszanej rynny zawartość papierowego worka. Nul wierci otwory w polepie i zakłada w nie imadło. Nadwątlone tworzywo pęka z suchym trzaskiem. Odłamki składają na brezentową płachtę.

Przez jakiś czas słyhać tylko szmer żelaznego mieszadła, zgrzytającego o rynnę. Później obaj łamią łatwo poddający się beton.

Zerwana powierzchnia odsłania omurowaną kamieniami jamę. W głębi leży ognioodporna kasa, pokryta brązową farbą. Jest to staromodne pudło o żeliwnych ornamentach i zmatowiałych ramach. Takie sejfy produkowano w początkach stulecia.

Nul wchodzi do pieczary, aby otworzyć cyfrowy zamek.

Pochylony przepowiada sobie szeptem liczbowy szyfr. Rozlega się cichy trzask dobrze naoliwionego mechanizmu i skrzyp rozwieranych drzwi sejfu.

– Trzymaj! – Nul w uniesionych rękach podaje pierwszą paczkę. Nad poziomem podłogi wystaje mu tylko głowa i zniszczone od smarów, teraz pobrudzone wapiennym pyłem ręce.

– ...jedna... druga... – przybysz odbiera pakunki i przenosi w pobliże drzwi szopy – ...trzecia... czwarta... piąta...

Nul zastyga z szóstym pakunkiem w objęciach; waha się, pełen rozterki, nie wie, co robić.

– Przestań dumać – ponagla go przybysz – zdecyduj się na coś, byle prędzej...

Nul z ciężkim westchnieniem wyrzuca ostatnią paczkę na podłogę i podciąga się na rękach, aby wyjść z dołu. W tym momencie na jego głowę spada straszny cios żelaznego mieszadła.

– Skur... – dalsza część słowa przemienia się w nieartykułowany charkot. Pobieliałe palce zaciskają się rozpaczliwie na zrębie podłogi, lecz omdlałe, pozbawione siły ręce nie mogą unieść tułowia.

Następny cios rozkurcza dłonie i ciało z głuchym łoskotem spada do jamy. Wtóruije mu tępy dźwięk żaroodpornego pancerza...

Rano, ósmego października, grupa śledcza powtórnie przetrząsa mieszkanie Zakrzewskiego w poszukiwaniu książeczki PKO na nazwisko Karola Michałowskiego.

W tym samym czasie ludzie Cieślika myszkują już na ulicy Błękitnej osiemnaście; willa jest pod stałą obserwacją, porucznik zdobywa wiadomości o jej właścicielu.

Inspektor jest w dobrym nastroju. Ostatnie wydarzenia ożywiły tempo śledztwa w sprawie napadu w Bazanowie. Nieco psuje mu humor wiadomość o braku rezultatów poszukiwań w mieszkaniu Zakrzewskiego; nie znaleziono tam żadnej książeczki PKO.

Jego rozmyślania przerywa wejście uśmiechniętego Cieślika. Major bardzo lubi tego wesołego, warszawskiego chłopaka.

– Adres się zgadza – rozsiada się wywiadowca – jednak nie sądzę, aby tę willę projektował Corazzi. W latach trzydziestych uważano takie coś za moderne – mądry się – ...schludny ogródek, kilkanaście modrzewi, trawniczki, owszem, zadbane, widocznie pani Wrzos nie chce stracić wadium... wszystko to otoczone parkanem z żelaznych sztachet, na tym dzikie wino. Nazwisko właściciela też się zgadza, bite w miedzi na solidnej tablicy, przyszwesowanej do furtki. Lecz pan Michałowski plus żona i dziecko płci męskiej bawią po zagranicach. Pojechali tam, to znaczy do Libii, stawiać cukrownię. Kontrakt jest na pięć lat... Właśnie mija drugi rok, jak pan inżynier trudzi się w tej Afryce razem z sześcioma innymi facetami, wysłanymi przez CEKOP... Natomiast studentka Regina Wrzos nie jest tam zameldowana nawet czasowo... Jestem genialny, nie? Dwie godziny, a taka informacja.

– Niech ci pan Bóg w dzieciach wynagrodzi, ale jeszcze tylko sprawdź, czy Michałowski ma konto w PKO, bo po tej książeczce śladu nie ma.

– Major niby nie wie, na to potrzebny jest nakaz prokuratora – wykrzywia się Cieślik.

– Niby wiem – takim samym tonem odpowiada inspektor. – Ale skoro jesteś taki genialny, to może to jakoś tak... własnym, przemyślnym sposobem?

– Aż taki genialny nie jestem – ze smutkiem wzdycha Cieślik.
– PKO to pies ogrodnika... Nieużyeci ludzie, panie majorze! Szczególnie wrażliwi na punkcie tajemnicy swych klientów, mogą podnieść taki wrzask, że do ministra dojdzie... Tu trzeba Lisa, niech nasz złotousty przekona prokuratora...

– Żartujesz! Jakie mamy argumenty? Przyzwoity inżynier wynajął dom studentce, wprowadzie za słoną cenę, ale to już nie nasza rzecz, a że akurat umowa znalazła się u człowieka, którego zamordowano? Coś ty, nie pójde z tym do Lisa, bo mnie pogoni...

– Majorze, zastanówmy się, jako że myślenie znów jest modne, po co mamy sprawdzać to konto, na co nam to jest w tej chwili potrzebne?

– Więcej wiedzieć, to więcej zrozumieć – wykręca się inspektor.

– Lis powiedziała by: metafizyka! – prychnął Cieślik. – Wiem, o co chodzi. Czy umowa dotyczy rzeczywistych faktów, czy aby jej ktoś nie sfingował i nie podrzucił – cytuje naśladowując ton i gesty majora. – Nie, nie wygłupiam się – zastrzega widząc jego minę. – Jeżeli studentka zapłaciła taką forszę, to skąd ją wzięła, bo na pewno nie ze stypendium lub z pracy w spółdzielni „Maniuś”. Przy tym wszystkim, na dobrą sprawę, to po cholere jedną kobiecie taki metraż? A może ona tylko firmowała swoim nazwiskiem oficjalny dokument, kto wobec tego za tym się kryje? A jeżeli konto rzeczywiście jest, to i książeczka musiała być, a więc gdzie się mogła podziać...

– Właśnie o to mi chodzi – przyznaje major.

– Przecież jestem szalenie inteligentny, zawsze to podkreślałam – śmieje się porucznik. – Spróbujmy wyjaśnić te wszystkie sprawy prościej... Proszę wypisać wezwanie dla studentki Wrzos, powiedzmy, na dzisiaj, na dwunastą, dostarczy je facet w mundurze. Major sobie pogada z dziewczyną i na pewno czegoś się dowie...

Inspektor przyznaje mu rację; wypisuje wezwanie na godzinę pierwszą i wysyła przez dzielnicowego. Ten wraca jednak niebawem i zawiadamia, że w domu nie ma nikogo, furka jest zamknięta, więc wezwanie wrzucił do skrzynki na listy.

Mija pierwsza, mijają jeszcze dwie godziny, telefon w willi nie odpowiada, dzielnicowy znów sprawdza na miejscu. Dom sprawia wrażenie pustego, wezwanie Korosza tkwi w skrzynce na liście.

– Może ta dziewczyna jest na zajęciach? – zastanawia się inspektor i żąda od Cieślika, aby odszukał ją na uniwersytecie.

– W Warszawie jest kilkanaście wyższych uczelni – porucznik zrezygnowany rozkłada ręce – więc dlaczego major sądzi, że ona studiuje właśnie na uniwersytecie?

– Sprawdzisz we wszystkich – ucina inspektor. – A ja tymczasem pogadam z biurem adresowym. Chcę w końcu wiedzieć, gdzie ona jest zameldowana!

Porucznik wychodzi, a inspektor wyklóca się przez telefon z urzędnikiem biura adresowego. Okazuje się bowiem, że sprawa nie jest taka prosta.

Perswadują mu cierpliwie, że dla natychmiastowego ustalenia adresu potrzeba pięciu danych personalnych. On natomiast zna imię i nazwisko, imię ojca, rodowe nazwisko matki, datę urodzenia, ale brak m i e j s c a urodzenia.

Major jest wściekły, w umowie, z której wziął personalia dziewczyny, nie było tych danych, lecz urzędnik jest niewzruszony.

– Dwudziestoletnich dziewczyn o takim imieniu i nazwisku oraz o tym samym rodowym nazwisku matki jest zameldowanych w Warszawie, siedemdziesiąt trzy... – informuje flegmatycznie.

– Ja potrzebuję tylko jedną!

– To już major musi sobie sam wybrać – wzdycha tamten.

– Trudno – poddaje się inspektor – przyślijcie wykaz, tylko zaraz.

Cieślik przychodzi dopiero wieczorem; major wymownie demonstruje mu spis otrzymany z biura adresowego.

– Tyż piknie! – wzdycha wywiadowca. – Żadna Regina Wrzos nie studiuje w Warszawie – przygląda się liście biura adresowego z taką miną, jakby miał połknąć żabę. – Cholerna gonitwa – uderza dłonią w rejestr – ale to nie wszystko. Bądź co bądź, to jest kwestia, powiedziałbym, zupełnie fizyczna. Mniej więcej

jak rozładowywanie wagonów. Ale jak rozpoznamy tę dziewczynę spośród siedemdziesięciu trzech? Nie mogę przecież zapytać wręcz: czy to panienka wybuliła ćwierć miliona za przyjemność niemieszkania w wili na Mokotowie? I dlaczego właśnie pan Zakrzewski był waszym mężem zaufania, a nie kto inny?

– Zawsze potykam się o drobiazgi – złości się major.

– ...może ona tam mieszka – ciągnie dalej Cieślik. – Brak zameldowania jeszcze o niczym nie świadczy w tym najpiękniejszym z miast... A jeśli mieszka... – namyśla się wywiadowca, zezując na inspektora – to musi na Błękitnej mieć jakieś swoje rzeczy, drobiazgi... dokumenty, fotografie... no, różne takie.

– Przednia myśl – ożywia się Korosz. – Tylko...

– To nie PKO, nikogo nie muszę o nic pytać – podnosi się wywiadowca.

– Cieślik, tylko subtelnie, bez hałasu – inspektor powstrzymuje go jeszcze przez chwilę i nakręca numer telefonu na-Błękitnej. Odpowiada przeciągły sygnał, jeden, drugi, dziesiąty. Z tamtej strony nikt nie podnosi słuchawki.

Wywiadowca uspokajającym gestem dłoni żegna majora.

Jest późny wieczór, gdy siada za kierownicą swego wozu. W jednej z zadrzewionych przecznic, niedaleko Błękitnej, parkuje samochód. Nie śpiesząc się, spacerowym krokiem idzie ulicą równoległą do Błękitnej, później skręca i wychodzi niemal na wprost numeru osiemnaście.

Przystaje pod parkanem, naciska klamkę furtki – zamknięta. Długo dzwoni, ale dom w głębi ogrodu stoi cichy, ciemny, jak nie zamieszkały.

Ulica jest pusta, toteż kroki samotnego przechodnia słychać już z daleka. Porucznik spostrzega w górze Błękitnej sylwetkę rosnącego mężczyzny, więc przezornie oddala się od numeru osiemnaście i znika za zakrętem małej przecznicy.

Przystaje w cieniu jakiegoś parkanu, również otaczającego domek – dzielnica jest willowa – i zastanawia się przez moment, którędy najbezpieczniej przedostać się za metalowe, ostro zakończone sztachety, oplatane pnączami dzikiego wina. Dochodzi do wniosku, że jednak od strony Błękitnej. Jeden

udany skok, którym musi sforsować ogrodzenie, będzie go kosztował kilka sekund, natomiast z każdej innej strony posesja graniczy z podobnymi domkami, równie starannie ogrodzonymi.

Jest już zdecydowany, czeka teraz, aby przeszedł tamten samotny przechodzień, ale on, podobnie jak przed chwilą porucznik, zatrzymuje się przy bramce numeru osiemnastego. Stoi niezdecydowany, później daje się słyszeć zgrzyt kłamki, szarpnięcie; mężczyzna znów stoi bez ruchu, z dłonią przyciśniętą do metalowej ramy.

Pewno dzwoni – domyśla się wywiadowca.

Mężczyzna odsuwa się na skraj chodnika, zadziera głowę i wpatruje się w ciemne okna na piętrze. Później odwraca się po mału, z wahaniem, jeszcze przystaje i wreszcie z ociąganiem odchodzi tą samą drogą, którą przyszedł.

Cieślik namyśla się krótko. Rezygnuje, przynajmniej na razie, z zamiaru dostania się do willi i postanawia iść za tym człowiekiem. Sprawa nie jest prosta, ulica nadal jest bezludna, na najbliższych dwustu metrach są tylko oni dwaj. Porucznik zdaje sobie sprawę, że w tych warunkach możliwość dyskretnej obserwacji jest minimalna.

Wywiadowca odruchowo przywiera do ogrodzenia, które daje mu dość problematyczną osłonę.

W momencie, gdy mężczyzna mija tę przecnicę, jego smukła sylwetka wydaje się teraz porucznikowi znajoma.

Tamten przystaje i jeszcze raz odwraca głowę, spoglądając na ciemny dom. W ukośnie padającym świetle narożnej latarni, pod którą on przystanął, porucznik niemal dobrze dostrzega owal jego twarzy i ciemne, zrosnięto u nasady nosa brwi.

Trwa to bardzo krótko, ale wywiadowca w nagłym błysku pamięci przypomina sobie tego człowieka. Chcąc zyskać pewność, rusza od swego parkanu i prawie zderza się z obserwowanym na brzegu chodnika.

– Dobry wieczór – kłania się swobodnie. – Salute dla championa! – unosi do góry dłoń w geście, jakim pozdrawiano gladiatorów.

– Nie znam pana – Piotr Horwat nie wydaje się przestraszono-

ny nagłym pojawieniem się intruza. Gniewnie ściąga swoje pyszne brwi. Nie spuszczać z oczu porucznika, wymija go.

– Pardon! – mruczy Cieślik, patrząc w ślad za szybko teraz oddalającym się mistrzem judo. – Nie poznajesz wiernych kibi-ców – czuje się głęboko zawiedziony.

Horwat odchodzi coraz szybciej, nie oglądając się, i niebawem znika za zakrętem ulicy.

Porucznik rozgląda się jeszcze raz i znów musi się cofnąć w cień. Ulicą przejeżdża samochód, potem jeszcze jakiś pijak mierzwi elipsami przetacza się po przeciwnej stronie chodnika.

Wreszcie znów jest pusto. Cieślik przebiega odległość dzielącą go od domu numer osiemnaście i jednym susem przerzuca ciało przez żelazny ostrokół. Łąduje miękko po tamtej stronie, na zważonej przymrozkami murawie trawnika. Przywiera do dzikiego wina, ale wokół słyszy tylko szmer zeschniętych liści i szum modrzewi,

Później wtapia się w zarośla, omija wejście, prześlizguje się koło garażu i znika na tyłach domu.

Mija dziesiąta i majorowi, który czeka w komendzie na powrót porucznika, czas zaczyna się strasznie dłużyć. Nie może się niczym zająć; stara się nie myśleć, co będzie, jeżeli eskapada Cieślika się wyda.

Jest dziesięć po dziesiątej, gdy odzywa się telefon. Zgłasza się wywiadowca.

– Majorze, bierzcie facetów z kryminalnego i przyjeżdżajcie duchem! – porucznik ma nieswój, ochrypły głos. – Morderstwo! Takich jatek jeszcze nie widziałem... Zaczekam tu na was, teraz już bez pudła możecie łamać drzwi... – dodaje z rozdrażnieniem.

– Zaraz będę – odpowiada major. Zawiadamia dyżurną grupę dochodzeniową i po kwadransie wiozący ich samochód hamuje na Błękitnej. Zatrzymują się przy zamkniętej furtce. Technik pobrękując wytrychami stwierdza, że wejście zamykane jest przy pomocy elektrycznego automatu, uruchamianego wewnątrz domu.

– Zaczekaj – powstrzymuje go inspektor – każdy wytrych zostawia ślad w zamku, obejdzcie się bez psucia... – przechodzi

górami przez ogrodzenie i biegnie dróżką, wyłożoną kamiennymi płytami, ku wejściu do willi. Energicznie stuka w oszalowane dębowymi listwami, solidne drzwi.

Z wewnątrz odpowiada mu podobny, głuchy pogłos, nachyla się i woła:

– W przedpokoju powinien być automat, otwierający furtkę!
– nasłuchuje, bo nie jest pewny, czy wywiadowca go słyszy. Jednak prawie w tej samej chwili rozlega się cichy brzęczyk i drzwi uchylają się lekko po naciśnięciu klamki.

– Mikrofon w drzwiach – informuje Cieślik, wskazując na dźwiękochłonne poduchy. – Doskonale was słyszałem, majorze. Zwłoki na górze...

– Dziewczyna? – przygryza wargę major.

– Raczej nie – krzywi się Cieślik, przelitykając głośno ślinę. – Zresztą zobaczcie sami, przecież nie mogłem się tu grzebać...

Major rozumie tę niejasną odpowiedź wywiadowcy dopiero wówczas, gdy przekroczywszy próg wielkiego salonu z mahoniowym barem, przystaje w drzwiach drugiego, mniejszego pokoju.

Zaciągnięte story ze złocistego adamaszku, mała komódka, nad nią owalne lustro w grubej złoczonej ramie. Tapczan. Na nim jedwabna kołdra, powleczone śnieżnobiałą, przystrojona koronkami kopertą, okrywa aż po szyję jakiś ludzki kształt. Na dużej poduszce, w miejscu gdzie powinna znajdować się głowa, leży bezkształtna, sina masa.

Inspektor odwraca oczy, robi mu się niedobrze. Dostrzega obok tapczanu fotel, a na nim, starannie ułożone, męskie ubranie; pod fotelem pedantycznie ustawiona para czarnych męskich lakierków.

Fotograf brygady, młody chłopak, niedawno po szkole oficerskiej, trupioblady, wybiega nagle z pokoju. Nie może opanować torsji. Pozostali udają, że tego nie dostrzegają.

Major odprowadza wywiadowcę na stronę.

– Kopnij się po coś mocniejszego... Nie tylko jemu – wskazuje fotografa – żołądek uderza o zęby.

– Wpół do jedenastej, o tej porze, w tym najmiłszym z miast, można dostać tylko harę w... potajemce – uświadamia Cieślik.

– Stary znów chomikuje „Lanchid” za encyklopedią, litera T–W – rzeczowo informuje major. – Zabieraj na moją odpowiedzialność...

Oficerowie służby kryminalnej, pokonując odrazę, przystępują do oględzin.

Inspektor zgarnia bieliznę, trzewiki i ubranie. Wynosi je do salonu. Starannie opróżnia kieszenie. Wykłada drobiazgi na stół: papierośnicę z czarnej miękkiej skóry, złotą zapalniczkę, wieczne pióro i długopis Schaeffersa w etui z takiej samej skóry. Na portfelu widnieje złoty monogram, litery: A. O. We-wnątrz dowód osobisty z fotografią, przedstawiającą ciemnowłosego mężczyznę o nachalnej, trochę brutalnej urodzie. Fotografia nie jest ostra, ma pożółkłe tło.

Dowód jest własnością Adama Opata, urodzonego 17 grudnia 1935 roku, w Kaliszu, bez zawodu, zameldowanego na stałe w Warszawie, przy ulicy Polnej osiemdziesiąt dziewięć.

Wraca Cieślik, podaje majorowi, nie napoczętą jeszcze butelkę koniaku. Piją kolejno z plastikowego kubka od termosu, który zawsze nosi ze sobą technik.

– I pomyśleć, ile tu napitków – fotograf spogląda na bar, zastawiony butelkami, które technik metodycznie opyla argenteratem i zdejmuje na folię liczne ślady palców.

Willa jest dość obszerna; na górze trzy pokoje, łazienka, WC. Na dole dwa pokoje, hall, kuchnia, również łazienka i WC. Oprócz tego liczne schowki, bokówki, zakamarki, strych, piwnice.

W dalszym ciągu brak kluczy od budynku. Nie znaleziono ich w kieszeniach ubrania zmarłego ani też w czasie rewizji w pomieszczeniach willi.

Major wysyła Cieślika, aby sprawdził adres, podany w dowodzie Adama Opata.

– Jeżeli się potwierdzi, weź brygadę dochodzeniową z komendy miasta. Niech otworzą drzwi i przeprowadzą oględziny – poleca. – Jeśli kogoś tam zastaną, zatrzymać i dostarczyć do komendy.

Oględziny na Błękitnej trwają do rana; oficerowie czują się wyraźnie lepiej, gdy wreszcie ambulans medycyny sądowej za-

biera zwłoki. Mimo to w powietrzu pozostaje mdląca, słodkawa woń psującej się krwi.

Punktualnie o ósmej Lis, zasępioy, przyjmuje sprawozdanie majora z wypadków ubiegłej nocy.

– Dom z mikrofonem w drzwiach, u wejścia trzy patentowe zamki. Kluczy nie znaleźliśmy. Hall z wewnętrznym telefonem, w kuchni nieopisany bałagan, otwarta, rozmrożona lodówka, pełno psującego się prowiantu, tace ze stertami resztek jedzenia, trzydzieści kieliszków i tyleż nakryć... Piętnaście butelek alkoholu: koniaków, win, szampana... Wiklinowy kosz wypełniony niedopałkami... W wielkim salonie stół z ruletą, pudło monet i okolicznościowych znaczków, prawdopodobnie służyły jako sztony... Na stole grabki i porzucona para białych rękawiczek – rekwizyty krupiera...

– Bezpiecznie się czuli – zgryźliwie wtrąca Lis. – Wszystko na wierzchu... albo nie zdążyli sprzątnąć.

– W szufladzie baru metalowa kasetka idealnie pusta, klucz w zamku. Również w szufladzie baru płaskie pudło, w nim osiemnaście talii nie rozpieczętowanych kart Piatnika. Trup ma doszczętnie zmasakrowaną głowę, jakby przez nią przeszedł walec drogowy – wstrząsa się major.

– Narzędzie mordu?

– Nie znaleźliśmy. Krew na posłaniu i na podłodze. Przeciekła przez tapczan. Poza tym żadnych śladów krwi nie znaleźliśmy.

– Niemożliwe, aby zmiażdżono mu głowę na miękkiej poduszce i elastycznym materacu... Jaka pozycja zwłok?

– Naturalna – odpowiada inspektor. – Człowiek śpiący na wznak. Nie stwierdziliśmy śladów przenoszenia. Zresztą, powtarzam, nigdzie więcej krwi... ale sprawca mógł owinąć czymś głowę, wystarczy płachta brezentu... Zabity sprawia wrażenie zaskoczonego we śnie... Na pomocniku przy tapczanie znaleźliśmy fiolkę z proszkami nasennymi. Ubranie starannie złożone, ład w pokoju, nasuwa się przypuszczenie, że on po prostu spał.

– Jedź dalej! Wstrzymaj się z wnioskami do czasu wypowiedzi lekarzy – przestrzega Lis.

– Przy tapczanie znaleziono maleńki odprysk jakiegoś szkła

lub tworzywa o powierzchni kilku milimetrów, nie wiem, co to jest... ma intensywnie rubinową barwę... No i żadnych pieniędzy, ani przysłowiowej złotówki... – major rozkłada ręce.

– Spodziewałeś się łupu z banku?

– Trochę tak – przyznaje inspektor. – Oprócz osobistych dokumentów zabitego żadnych papierów, nawet świstka, i żadnych śladów po dziewczynie. Nawet brak jakiegokolwiek kobiecego łaszka oprócz kuchennego fartucha z kretonu. Nie! Tylko śladów do cholery, wszędzie i na wszystkich palce, dłonie. Odciski nakładają się jedno na drugie. Wprowadza to tylko zamęt i utrudnia dochodzenie. Wątpię, czy chociaż jeden nada się do identyfikacji...

– Kasyno gry i to niemal pod naszym bokiem! – nie może darrować pułkownik. – Pogadam sobie o tym z dzielnicą...

– Teraz sprawa jest prawie jasna. Zakrzewski i Opat to spółka. A dziewczyna została podstawiona do podpisania umowy na wynajem domu... Może za jednorazowym wynagrodzeniem?

– Szukaj tej dziewczyny i znajdź ją żywą – przerywa Lis. – Za dużo trupów w tej sprawie! Ona musiała być z nimi związana, i to blisko, a jak widać, nie są to bezpieczne znajomości. Musiała ich dobrze znać, bo do takich transakcji nie bierze się człowieka z ulicy, nawet za największe pieniądze.

– Załatw z prokuratorem nakaz na sprawdzenie konta Michałowskiego – dopomina się major.

– Dobrze. Ale napisz do CEKOPU, Michałowskiego trzeba ściągnąć. Przecież musi przejąć mieszkanie.

– Rozumiem teraz ten zbiór u Zakrzewskiego. Posądzalem go o lichwę, a to są fanty nie wykupione przez graczy, brane pod zastaw pieniędzy na grę.

– Hieny! – oburza się Lis.

– Te pięćdziesiąt tysięcy, znalezione u Zakrzewskiego, to na pewno wpływy z gry. Stąd ta lista z wykazem zastrzeżonych serii, znaleziona w jego papierach. Facet spostrzegł, że wpłynęły jakieś podejrzanе pieniądze, i usiłował sprawdzić. Czy zdążył się zorientować, co to za banknoty? – zastanawia się major.

– Oczywiście, że zdążył – mówi Lis – przecież trzymał je oddzielnie, a więc wiedział. Wyjaśniłeś, skąd u niego ten rejestr?

– Tak. Wykazy rozesłano według ścisłego rozdzielnika. Ten druk z sygnaturą stołecznej komendy miał numer sześćset jedenaście i pokwitował go kierownik sklepu komisowego ze Smolnej. Rozmawiałem z nim. Oświadczył, że rejestr zagubił, a nazwisko Zakrzewskiego nie jest mu znane. Przedwczoraj gotów byłem w to uwierzyć, ale dzisiaj inaczej to wygląda. Kierownik komisju jest graczem... podobnie jak Moreno. Skrzypce pewno zastawił w zamian za pieniądze na grę. Cholerny kłamczuch, łyże na każdym kroku. Jest wplątany w sprawę o morderstwo, a mimo to kręci... Rozumiesz coś z takiego postępowania?

– Rozumiem – stwierdza Lis. – On się czegoś śmiertelnie boi. I chyba ma powody... Słuchaj, co z tymi skrzypcami Amatiego, rzeczywiście istniały?

– Tak. Potwierdzili to muzycy z filharmonii. Skrzypce są również ubezpieczone w PZU na osiemset tysięcy złotych. Ale nie znaleźliśmy tego instrumentu ani u Zakrzewskiego, ani na Błękitnej, ani też w mieszkaniu Opata na Polnej. Zakrzewski na pewno ukrył skrzypce lub zdążył sprzedać, bo Moreno nie dotrzymał terminu ich wykupienia.

– Muzyka należy przesłuchać na temat jego wizyt na Błękitnej. Cholera mnie trzęsie na myśl o tym kasynie. Taka melina prosperowała spokojnie tuż obok nas... Dawaj mi tutaj swego genialnego Cieślaka. Dobiorę się do tego wałkonika!

– Cieślak nie jest wałkonikiem! – obrusza się major i dzwoni po wywiadowcę.

– Poruczniku, szef was p r o s i! – mówi z naciskiem zezując na Lisa. Ten oficjalny ton jest umówionym sygnałem i oznacza, że pułkownik nie będzie miły.

– Już go ostrzegłeś – mruczy Lis. Zna na pamięć wszystkie ich wybiegi.

– Porucznik Cieślak melduje się na rozkaz! – nie minął kwadrans, gdy wywiadowca przeży się w przepisowej postawie przed Lisem. To też już należy do rytuału. Pułkownik nie przywiązuje wagi do zewnętrznych form, a natura Cieślaka w żaden sposób nie mieści się w sztywnych ramach regulaminu. Gdy jednak szef jest z niego niezadowolony, sposób bycia porucznika sięga

służbowego ideału.

– Cieślik! Czy podczas inwigilacji Moreno nie zdarzyło się twoim orłom zauważyć takiego drobiazgu, jak dom przy Błękitnej?

– Nie, panie pułkowniku. W tym okresie grajek nigdy tam nie zaglądał. Inwigilacja miała wyrywkowy charakter – podkreśla porucznik. – Gdyby szef zlecił ciągłą, niewątpliwie trafilibyśmy na kasyno.

– Aha, więc to moja wina – kiwa głową Lis. – Nie zleciłem kontroli ciągłej i tak się jakoś składało, że gdy gość szedł na karty albo na dziwki...

– Fi donc, szefie! – obłudnie gorszy się Cieślik.

– ...to wówczas wypadł wam fajrant, natomiast był śledzony tylko wtedy, gdy siedział w domu. To ma być służba wywiadowcza? Ale mój koniak toś wyszperał, łobuzie!

– Major podał dokładny azymut – z godnością prostuje Cieślik. – Ale ja mam naprawdę interesującą wiadomość. Wczoraj wieczorem, gdy spacerowałem po Błękitnej... – opowiada o spotkaniu z Piotrem Horwatem.

– Czyżby też grał? – unosi brwi pułkownik.

– Do diabła!!! Teraz dopiero coś mi się skojarzyło – wykrzykuje Cieślik – ...przecież to może być ta dziewczyna! Majorze, trzeba zapytać Horwata i Moreno o tę blondynkę – przypomina im zajście pod „Bristolem”. – Wówczas mnie pułkownik obso-baczył, bo miałem szukać forsy, a nie patrzeć na blondynki... Piękna sztuka, eksportowa, można rzec! Horwat ją wymanewrował od Moreno, a później jeszcze przyłożył jakiemuś trzeciemu. To był cios, poezja, nie fanga!

– Ciekawe, że ty zawsze wdepniesz tam, gdzie jest mordobicie – wzdycha pułkownik. – Powiadasz: wieczorem dobijał się do willi. Hm! trzeba z nim koniecznie porozmawiać.

Po południu major otrzymuje wyniki ekspertyz i protokół sekcji zwłok.

– W krwi denata stwierdzono 1,5 promille alkoholu... – głośno czyta inspektor.

– To był urzęnięty jak nieboskie stworzenie – wtrąca Cieślik.

Dalej lekarz sądowy stwierdził, że Opat zażył lekki środek na-

senny, który nie miał żadnego wpływu na jego zdrowie... Twarz ofiary zmasakrowano jakimś twardym narzędziem do tego stopnia, że nie sposób było określić ilości zadanych ciosów. W pięciu miejscach wystąpiły promieniste pęknięcia czaszki. Na ciele zamordowanego stwierdzono cztery głębokie zadrapania, sięgające od obojczyka do klatki piersiowej. Jak orzekł biegły, zadane zostały za życia ofiary. Innych obrażeń zarówno w narządach wewnętrznych, jak i zewnętrznych nie stwierdzono. Czas zgonu, sądząc na podstawie plam opadowych i stopnia zesztynienia ciała, mieścił się między godziną dwudziestą drugą dnia szóstego października, a godziną pierwszą dnia siódmego października...

– Obu współników zamordowano niemal w tym samym czasie – mówi Lis. – Pierwszą ofiarą padł Zakrzewski, a dopiero po nim Opat.

– Podrapana szyja – zastanawia się major. – Może to pazury kota Zakrzewskiego. Czyżby Opat zamordował współnika, a zaraz ktoś Opata? Może mordercą Opata jest ten człowiek, który dzwonił do pogotowia, podając się za dozorcę z Malwy osiem?

– Mało prawdopodobne – nie zgadza się Lis. – Jeśli ten mężczyzna wiedział o morderstwie lichwiarza i postanowił zabić Opata, to w jego interesie leżało, aby milicja jak najpóźniej znalazła zwłoki.

– Zemsta graczy, dintojra jakiegoś konkurencyjnego gangu? – rozważa major.

– Ostrożnie z wnioskami – ostrzega Lis. – Jakie są wyniki badania zamków w domu na Błękitnej?

– Nie stwierdzają żadnych śladów włamania. Sprawca zabójstwa dysponował kluczami lub został wpuszczony przez Opata.

– Przecież spał, więc nie mógł napastnikowi otworzyć drzwi – zauważa Lis.

– Masz rację – przyznaje Korosz. – Musiał mieć klucze i zaskoczył ofiarę we śnie. Kto mógł mieć klucze od kasyna? Oczywiście Zakrzewski i... studentka. Jednak nie mogą sobie wyobrazić, aby dwudziestoletnia dziewczyna była zdolna do takiej masakry. Może dała komuś klucze?

– U Zakrzewskiego kluczy nie znaleziono – podkreśla z na-

mysłem Lis. – Sprawca zabójstwa mógł je zabrać... Może wyłącznie w tym celu do niego poszedł?

– Zabójstwo dla zdobycia kluczy? – wątpi major. – I to dokonane przez takiego włamywacza? Po cholere miałby mordować? Jeżeli chodziło mu o dostanie się na Błękitną, to tam od razu zrobiliby pasówkę... Nie, sprawcą tych zabójstw nie jest jeden człowiek.

– W tym czasie mieści się doskonale działanie jednego człowieka.

– Ale tylko czas pasuje, poza tym nic się nie zgadza. U Zakrzewskiego porzucono przy zwłokach pieniądze i kosztowności. Odnosi się wrażenie, jakby sprawcę coś zaskoczyło. Natomiast na Błękitnej, w kasynie, gdzie powinny być pieniądze, chociażby rezerwa na grę, nie ma ani złamanego grosza.

– Może akurat nie było tam pieniędzy, może zostały zabrane przez Zakrzewskiego. Wierzę Cieślikowi, że spotkania w kasynie nie odbywały się codziennie, inaczej jego służba odnotowałaby ten adres podczas kontrolowania Moreno... Tego wieczoru, kiedy popełniono tam morderstwo, mogło nie być gry, a więc i pieniędzy.

– Gra była. Świadczą o tym resztki jedzenia i cały ten bałagan w kuchni... W kieliszkach resztki trunków nie zdążyły jeszcze wyparować lub zaschnąć... W mieszkaniu Opata na Polnej także nie znaleziono ani grosza, a i nic, co przedstawiałoby jakąś większą wartość. Wniosek? Sprawca po zabójstwie i obrabowaniu kasyna znalazł klucze od prywatnego mieszkania Opata i również je ogołocił.

– Z tego wynikałoby – przerywa Lis – że sprawca zabójstwa znał doskonale obyczaje bankierów, ich adresy prywatne i adres kasyna. Był więc z nimi blisko związany. Wobec tego sprawcy lub, jak wolisz, sprawców należy szukać w najbliższym otoczeniu tych ludzi. A co sądzisz o tej zbieżności obu zabójstw w czasie. Przypadek?

– Nie! Włamanie do Zakrzewskiego i morderstwo na Błękitnej zaplanowano jednocześnie. Ale wykonało to dwóch różnych ludzi – major nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Trzeba przyjąć, że sprawca włamania nie miał zamiaru za-

bijać Zakrzewskiego, natomiast drugie morderstwo jest prawdopodobnie konsekwencją pierwszego. A więc zostało postanowione dopiero po śmierci lutnika i to by się zgadzało. Posłuchaj! Ktoś przy pomocy pasówki wchodzi do mieszkania Zakrzewskiego. Czego szuka? Nie pieniędzy i nie kosztowności...

– Może chce odebrać pieniądze, pochodzące z włamania do banku! Albo może chce zniszczyć tę umowę z nazwiskiem Reginy Wrzos – wpada mu w słowo major.

– Może! Ale nie śpiesz się z wnioskami – swoim zwyczajem ostrzega Lis. – Szuka czegoś bardzo dlań istotnego. Przyłapuje go na tym Zakrzewski... poznaje złodzieja i dlatego ginie... Później sprawca albo zaniechał poszukiwań, albo zorientował się, że to, czego szuka, nie znajduje się u lichwiarza. Wówczas pomyślał o zrewidowaniu kasyna. Zabrał więc od Zakrzewskiego klucze i dostał się na Błękitną, tam zastał Opata... miał swoje powody, aby usunąć i jego...

– Dlaczego go tak zmasakrował?

– Nie mogę przecież wszystkiego wiedzieć – obrusza się pułkownik. – ...Następnie zabójca opuszcza kasyno i mając klucze do mieszkania Opata, plądruje jego dom.

– To, co mówisz, nie jest pozbawione logiki – zgadza się major. – Tylko w takim razie kto dzwonił do pogotowia, podając się za dozorcę z Malwy osiem?

– Otóż to – wzdycha Lis. – Ten fakt nie pasuje mi do niczego i podważa tę piękną hipotezę.

– I ja nie umiem tego wyjaśnić – przyznaje inspektor. – Ale nie zgadzam się z tobą. Moim zdaniem te dwa morderstwa to dzieło dwóch różnych osób, oczywiście, ściśle ze sobą związanych...

– Motywy?

– W wypadku Zakrzewskiego podzielam twoje zdanie. Nie chodziło o rabunek, natomiast w wypadku Opata... nie wiem, to znaczy, nie rozumiem pobudek. Ale przy okazji facet zabrał wszystko, co miało jakąś wartość, to pewne...

– Może ktoś szukał skrzypiec Amatego – wraca do swej poprzedniej wersji Lis. – Szukał ich u Zakrzewskiego, w kasynie i u Opata... Może je znalazł dopiero na Polnej?

– To może być motyw – przyznaje major – ale tym człowiekiem nie jest Moreno. W każdym razie wykluczone, aby on był sprawcą z Błękitnej. Wówczas był już zatrzymany.

– Pięknie, jeden już wyeliminowany – pokpiwa Lis. – Co jeszcze ciekawego w ekspertyzach?

– To wszystko... Aha! Ten odprysk znaleziony koło tapczanu to krwawnik, kamień półszlachetny, używany przy wyrobie biżuterii... Posłuchaj, co na ten temat trują biegli. Ci mają melodię do pedantycznych elaboratów – major ciężko wzdycha i czyta głośno – chalcedon, minerał skrytokrystaliczny, odmiana kwarcu, występuje w postaci nerkowatych, graniastych, włóknistych lub naciekowych skupień. Jego odmiany przezroczyste lub zabarwione to: chryzopraz, plazma, heliotrop, agat. Odmiana purpurowa, z której pochodzi próbka porównawcza, to karneol. Karneol jest dość kruchy i jego potoczna nazwa brzmi k r w a w n i k!

Sekretarka zawiadamia o przybyciu, wezwanego przez majora, Ivo Moreno oraz kierownika komisju ze Smolnej.

Inspektor najpierw prosi do siebie kierownika komisju. Teraz nie ukrywa już przed nim śmierci Zakrzewskiego ani morderstwa na Błękitnej. Tamten błednie i wreszcie, zacinając się, wyznaje:

– Tak, bywałem w kasynie. Widywałem tam Zakrzewskiego, Opatą, portiera i barmankę...

O portierce i barmance niewiele wie. Dziewczynę nazywano Wadera... Opisuje wygląd. Następnie wyjaśnia sprawę rejestru banknotów zrabowanych w Bazanowie.

– Około trzech tygodni temu wpadł do mnie do sklepu pode nerwowany Opat i pożyczył tę listę... Mówił o podejrzanym pieniądzech, wpłaconych przez jakiegoś gracza... nie, nie wspominał, jaka to suma i nic nie mówił o graczku... pod tym względem oni byli bardzo dyskretni. Jeszcze tego samego dnia zwrócił wykaz. Podejrzenia rzekomo nie potwierdziły się. Tydzień temu znów pożyczył ode mnie tę listę Zakrzewski, zobowiązując mnie do tajemnicy nawet przed Opatem, no i... nie zwrócił. Więcej nic nie wiem. Bywałem tam rzadko... niekiedy zachodziłem, wie pan, człowiek musi się czasem rozerwać...

Kierownik zaklina się na wszystko, że w dniu szóstego października nie był w kasynie.

Major jednak nie rezygnuje tak prędko. Wydobywa z niego moc interesujących szczegółów na temat organizacji gier w kasynie, systemu konspiracji i ochrony willi.

O innych bywalcach kasyna kierownik komisji niewiele może powiedzieć. Nikogo nie zna z nazwiska.

– Tam nie było zwyczaju przedstawiania się... nie przeczę, niektórzy mogli się bliżej znać. Z fotografii lub gdybym zobaczył kogoś z nich, niewątpliwie rozpoznałbym. Na przykład czarnowłosą dziewczynę o orientalnej urodzie...

– A tego mężczyznę widywał pan? – inspektor kładzie przed nim fotografię Ivo Moreno.

– Tak – przyznaje skwapliwie tamten – nazywano go muzykiem, może dla jego niezwykle pięknych dłoni.

Inspektor każe wprowadzić skrzypka. Moreno blednie na widok partnera od rulety.

– Tego pana widywałam na Błękitnej – potwierdza kierownik.

Muzyk nie odzywa się. Przygryza pełne wargi, ucieka spojrzeniem w bok.

Po podpisaniu protokołu major zwalnia kierownika komisji. Gdy pozostaje sam z Moreno, informuje go o morderstwie na Błękitnej.

– Jaką prawdę t e r a z od pana usłyszę? – przypatruje się muzykowi.

Tamten nie odpowiada, perfumowaną chusteczką ociera spocną twarz.

– Wczorajem osiemnastego kwietnia zaparkował pan wóz w pobliżu kasyna i poszedł pan grać... Tego wieczoru zginął panu samochód – przypomina inspektor. – Proszę powiedzieć, komu pożyczył pan wtedy wóz?

– Nikomu nie pożyczyłem. Samochód naprawdę zginął mi spod kasyna. Postawiłem go wczorajem na Błękitnej i poszedłem grać. Grałem do szóstej rano dnia następnego. Gdy stwierdziłem brak samochodu, wróciłem do kasyna i powiedziałem o zniknięciu wozu... Opat nie zgodził się, aby powiada-

miać milicję, i jak to było w jego zwyczaju, zachował się brutalnie. Miał takie powiedzonko: – Jak ci spreparuję rączki, to żaden chirurg ich nie poskłada...

– Był zdolny do spełnienia tej groźby?

– To był nieprzyjemny typ – wymijająco odpowiada Moreno.

– Ale Zakrzewski trzymał go w karchach. Bankier, tak nazywano Zakrzewskiego, obiecał mi zwrot wartości samochodu, jeśli się nie znajdzie. Rozumiałem go, bał się dekonspiracji kasyna. Od tego czasu zabroniono graczom parkowania samochodów na Błękitnej, a nawet w pobliskich przecznicach. Później przestraszyłem się nie na żarty. W kasynie i na mieście mówiono o napadzie na bank, no i... milicja szukała podobno jakiegoś samochodu. W kasynie też był popłoch, wreszcie Bankier zawiesił gry na przeszło trzy miesiące.

– Czego się pan bał?

– Przecież, mój samochód zginął właśnie w ten fatalny wieczór. Zwracając wóz, pan niby bagatelizował tę sprawę, ale wyciągał pan ze mnie takie szczegóły... W kasynie, po tej kradzieży, też bardzo do mnie ochłodli i przestali mi ufać, a szczególnie kiedy wóz już się znalazł. Bankier był niespokojny, wypytywał, co powiedziałem milicji. Opat chciał wiedzieć, jaka jednostka milicji zwróciła mi wóz. Poza tym oni bali się defraudantów, mankowniców i prowadzili swój wywiad o źródłach dochodów gości...

– Kto się tym zajmował?

– Chyba Opat. Do niego należała ochrona kasyna, ściąganie długów i wywiady o graczach. Sam byłem świadkiem, jak wyrzucił za drzwi i zagroził jednemu kierownikowi sklepu monopolowego.

– W pana zawodzie trudno o nadużycia, więc dlaczego do pana stracili zaufanie?

– Nie wiem. Może podejrzewali mnie, przez ten samochód, o jakieś związki ze sprawą banku. Niedawno wręcz zakazali mi wstępu do kasyna. Zrobił to Opat w bardzo brutalnej formie... wtedy jeszcze nie wykupiłem skrzypiec.

– I to posłużyło za pretekst?

Moreno milknie, wzdycha, kręci się na krześle i znów straszli-

wie się poci.

– Powiem panu wszystko – wzdycha z determinacją. – Opat zarzucał mi, że to ja puściłem do gry banknoty, pochodzące z Bazanowa.

– Jaka to miała być suma?

– Dwadzieścia tysięcy... On chciał mnie po prostu zastraszyć – dodaje szybko – złakomili się na moje skrzypce – uzupełnia jękliwie.

– Dlaczego dopiero teraz pan mi to mówi? Gdybym wiedział o tym wcześniej, być może nie doszłoby do morderstwa na Błękitnej.

Moreno znów milczy. Major rozumie go doskonale. Gdyby Opat żył, muzyk nie powiedziałby ani słowa.

– Przestałem się wreszcie bać i nie widzę możliwości odzyskania skrzypiec... Jedyne nadzieje na ich odnalezienie to milicja!

– Wzruszające wyznanie – nie może powstrzymać się inspektor. – Co pan może powiedzieć o Waderze?

Moreno utrzymuje, że nie zna jej nazwiska, nie zna również adresu; wie o niej tyle, co kierownik sklepu komisowego. Tyle samo może powiedzieć również o portierze.

– Kiedyś wiosną był pan z nią w „Bristolu”? – przypomina sobie major opowiadanie Cieślika.

Moreno, rumieniąc się, opowiada całą przygodę z szakalem.

– Nie mam pojęcia, jak się to skończyło, bo... okropnie się spiłem – z zażenowaniem opuszcza oczy.

– Tego mechanika, jakże mu... Rajfel, też poznał pan w kasynie? – próbuje inspektor.

Moreno potwierdza bez wahania. – Ale on naprawdę konserwował mi wóz, to znakomity fachowiec.

– Był częstym gościem kasyna, wysoko grał?

– Grywał ostro, ze zmiennym szczęściem... Czasem wygrywał, i to nawet dużo, ale wie pan, jak to jest z graczami, nie potrafią odejść we właściwym momencie.

Major znów powraca do sprawy zabójstwa Bankiera. Skrzypek w zasadzie wiernie powtarza to samo, co zeznał zaraz po zatrzymaniu na Małwy osiem. Oczywiście nie kręci już, skąd

wziął pieniądze i na jaki cel. Wyjawia również dwa przemilczone przedtem szczegóły, mianowicie: około godziny 21.15 dzwonił do Bankiera, pragnąc go uprzedzić o swoim spóźnieniu, ponieważ nabywca jego wozu spóźnił się z zadatkiem. Telefon nie odpowiadał. Po raz drugi dzwonił do Zakrzewskiego o godzinie 22.00, a ponieważ w dalszym ciągu telefon nie odpowiadał, zaniepokojony, posadzając Bankiera o zlekceważenie spotkania, zadzwonił do kasyna.

Telefon przyjął Opat. Uspokoił go, powiedział, że Bankier jest w domu. Dodał jeszcze: – Sam się spóźniasz i jeszcze masz pretensję, idź prędko, on na ciebie czeka i na pewno jest wściekły.

– To z c a ł ą pewnością był Opat? Czy poznał pan jego głos? – ten szczegół posiada dla majora wyjątkowe znaczenie. – I proszę sobie przypomnieć możliwie najdokładniej, o której godzinie pan z nim rozmawiał?

– To na pewno był Opat, poza nim mógłby wchodzić w grę tylko portier, a ten ma zupełnie inny timbre głosu... Ja mam słuch absolutny, panie majorze – uśmiecha się niemal z pobłażaniem. – A godzina? Po raz drugi dzwoniłem do Bankiera o dziesiątej, telefon nie odpowiadał, a miałem już pieniądze... Byłem bardzo niespokojny, obawiałem się z jego strony jakiegoś świństwa, jakiegoś wybiegu... więc mogło być pięć po dziesiątej, gdy dzwoniłem do kasyna.

– Dlaczego pan tak dobrze zapamiętał ten czas?

– Jak już wspomniałem, klient się spóźnił. Byłem w rozpaczy, co zrobię, jeśli zrezygnuje z kupna wozu? Stracą „Amatiego”! Przyszedł przed dziesiątą, nie poprosiłem nawet, aby usiadł, pokwitowałem pieniądze i zacząłem szykować się do wyjścia. Żegnając się z nim odruchowo spojrzałem na zegarek, aby sprawdzić, ile też jestem spóźniony. Była dziesiąta.

Inspektorowi wydaje się, że od Moreno niczego więcej się nie dowie. Zwalnia go, po czym porządkuje chronologicznie wydarzenia owego wieczoru.

Zaprasza pułkownika Lisa i zapoznaje go z wyjaśnieniami kierownika komisji i Moreno.

Przychodzi Cieślík; jest podekscytowany. Już od progu woła:

– Mam adres dziewczyny, mieszka na ulicy... Jest tam zamel-

dowana tymczasowo...

– Widziałeś ją? – przerywa zaciekawiony major.

– Zaraz, po kolei – powstrzymuje go wywiadowca. – Mam ciekawe wiadomości. Na ten adres naprowadził nas Horwat. Obawiam się, że naszym championem będę się musiał bliżej zająć. Siódmego wieczorem szturmował kasyno, teraz znów pi-kietuje mieszkanie barmanki.

– Gdzie jest ta dziewczyna? – niecierpliwi się inspektor.

– Nie ma dziewczyny, ale będzie... Otóż wdowa burknęła tylko memu chłopakowi przez drzwi, ubezpieczone łańcuchem: Już nie mieszka! I klap, zatrzasnęła. Nie chciałem jej straszyć blachą, bo po co? I tak major ją musi wziąć na spytki.

– Jaka wdowa? – denerwuje się Korosz.

– Zwyczajna! Regina Wrzos odnajmowała jeden z dwóch pokoi u Klementyny W., z zawodu wdowy... pfu! nie tak, stan cywilny wdowa. Zawód? – nieokreślony. Ma niewielką rentę wdowią, poza tym trudni się krawiectwem, nie, nie żadne chałupnictwo ani licencja. Po prostu jest znana w swoim osiedlu; szyje zręcznie i tanio, obszywa więc płęć żeńską w swoim ademie... Pewien dochód czerpie ze stawiania kart Co tak major na mnie patrzy? Za umiarkowaną opłatą wróży przyszłość sąsiadkom i poleconym przez nie kumom... Zajmuje się również repasacją pończoch i tak sobie żyje, trudząc się jak ta pszczoła. Nie wadzi nikomu, pogodna, łagodnego usposobienia, w pewnych pretensjach... nie karana.

– Przestań pytlować, gdzie się podziała ta dziewczyna?

– Nie wiem – wzrusza ramionami porucznik. – Jedno jest pewne! W Leśnicy nad Narwią jej nie ma. To miejscowość, gdzie mieszkają jej rodzice – wyjaśnia. – Spisałem dane z książki meldunkowej. Sporo informacji otrzymałem od kolegów z miejscowego posterunku. Starzy sami na gospodarstwie, jedynaczka na uniwersytecie w Warszawie. Od roku nie była w Leśnicy. Pisuje rzadko i nieregularnie. Nikt tam nie ma pojęcia o jej pracy u szulerów.

Pułkownik jest wyraźnie rozczarowany. Oczekiwał sensacji, a tu tymczasem...

– Cieślik, dołącz do swojej kolekcji Rajfla. Nie wolno, go

spuszczając z oka ani na chwilę. To bardzo ważne! – podkreśla. – Przychodził ktoś jeszcze na Błękitną?

– Nikt nie przychodził ani nie dzwonił. Mój podwładny śmiertelnie się nudzi. Podobnie dzieje się na Malwy osiem i na Polnej osiemdziesiąt dziewięć. Sześciu ludzi blokuje te chaty, a klientów przybywa – skarży się porucznik.

– Zabierzemy ci Horwata, będziesz miał mniej – pociesza Lis.

– Już mam w to miejsce Rajfla – krzywi się wywiadowca.

– Do czasu rozmowy z wdową nie zgadzam się na przerwanie obserwacji Horwata – protestuje major.

– Zgoda, ale z Horwatem należy zwyczajnie porozmawiać. Porządny facet: architekt, sportowiec... Z nim ta zabawa w chowanego jest niepotrzebna.

Następnego dnia, jest już dziewiąty października, z samego rana dzielnicowy przyprawia do komendy Klementynę W. Kobieta jest podenerwowana, zawstydzona ją asysta milicjanta.

Przysiada na brzeżku krzesła i wlepia w inspektora przesadnie umalowane oczy.

Za dużo pudru, za dużo tuszu – ocenia w myśli major – w ogóle wszystkiego w niej za dużo.

Wdowa łowi jego spojrzenie, tłumaczy je po swojemu i wygładza sukienkę na masywnych, lecz kształtnych udach. Wciąga brzuch, wypręża biust i bada wzrokiem wrażenie, jakie wywarła na oficerze.

– Poznaje pani? – Korosz podsuwa jej dwie powiększone fotografie Zakrzewskiego i Opaty.

Kobieta ściąga brwi, przygryza usta, przez chwilę waha się, co odpowiedzieć.

– Zostali z a m o r d o w a n i! – nie daje jej ochłonąć major.

– Kiedy, gdzie? – wyrывa się wdowie z pobladłych warg.

– Na Błękitnej, w kasynie – podkreśla inspektor. W sposobie jej milczenia, w wyrazie twarzy jest groza. Nie potrafi tego ukryć, to silniejsze od niej.

Znała tych ludzi doskonale – major jest tego zupełnie pewien.

Kobieta jeszcze raz pochyla się nad zdjęciami, długo wpatruje się w fotografię Opaty. Próbuje się opanować.

– Taki mężczyzna, taki piękny mężczyzna – wzdycha z głębo-

kim żalem. – A jaki był zawsze elegancki, garnitury tylko na miarę, a buciki! Od najlepszego szewca... Sama mu kiedyś koszulę szyłam, bo mówił: pani Klimciu, dziurki przy bieliźnie to ja muszę mieć wykończone ręcznie. Wytworny, elegant, powiadam panu, jak rzadko! Nic cierpiał tandety... Złota zapalniczka, złoty sygnet z czerwonym oczkiem... I na co to mu, biedakowi, przyszło!

– Sygnet? – to bardzo interesuje majora.

Wdowa długo i kwieciście opisuje wygląd pierścienia, ale czy purpurowy kamień był krwawnikiem, nie wie. Jej zdaniem, był bardzo piękny i przypominał rubin.

– Panie! Kiedy ich pomordowali, przecież nie dalej jak trzy dni temu byli zdrowi i żywi? – z przejęciem podejmuje kobieta. – Widziałam ich, jak teraz pana widzę... Tak, znałam ich, najlepiej Bankiera, bo to stary znajomy mego nieboszczyka męża, świeć Panie... dobry był człowiek ten mój stary – podnosi chusteczkę do umalowanych oczu i ostrożnie osusza łzę, pęczniejąca na sztywnych rzęsach. – Tylko grał, grał we wszystko, nawet w numerki... Rano zajrzał Bankier i powiada: przyjdź, Klimka, o szóstej, bo nie mam kogo za barem postawić... Niech pan nie myśli, nie byłam taka pazerna. Nie o te pięćset złotych chodziło, bo tyle mi za wieczór obiecał... Nie dla pieniędzy, nie! Tam tak elegancko, panowie w smokingach, panie w wieczorowych sukniach. Tylko w takich ubraniach tam wpuszczali, no, mówię panu, wytworny świat! A ja cóż? Po całych dniach sama, tylko jaką sąsiadkę widzę, a wyjść na jaką rozrywkę nie bardzo jest z kim... No, to poszłam, jak mnie prosił. Znał mnie, wiedział, że ja umiem się znaleźć... Włożyłam czarną taftową suknię z dżetami, dobrze mi w długiej, czarnej tafcie. Wyszczupła.

– Czarna tafta świetnie podkreśla jasne włosy i jasną karnację – dodaje major tonem znawcy.

Wdowa spogląda nań podejrzliwie, ale w jego poważnej, skupionej twarzy nie dostrzega kpiny. Opowiada więc już zupełnie swobodnie przebieg tej ostatniej rulety, tak jak utkwiała w jej pamięci.

Szósty października. Tej daty nigdy nie zapomni. Jest wieczór, schodzą się eleganccy goście, ona przygotowuje bar, toczy

się gra. Potem ten telefon, po którym Opat natychmiast każe wszystkim opuścić kasyno.

– Była dziesiąta? – major czeka na jej potwierdzenie, mając na uwadze telefon od Moreno.

– O nie, proszę pana – protestuje wdowa – najwyżej wpół do dziesiątej. O dziesiątej byłam już w domu. Jak tylko goście wyszli, zaraz i mnie wyprawił. Został tylko Gorzeniec.

Pewnie ten portier – domyśla się major. Wypytuje o niego ostrożnie, aby jej nie spłoszyć zbytnią natarczywością. Ale wdowa bez oporów podaje adres Gorzeńca.

– Jego matka to moja kuma – wyjaśnia i dopiero teraz reflektuje się – ...proszę pana, Felek to porządny chłopiec... O Boże! Co ja zrobiłam, pan go zaraz zamknie i oskarży... Niech pan nie krzywdzi chłopca, on na pewno nic złego nie zrobił!

Major zapewnia, że bez powodu nikt nie zostanie zatrzymany.

– Więc zaraz po tym telefonie Opat przerwał, grę? Dlaczego? Zdenerwował się, przestraszył?

– Może i tak, ale dobry gracz, proszę pana, a krupier to już musowo nie może mieć nerwów! Rozumie pan? Kamienna twarz, żeby nie wiem co się działo – wdowa z przejęciem demonstruje kamienną twarz. – W środku może się gotować, ale do ludzi to uśmiech i gład! Jak ktoś jest nerwowy, to niech się za ruletę nie bierze, czy to gracz, czy krupier. Mój był nerwowy, dlatego bez portek chodził i przedwcześnie do piachu poszedł... Opat nie był taki. Przerwał grę i wyprawił gości. Powiedział im: – Tak trzeba dla bezpieczeństwa wszystkich i kasyna... Pewno ochrona cynk mu dała, może jakiś nalot był w pobliżu... – komentuje i milknie nagle, zakłopotana. – Eee... co się będziemy czarować, i ja wiem, i pan wie, że wasi tropią i nakrywają kasyna. Tylko ja panu powiem: kto był złodziejem, może przestać, ale kto był graczem, zostanie graczem. Już ja się na tym znam. Dwadzieścia cztery lata miałam krzyż pański z moim, świeć Panie...

– Kiedy Regina wyprowadziła się od pani?

– Będzie tydzień. Nie wiem jednak dokąd... nic mi nie powiedziała. Bankier ją u mnie umieścił i on też płacił za pokój. A ona pożarła się z Bankierem i rzuciła kasyno. Ze swoim chłop-

cem też się pozarła – dodaje z żalem. – Nie, nie wiem, jak się nazywał. Przystojny, owszem, ciemny, brwi czarne, zrośnięte nad nosem. Amatorski mężczyzna! Podobny do Hanuszkiewicza, tylko mu trochę zbójem z oczu patrzyło, no... i taki sztywny, jakby kij połknął, poza dzień dobry do człowieka nie zaga- dał. Ale ani słowa, lepszy gość!... Jednak wymyślał jej tak samo, jak każdy chłop... Sama słyszałam, jak krzyczał: – Ty dziwko z oczami aniołka! Szkoda mi jej, bo jaka tam z niej dziwka. Porządna dziewczyna, spokojna... Nie, nie wiem, o co im poszło. Chłop, jak to chłop, ma swoje humory, jak bies w niego wstąpi, to szaleje, a później żałuje. Ten też, jak się opamiętał, to przyszedł i wypytywał o nią, ale jej już nie było... Rzetelnie zeznaję, proszę pana! Nie wiem, dokąd poszła. Prawdę mówiąc, to musiała się wynieść, bo Bankier mi zapowiedział, abym jej nie trzymała, inna barmanka miała nastać. Bliższa koszula ciału... Żal było Reginy, ale Zakrzewski to dawny przyjaciel... Więc będzie tydzień, przyszedłam z miasta, a jej już nie było, tylko kartkę zostawiła: Dziękuję za wszystko, pani Klementyno – Regina! ...Rzeczy? Jakie tam rzeczy. Nawet pościeli swojej nie miała. Tych parę sukieneczek to w neseserze zmieściła...

Major dziękuje i żegna wdowę. Z arkusza informacji o Horwacie, zebranych przez służbę X, wyłuskuje numer telefonu biura projektów.

Architekt jest wyraźnie zaskoczony. Przez chwilę nawet ociąga się z przyjęciem zaproszenia. Lecz prośba majora podana jest w sposób stanowczy, nie znoszący sprzeciwu. Po godzinie olimpijczyk jest już w gabinecie inspektora.

– Proszę mi powiedzieć, w jakim celu przyszedł pan na Błękitną osiemnaście, wieczorem, szóstego października?

– Głupia sprawa... – architekt marszczy piękne brwi. – Chciałem spotkać pewną dziewczynę... – urywa pod wpływem nagłej obawy o Reginę.

– Obaj wiemy, gdzie ta dziewczyna mieszka – major jest znużony, mimo woli ton jego głosu jest nieprzyjemny. – Przed chwilą rozmawiałem z jej gospodynią, długo i wyczerpująco... Żle pojęta lojalność tylko szkodzi, proszę pana! Przy Błękitnej była ruleta, o tym też, zdaje się, wiemy obaj. Proszę mi powie-

dzieć, co pan wie o Reginie Wrzos?

– Coś się stało z Reginą?!!! – Horwat jest bardzo przejęty. W jego pytaniu jest tyle szczerego niepokoju, że major mięknie. Nie ma najmniejszych wątpliwości; chłopak stracił dziewczynę z oczu i teraz jej szuka.

– Tego właśnie nie wiem.

Informuje Horwata o śmierci Zakrzewskiego i Opata.

– Chyba jej nie zabili! – architekt błędnie.

– Mam nadzieję, że nie. Ale przyznaję, jestem o nią coraz bardziej niespokojny. Gdyby do pana się zwróciła, proszę tego nie ukrywać i koniecznie mnie zawiadomić. Może mi pan to przyrzec?

– Co jej grozi za tę... pracę w kasynie? Była tam barmanką.

– Nic – wzrusza ramionami major. – Prowadzenie baru w nielegalnym kasynie gry to sprawa etyki, a nie kodeksu karnego. Zresztą niedawno porzuciła to zajęcie, świadczy to na jej korzyść – łagodzi.

Horwat szczerze opowiada, co łączyło go z Reginą, w jakich okolicznościach ją poznał, jak ukrywała przed nim pracę w szuflerni, jak ją śledził; nie ominął nawet ostatniej sceny, jaką zrobił dziewczynie, gdy zdecydowała się już na porzucenie kasyna.

– Zamiast jej pomóc, zachowałem się jak szczeniak – teraz nie może sobie tego darować.

– W kasynie nazywano ją Waderą, wiedział pan o tym?

– W a d e r a? To samica wilka, skąd do niej takie przyzwisko – jest mu wręcz przykro. – Taka subtelna, dziewczęca, nie ma w niej nic takiego, co usprawiedliwiałoby tę nazwę. Nie, nie slyszalem tego imienia, czy to ma jakieś znaczenie dla śledztwa?

– W naszym fachu każdy szczegół może mieć znaczenie, dlatego zajmujemy się wieloma sprawami, które na pozór, a czasem rzeczywiście są dla śledztwa nieistotne. Przykro mi, ale muszę pana zdaktyloskopować.

– Może się pan nie trudzić, ja b y ł e m u Zakrzewskiego, i to właśnie szóstego października, panie majorze – Horwat jest spokojny, rzeczowy. – Nie mogę tego faktu ukrywać, wiem, jakie to ważne dla pana. Ale, panie majorze, ja go nie zabiłem, chociaż była chwila, gdy miałem ochotę dać mu po mordzie.

Taki niecywilizowany, niesportowy odruch – uśmiecha się gorzko. – ...Bardzo chcę odnaleźć Reginę – dodaje.

– O której był pan u Zakrzewskiego, skąd pan znalazł jego adres? – inspektor jest nieco zaskoczony jego nieoczekiwanym wyznaniem.

– Adres? To bardzo proste! Z książki telefonicznej. Podczas kłótni Regina wymieniła jego nazwisko. Byłem u niego około dziewiętej rano. Kulturalny, uprzedzająco grzeczny starszy pan. Niesłychanie powściągliwy; zaproponował herbatę, nie skorzystałem, nie poszedłem do niego na herbatę...

– Co mu pan powiedział?

– Aby zostawił dziewczynę w spokoju. W przeciwnym wypadku...

– Zagroził pan interwencją milicji?

– Niestety, panie majorze, nic z tych rzeczy. Nawet nie przyszło mi to do głowy...

– Rozumiem – krzywi się inspektor – to nieetyczne, niesportowe... Tak pan sądził, prawda? To jednak, proszę pana, fałszywa etyka...

– Wówczas nie zastanawiałem się nad tym – sucho przerywa Horwat. – Powiedziałem mu po prostu, że mogę być kłopotliwy i zupełnie nie boję się jego goryli. Zakrzewski okazał zresztą zrozumienie, a ponieważ w tym czasie Regina odeszła już od nich, moja interwencja okazała się bezprzedmiotowa... A teraz służę wszystkimi palcami! – Horwat demonstracyjnie kładzie obie dłonie na blacie biurka.

Przesłuchanie Feliksa Gorzeńca wnosi do śledztwa nowe szczegóły. Osilek na wiadomość o śmierci swych chlebobawców wpada w panikę i bez oporów odpowiada na wszystkie pytania.

Dokładnie opowiada wydarzenia tego wieczoru; przede wszystkim zaskakujące polecenie Opata, aby nie wpuszczał do kasyna Rajfla, stałego bywalca domu gry, który dotychczas cieszył się pewnymi względami bankierów.

Nawet Gorzeńca zdziwiła nagła reakcja Opata na widok Rajfla. Osilek stwierdził, że wszystko, co działo się tego wieczoru, odbiegało od dotychczasowych obyczajów, panujących w kasynie. Chociażby nie zapowiedziane wyjście Zakrzewskiego. Do-

tychczas nie zdążyło się, aby Bankier w trakcie gry zmienił krupiera. A tego wieczoru przekazał grabki Opatowi.

– Gracze są przesądni, nie lubią zmiany krupiera, uważają, że to psuje passę – objaśnia majorowi.

Potem Gorzeniec wyczerpująco charakteryzuje mechanizm funkcjonowania kasyna. Trochę tylko zacina się, podając nazwiska goryli. Lecz niewiele umie powiedzieć na temat bywalców domu gry. Poza tym twierdzi, że krytycznego wieczoru Opat odesłał go do domu jeszcze przed dziesiątą i zakazał komunikować się ze sobą, dopóki sam go nie wezwie.

– Nie działo się nic podejrzanego! Zupełnie nie rozumiem, dlaczego on zlikwidował grę – Feliks Gorzeniec ciągle przeżywa ten ostatni wieczór na Błękitnej.

Major zwalnia go, oczywiście pod opiekę wywiadowców Cieślika. Polecenie przyjmuje Irena – zastępca porucznika, ponieważ szef służby X pojechał do Bazanowa.

Po południu, gdy przycicha młyn bieżących spraw, siadają z Lisem, aby przejrzeć i podsumować najświeższe informacje. Pułkownik zapoznaje się z wyjaśnieniami Klementyny W., Horwata, Gorzeńca. Potem obaj jeszcze raz próbują odtworzyć wypadki tragicznego wieczoru.

– Spójrz na to zestawienie – major podsuwa notatki, oparte na wyjaśnieniach świadków. Schemat dotyczy rozwoju wydarzeń w dniu szóstego października.

– 9.00 – Horwat przychodzi do mieszkania Zakrzewskiego; burzliwa rozmowa. Bankier łagodzi sytuację.

– 19.10 – Rajfel przychodzi do kasyna; brutalna awantura z Opatem. Obaj sobie grożą.

– 20.00 – Zakrzewski przekazuje kasyno Opatowi; niespodziewanie wychodzi. Prawdopodobnie na spotkanie z Moreno.

– 21.00 – Bankier oczekuje u siebie w domu na spóźniającego się Ivo Moreno.

– 21.15 – Moreno dzwoni do Zakrzewskiego, aby wytłumaczyć spóźnienie i uzyskać prolongatę czasu. Telefon nie odpowiada.

– 21.15 – Morderstwo Bankiera?

– 21.30 – Telefon do kasyna; przyjmuje wdowa. Nieznany

mężczyzna prosi Opatą. Po tym telefonie Opat natychmiast likwiduje grę. Kto dzwonił?

– 21.45 – Goście opuszczają kasyno; Opat odprawia wdowę i Gorzeńca. Portier jest tym, który ostatni widział Opatą żywego.

– 22.00 – Moreno przed chwilą otrzymał pieniądze (wiarygodność sprawdzić u nabywcy wozu) i powtórnie dzwoni do Bankiera. Telefon nie odpowiada.

– 22.05 – Moreno dzwoni do kasyna. Telefon przyjmuje Opat i namawia go, aby niezwłocznie udał się do mieszkania Bankiera.

– 22.10 – Przepuszczalny czas śmierci Opatą (dane z protokołu sekcji zwłok).

– 22.20 – Oficer dyżurny odnotowuje wezwanie na ulicę Małwy osiem.

– 22.35 – Przybywa pogotowie, w pięć minut później milicjanci zatrzymują Moreno na schodach domu przy ulicy Małwy osiem.

– To daje jakiś obraz – przyznaje Lis, odsuwając od siebie zestawienie.

– Według lekarza, który przeprowadził sekcję zwłok, zgon Bankiera nastąpił między 21.00 a 22.00 – podejmuje major. – Teraz można to określić jeszcze dokładniej. Gdy Moreno dzwonił po raz pierwszy o 21.15, Bankier już nie żył. Dalej, o godzinie 22.05 Opat j e s z c z e żył! Protokół sekcji zwłok określa czas jego zgonu między godziną 22.00 dnia szóstego października, a godziną pierwszą dnia następnego.

– Zeznania Moreno pokrywają się więc z orzeczeniami lekarzy. Zdaje mi się, że ten grubas nareszcie zaczyna mówić prawdę – pułkownik śmieje się, wie, że Korosz nie lubi skrzyпка.

– Oczywiście! – zgadza się inspektor. – Czy Opat żył jeszcze, gdy nieznany głos zawiadomił pogotowie milicyjne o rzekomych złodziejach, w mieszkaniu Bankiera?

– To nie dzwonił Moreno?

– Kategorycznie zaprzeczył. Powiedział mi wiele i nie sądzę, aby w tym wypadku skłamał.

– Przypuszczasz, że Opat był w zмовie z zabójcą Bankiera i wiedział, co się święci?

– Niezupełnie tak. Przecież człowiek, który przyszedł do Bankiera, nie miał zamiaru go zabić. Po prostu był przekonany o jego nieobecności w domu. Nie wiedział o spotkaniu z Moreno. Wieczorem była ruleta, a Bankier niechętnie oddawał Opatowi grabki krupiera.

– A więc Opat nie mógł być w zмовie z tym człowiekiem. – godzi się Lis. – Wiedząc o wyjeździe Bankiera do domu, uprzedziłby współnika i odłożyliby włamanie na inny, sposobniejszy czas. Opat miał pełną kontrolę nad ruchami Zakrzewskiego i vice versa.

– Weź jednak pod uwagę, że w kasynie rządził Zakrzewski. Opat w najlepszym razie był tylko jego współnikiem. Zarówno Moreno, jak i kierownik komisju charakteryzują go jako coś pośredniego między gorylem a starszym wykidajką kasyna. A więc Bankier nie musiał tłumaczyć się przed nim z każdego kroku ani też wtajemniczać go we wszystkie swoje interesy. Krytycznego wieczoru mógł go zawiadomić, na przykład o wpół do ósmej, o spotkaniu z Moreno i nie wiadomo, czy powiedział mu, dokąd wychodzi. A wówczas Opat mógł już nie mieć żadnych możliwości, aby ostrzec współnika.

– I co dalej? – Lis z powątpiewaniem kiwa głową.

– Opat, po odprawieniu gości, sam czeka na niego w kasynie, denerwuje się, bo umówiona godzina spotkania ze współnikiem mija...

– Z tych nerwów źłapie wodę i szpikuje się środkami nasennymi? – sceptycznie wtrąca Lis.

– To nie takie znów nieprawdopodobne – obrusza się major. – Gdy sobie wyobraził, jak Zakrzewski przyłapuje jego współnika, którego musiał znać, i jaka chryja może z tego wynikać...

– Bankier nie poszedłby z tym do milicji – prycha Lis.

– Kto wie – zastanawia się major. – Ostatecznie za prowadzenie gier hazardowych grozi tylko grzywna cztery i pół tysiąca oraz zlikwidowanie narzędzi gry. Mógłby schować ruletę, a oddać nam nawet te osiemnaście talii Piatnika.

– Nie bądź naiwny, Andrzej, straciłby ćwierć miliona zainwestowane w willę Michałowskiego, to po pierwsze. A skąd wiesz, jakie sprawy miała jeszcze na sumieniu ta banda, jakie

pokrętne interesy łączyły tych ludzi. Zresztą sam widzisz, powyrzynali się... Interesuje mnie, co, twoim zdaniem, działo się dalej, po niespodziewanym zabójstwie Bankiera?

– Wychodzi na twoje – przyznaje major. – Ten wspólnik morduje następnie Opatą. Tylko znów ten cholerny telefon do pogotowia milicyjnego. Kto dzwonił? Sprawca dwukrotnego morderstwa? Bo Opat też już wtedy najprawdopodobniej nie żył.

– Wykluczone, aby dzwonił sprawca! I właśnie ten szczegół zupełnie psuje z pozoru zgrabną hipotezę.

– W kręgu ludzi tego kasyna muszą być faceci od banku – mówi inspektor. – Może to są gracze, a może pomordowani, a może ich wspólnicy, stojący w cieniu... Weź chociażby ten samochód muzyka. Wybór padł na jego wóz, bo chodziło po prostu o typowy, niczym szczególnym nie wyróżniający się samochód. Absolutna pewność, że facet przez wiele godzin nie wychylił nosa z kasyna, i gdyby nie nawaliła instalacja elektryczna, niewątpliwie „Warszawa” Moreno przed szóstą rano byłaby na swoim miejscu.

– A jeśli Opat lub portier, nie wykluczam również barmanki, należeli do gangu, to mieli tysiąc sposobów, aby zająć właściciela samochodu do bladego rana – dodaje Lis. – Zakrzewskiego jednak można wykluczyć z kręgu tych podejrzeń, bo skąd ten jego lęk przed niepewnymi pieniędzmi, przed niepewnymi graczami? To podważa wersję o jego związkach z bazanowskim gangiem.

– Mógł on ich nie mieć, tylko ktoś z jego personelu, ale równie dobrze mógł być bluff. Ta nagła utrata zaufania do muzyka mogła być podyktowana obawą przed zdekonspirowaniem kasyna, ale równie dobrze chęcią pozbycia się i odsunięcia od siebie faceta, którego samochód wykorzystano w akcji na bank.

– Najprostsze rozwiązania są najtrafniejsze. Zakrzewski za wszelką cenę chciał mieć „Amatego” i stąd te szykany wobec Moreno... – Lis przerzuca notatki z zeznaniami wdowy.

– Rzeczywiście Opat był takim elegantem? – pułkownik nawiązuje do oświadczenia Klementyny W.

– W szafie wisiało osiem garniturów i niezliczona ilość wdzia-

nek, kurtek, golfów, istny sklep z luksusową konfekcją i obuwiem. Buty oczywiście roboty rzemieślniczej lub komisowe. Smoking, znaleziony przy zwłokach, pochodzi z „Mody Polskiej”, lakierki – firma angielska, prawdopodobnie komisowe.

– Czy zastanawiałeś się nad tym telefonem do Opatu, o którym wspomina wdowa – chce wiedzieć Lis.

– Godzina 21.30 – powtarza major – był to więc telefon w kilka minut po śmierci Zakrzewskiego i na pół godziny przed telefonem Moreno do Opatu.

– To może być ten hipotetyczny wspólnik Opatu, zabójca Bankiera. Co to za wiadomość, po której Opat natychmiast przerywa grę i usuwa wszystkich z willi... Czy aby nie za wcześnie wyłączamy z kręgu podejrzanych Feliksa Gorzeńca?

– Rewizja w jego mieszkaniu nie przyniosła nic, co mogłoby wskazać na udział w masakrze na Błękitnej.

– Podtrzymujesz, że dokonano tam rabunku?

– Podtrzymuję. Z tym, że motywy morderstwa Opatu nie były rabunkowe, kasyno zostało ograbione, rzekłbym, przy okazji... To samo ryzyko.

– No, dobrze. Na razie przyjmujemy, że Felek nie maczał w tym palców – zgadza się Lis. – A więc między godziną 21.30 a 22.05 Opat pozostaje sam w kasynie...

– Pozbył się świadków, czeka na wspólnika, pije alkohol, łyka proszki, chce w ten sposób stonować zdenerwowanie spowodowane wiadomością, otrzymaną o godzinie 21.30 – podkreśla major.

– O godzinie 22.05 – podejmuje Lis – telefonuje Moreno i Opat namawia go gorąco, aby natychmiast szedł do Bankiera. Jeśli przyjmujemy, że telefon o 21.30 przyniósł mu wiadomość o śmierci Bankiera, to telefon od muzyka objawił mu się jako możliwość ratunku dla wspólnika i pośrednio dla siebie. Ten pomysł rodzi się błyskawicznie, gdy tylko Opat zorientował się, że jeszcze Moreno u Bankiera nie był... Opat jest przekonany, że Moreno pójdzie tam natychmiast, ponieważ zrobi wszystko, aby odzyskać skrzypce. Jeśli zostanie go tam milicja, to Moreno może być posądzony o zabójstwo. Więc o godzinie 22.20 dzwoni do dyżurnego pogotowia milicyjnego i podaje się za dozorcę

z Malwy osiem... Jest pod działaniem alkoholu i środków uspokajających, jest zmęczony... Zaraz potem przychodzi współnik i... zabija Opata. Ale dlaczego?... tego nie wiemy. W każdym razie, gdy milicja zjawia się na Malwy osiem, Opat prawdopodobnie już nie żyje... Co z tym sygnetem, o którym wspomina wdowa, Opat go rzeczywiście miał?

– Tak. Potwierdzili to Moreno i kierownik komisju.

– Zabrał go morderca, ale po co? Krwawnik, nawet w złotej oprawie, to wartość znikoma, a przedmiot charakterystyczny. Nie rozumiem, pozostawił w kieszeni złotą zapalniczkę, a zabrał pierścień z półszlachetnym kamieniem?

– Może nie zabrał. Kamień byt przecież uszkodzony, stąd ten odprysk na podłodze. Opat chyba oddał go do naprawy lub wymiany oczka i krytycznego wieczoru nie miał go na palcu.

– A co mówi wdowa?

– Nie zwróciła uwagi na ten szczegół. Nic dziwnego, była przejęta suknią z dżetami i robieniem konkiety wśród wielkiego świata – uśmiecha się major.

Po północy budzi inspektora telefon; z Bazanowa dzwoni Cieślik. Głos wywiadowcy wydaje się daleki, niewyraźny, sens słów zniekształcony przez szum i trzaski. Inspektor potrząsa słuchawką i niemal po każdym słowie tamtego krzyczy: – Nie rozumiem, powtórz!

Cieślik żąda natychmiastowego przyjazdu, więc Korosz już o nic nie pyta, rozumie, że porucznik nie wyrwałby go wśród nocy dla błahych spraw. Ryczy w tubę: – Zaraz wyjeżdżam! – i śpiesznie się ubiera.

Ma niedobre przeczucia, jest prawie pewien, że wywiadowca odkrył znów jakąś masakrę.

Po godzinie wysiada z wozu na dziedzińcu komendy powiatowej i wbiega do oficera dyżurnego, gdzie czeka na niego Cieślik.

– Rajfel? – pyta inspektor.

– Rajfel – kiwa głową wywiadowca – ...nie, nie, trupa na razie nie ma – porucznik pojmuje przypuszczenia majora.

– Co z nim jest?

– Znikł! – rozkłada ręce Cieślik. – Siódmego października nie otworzył zakładu i nikt go w Bazanowie odtąd nie widział.

– Dzisiaj mamy dziesiątego. – Spogląda na zegarek, dochodzi godzina pierwsza czterdzieści. – Już jednak jedenastego – prostuje. – Byłeś tam?

– Właśnie stamtąd wróciłem i zadzwoniłem do majora.; Sam nie chciałem decydować o otwarciu... warsztatu i mieszkania wyglądającego na oko zupełnie zwyczajnie... Żadnych śladów gwałtownego działania czy pośpiesznej ucieczki. Ot, zwykle gospodarstwo samotnego mężczyzny, brak tylko samochodu, wiśniowej „Warszawy”... Co robimy?

Major prosi, aby oficer dyżurny wezwał technika, później we trójkę idą do warsztatu Rajfla.

Porządny parkan z siatki otacza małe podwórko; trzy murywane boksy, pod daszkiem kanał do reperacji wozów. Do boksov, pod kątem prostym, przylega schludny, również murywany domek kryty blachą.

Mieszkanie składa się z jednego obszernego pokoju i równie przestronnej kuchni. W kwadratowej sieni-przedpokoju dwoje drzwi, jedno wiodą do pomieszczenia zawalonego częściami samochodowymi, drugie do małego pokoiku, spełniającego rolę kantoru. Stoi tu tylko stare biurko, krzesła i drewniana, nie zamknięta szafa. W niej książki rachunkowe, faktury, pokwitowania, duży terminarz z notatkami. Wszystkie dotyczą napraw, zawierają daty przyjęcia lub zwrócenia pojazdu. W osobnym zeszycie oferty przetargów, dotyczących kupna lub sprzedaży samochodów, kapitalnych remontów.

Pokój mieszkalny urządzony jest mniej spartańsko, widać, że właściciel dbał o niejaką wygodę.

Oficerowie buszują po całym domu, zaglądają niemal w każdą szparę.

Major z grubsza segreguje znalezione papiery i dokumenty. Rośnie ich pokaźna sterta.

Cieślik hałasuje w komórce z rupieciami, technika interesuje z kolei kredens. Przysadzisty, masywny bufet z jasnego orzecha, z kryształową gablotką, z której inspektor wygarnął już leżące tam papiery.

Kredens ma wiele półek, szuflad, przegródek. Technik wybebeszą ich zawartość i ostukuje mebel, podobnie zresztą postę-

pował z innymi sprzętami.

Wysuwa teraz spod blatu kredensu ruchomą deskę. Bufet jest może niezbyt ładnym meblem, ale wykonanym bardzo solidnie. Deska – pomyślana jako podstawa do krojenia pieczywa – ma prostokątną płytę z żyłkowanego marmuru, wpojoną w ramę z orzechowego drewna.

Technik pracowicie, aby nie uszkodzić ramy, wydłubuje z niej marmur.

– Majorze! – odrywa inspektora znad papierów. – Niech pan spojrzy!

W płytkim zagłębieniu, między marmurem a dolną płaszczyzną blatu, leżą ciasno ułożone tysiącłotowe banknoty.

Inspektor, zanim sięgnie do wykazu serii zastrzeżonych po napadzie na bank, już wie, że te banknoty pochodzą stamtąd; są dziwnie zużyte, spreparowano je prymitywną techniką, aby nie wyglądały na zbyt nowe. Są bliźniaczo podobne do tych, które znaleziono u Zakrzewskiego.

– Też pięćdziesiąt tysięcy – inspektor odkłada przeliczone pieniądze do teczki i przerywa przeszukiwanie pomieszczeń.

Zabezpiecza lokal z milicjantami przysłanymi z komendy powiatowej, potem wzywa z Warszawy specjalistów. Tę samą brygadę, która dokonała oględzin przy Malwy osiem, w kasynie na Błękitnej i kawalerce Opata. Będą musieli dokładnie zbadać wszystkie budynki, zerwać podłogi i przekopać piwnice oraz dziedziniec.

Z komendy powiatowej inspektor łączy się z centralnym węzłem łączności na Puławskiej. W imieniu szefa służby kryminalnej, pułkownika Lisa, zarządza natychmiastowe poszukiwania wiśniowej „Warszawy”, numer rejestracyjny...

Mknie po kablach i dociera w najdalsze zakątki kraju rozkaz odnalezienia i zatrzymania samochodu, legitymującego się dokumentami rejestracyjnymi na nazwisko Józefa Rajfla, właściciela warsztatu naprawczego w Bazanowie.

Jest już po czwartej, gdy z Cieślikiem wracają do Warszawy. Mimo martwej pory w mieście operują wzmocnione patrole służby drogowej.

Zaraz po ósmej, gdy ziewający i wściekły major wchodzi do

gabinetu Lisa, ten odbiera właśnie telefoniczny meldunek dyżurnego komendy miasta.

– Na Służewcu przemysłowym, ulica Nowoprojektowana, stoi porzucona „Warszawa”. Kolor i znaki szczególne odpowiadają poszukiwanemu samochodowi. Wóz jest zamknięty, tablicy rejestracyjnej brak!

Lis każe doprowadzić wóz na Puławską.

Zaraz przyjeżdża nim sierżant, dowódca patrolu służby ruchu, ten sam, który odnalazł go nad ranem.

Samochód jest sprawny, nie widać w nim żadnych uszkodzeń. Stał w pobliżu zakładów ceramicznych, na nie zamieszkanym odcinku ulicy.

W obecności Lisa i inspektora, na podwórzu komendy, pracownik zakładu kryminalistyki bada samochód.

W bagażniku, pod zapasowym kołem i narzędziami, znajduje się pakunek, owinięty płachtą z grubego plastyku. Plastyk pokrywają wielkie, rdzawe plamy. W środku tkwi zwykły tłuczek do zbijania mięsa, z nierdzewnego metalu. Niewinny kuchenny sprzęt posiada z jednej strony mały toporek, z drugiej prostokątny zbijak, poprzecinany kwadratowymi wypukłościami wyżłobień. We wklęsłych rowkach zaschła brunatna masa. Zasepiony Lis wymienia spojrzenie z inspektorem.

Ekspert zabiera przedmioty do badań, niestety, innych śladów, ani wewnątrz wozu, ani na zewnątrz, nie znalazł.

– Dlaczego porzucił sprawny samochód? – mruczy inspektor, gdy wracają na górę.

– Nie jest taki głupi – wzrusza ramionami Lis. – Już byśmy go mieli... – łączy się z Bazanowem.

Komendant informuje, że ekipa dochodzeniowa pracowała do świtu, ale dotychczas nic istotnego – ma na myśli bankowe pieniądze – nie znaleziono. Poszukiwania przerwano, aby nie zdradzać czynności milicji na terenie warsztatu i w mieszkaniu Rajfla. Zostaną podjęte z nastaniem nocy.

– Słusznie – przyznaje Lis. – W mieście powinni o tym jak najmniej wiedzieć.

– Pozwól, Heniek – major wskazuje radiostację. Lis oddaje mu mikrofon: – Tu Korosz! – wita komendanta inspektor. –

Zanotuj i sprawdź, oczywiście dyskretnie, następujące nazwiska... – dyktuje adresy znalezione w książkach rachunkowych, kwitach i asygnatach, zabranych z domu Rajfla.

– A więc mamy sprawcę – wzdycha Lis, gdy major zakończył rozmowę.

– Przez myśl mi nie przeszło, że to może być Rajfel... Wierzyć się nie chce... – przygryza wargę major. – Dwukrotny morderca!... Dlaczego zostawił w wozie narzędzie zabójstwa, a zdjął tablicę rejestracyjną i zabrał książkę wozu?

– Nieprzemyślane, pośpieszne i niekonsekwentne działanie pod wpływem strachu i wyczerpania nerwowego po tym, co zrobił... To już nie ma większego znaczenia, musiał się liczyć z faktem, że i tak wyjdziemy na niego... – rozmyśla głośno Lis.

– Nie przyszło mi do głowy tak na serio posądzać go o skok na bank – nie może opanować niemilego uczucia major. – A przecież mieszka tuż obok, tak blisko. Tkwił cały czas na miejscu. Obserwował naszą bieżącą, orientował się w naszych posunięciach, jasna cholera! Nie mogę sobie darować, że nie zajęliśmy się nim od razu, po pierwszej rozmowie z Moreno!

– Bzdury! – obrusza się Lis. – Tak samo można było podejrzewać innych mechaników samochodowych, nie starczyłoby nam służby wywiadowczej... Co mieliśmy na niego? Że właściciel warsztatu naprawczego? Nawet jego samochód stał wtedy na kółkach.

– Specjalnie – przerywa major – unieruchomił samochód. Przewidywał, że będziemy przede wszystkim szukali środka transportu... Ziętek! – przypomina sobie reprezentacyjnego włamywacza Bazanowa. – Ten złodziej mówił wtedy prawdę, a nam wydawało się to wówczas niewiarygodne. A więc to Rajfel podrzucił mu dwa tysiące złotych, bo któż mógł lepiej znać złodzieja cieszącego się w miasteczku określoną sławą? Tylko człowiek mieszkający na miejscu... Po cholere to zrobił, dla kawału? Chyba nie sądził, że damy się wziąć na ten numer...

– A jednak Ziętka wzięłeś do przechowalni – uśmiecha się Lis.

– Było trochę zamieszania – przyznaje niechętnie major. – Jak myślisz, łup ukryty jest u Rajfla?

– Za blisko – ocenia Lis. – Nie, łup jest gdzieś dalej... Tak,

zdolny mechanik, wykwalifikowany ślusarz... Mając taki zawód, niezbyt trudno wyspecjalizować się w angielskiej pasówce. Niewątpliwa inteligencja, spryt, zdolność przewidywania. Przecież ten bank spreparowano wręcz po mistrzowsku, i tylko jeden błąd nie uwzględniony w ogólnym rachunku... hazard! Opętanie nałogiem tak silne, że w pewnym momencie facet zatracił zupełnie nie tylko zdolność przewidywania, ale i instynkt samozachowawczy... Wyobrażam to sobie tak: Rajfel ma zupełnie niezłe dochody ze swego warsztatu, doskonały fachowiec, do tego pracowity i słowny, ma kupę klientów. Nie pije, właściwie jego potrzeby i ambicje są niewielkie, ale zżera go jedna namiętność, gra! Jest stałym bywalcem kasyna, grywa tam systematycznie i w ogólnym bilansie oczywiście przegrywa. Zaciąga długi, coraz większe długi. Dochody z warsztatu nie wystarczają, a przecież trzeba mieć ciągle świeże zasoby na grę. Bankier lub Opat początkowo chętnie pożyczają, teraz już nie tylko nie chcą pożyczać, ale coraz niecierpliwiej domagają się zwrotu pieniędzy i traktują go niechętnie. Szakał. Golec. Taki klient nie liczy się, gorzej, jest zawadą... Jeszcze trochę, a zabronią mu wstępu do kasyna. Wyrzucenie z jednego domu gry równa się zamknięciu drzwi do podobnych lokali w całym mieście... Bankierzy są solidarni, ostrzegają się wzajemnie przed niewypłacalnymi graczami, więc Rajfel jest już prawie skończony... Musi mieć pieniądze, dużo pieniędzy. Nie wiadomo, jak długo zżerała go ta myśl... Tymczasem często bywa w banku, a to płacąc podatki, a to podejmując należność. Odnotowuje w pamięci obyczaje pracowników, rozplanowanie wnętrza, dni, gdy ambulans dostarcza świeżą gotówkę... Powstaje już teraz konkretny plan zawładnięcia skarbcem. Zuchwały, niełatwy plan, ale bez ryzyka nie ma wielkiego skoku. W jego planie poczesne miejsce zaczyna zajmować kasyno. Wśród ludzi z szulerni dostrzega potencjalnych współników. Możliwość stworzenia alibi... Trzeba wciągnąć więc kogoś z nich. Bankier? – nie. Dostatecznie zarabia, jest ostrożny, ale jego współnik to facet interesujący. Pannie zawiązują spółkę. Może resztę współników dobierają spośród goryli kasyna?

– Raczej nie – wtrąca major. – To miałkie oprychy, takie kocaczki za dychę, klientela ciemnych jatek³... Cieślik ma już ich wszystkich w ewidencji.

– Szkoda, że tak późno – zauważa z grymasem Lis. – Jak mówiłem, kasyno stwarza nieograniczone możliwości, zarówno co do transportu, jak i wyboru współnika... Akcja w banku przebiega bezbłędnie, poza nieprzewidzianą awarią wozu i niedbałym ukryciem narzędzi i broni, tu już nerwy nie dopisały. O znalezieniu przez nas tego wszystkiego mogli nie wiedzieć...

– Nie ludź się, Heniu! – uśmiecha się zjadliwie major. – Rajfel był na miejscu, gdy sprowadziłeś kompanię milicji, saperów i straż pożarną... Tylko kompletny bałwan by się nie zorientował, z jakiego powodu ten raban!

– No więc wiedzieli, ale to nie ma znaczenia – gładko przechodzi do porządku Lis. – Mają teraz inny, bardziej zasadniczy kłopot: pieniądze, tej olbrzymiej sumy nie można wydać, trzeba żyć ze świadomością, że taki majątek, pozornie w każdej chwili dostępny, jest zupełnie bezużyteczny i to na czas nieokreślony. To męczy, to cholernie męczy...

– No, coś tam mieli w starych banknotach, zaraz – zagłąda do notatek – ponad osiemset tysięcy złotych.

– Po podzieleniu na kilka osób stanowi to jakąś sumę, owszem, ale nie dla gracza w ruletę, bakarata itede... Te pieniądze Rajfel szybko puszcza, może płaci nimi długi i znów jest goły... Załamuje się i – w tajemnicy przed współnikami – wydaje w kasynie pięćdziesiąt tysięcy z zastrzeżonych pieniędzy. Trudno odgadnąć, co przy tym myślał, czy w ogóle się zastanawiał... Może uspokoiło go przekonanie, że ludzie z kasyna nie zameldują o tym milicji? Bankier wyławia banknoty, jest zaniepokojony. Słyszał przecież, podobnie jak całe miasto, o włamaniu do banku, więc co robi? Każe je sprawdzić Opatowi. Ten domyśla się, ba! ma absolutną pewność, skąd pochodzą pieniądze i kto je puścił w kasynie. Kręci przed Bankierem... Zakrzewski zaczyna coś podejrzewać, Opat wydaje mu się niewyraźny, więc usiłuje sprawdzić sam...

– Dlaczego Zakrzewski po prostu ich nie zniszczył?

³ Bary z wyszynkiem, najpośledniejszej kategorii.

– Nie wiem. Może już zaczął podejrzewać Opatą o współudział lub inspirację napadu? Może chciał na tym skorzystać, może myślał o szantażu? Nadzieja na piętnaście milionów może zmienić nawet charakter człowieka, nie wspominając o zasadach... Tak czy inaczej, pieniędzy nie zniszczył, a trzymał je w domu. Opat powiadomił o tym Rajfla, nie szcędząc mu przy tym wyrzutów, i Rajfel decyduje się zabrać je Zakrzewskiemu... Zwróć uwagę na zeznanie Gorzeńca. Stwierdza on, że krytycznego wieczoru Rajfel po siódmej przyszedł do kasyna.

– Opat go nie wpuścił, było ostre starcie!

– To nie ma znaczenia. Opat bat się Bankiera, Rajfel znów miał długi. Poza tym Opat obawiał się, że współnik, opętany chęcią gry, znów może przegrać kompromitujące pieniądze. Tym razem jednak Rajfel nie przyszedł grać. Przyszedł sprawdzić, czy Bankier jest w kasynie.

– Gorzeniec twierdzi, że Rajfel nawymyślał Opatowi od tchórzy i domagał się rozmowy w cztery oczy. Może chciał mu powiedzieć, co zamierza zrobić?

– Przede wszystkim przyszedł się upewnić, czy Bankier ma zamiar ruszyć się z kasyna, czy nie... Chciał to uzyskać od Opaty, pośrednio dowiedział się, że Zakrzewski jest w kasynie. Oceniał, że Bankier nie przerwie gry. Takie przecież panowały wśród nich obyczaje... Ale tym razem źle ocenił... Później wypadki toczą się już jak lawina. Po zabiciu Bankiera zdecydował się również zabić Opatą, mimo że tamten przygotował mu alibi z Moreno...

– Sądzisz, że Rajfel przez telefon zawiadomił Opatą o zamordowaniu Bankiera? – powątpiewa major.

– Bardzo możliwe, mógł dzwonić z automatu. W każdym razie, to jego telefon spowodował, że Opat przerwał grę... Po zabójstwie Bankiera Rajfel był już innym człowiekiem. Zdecydowany na wszystko, postanowił zlikwidować współnika, nie wierząc w jego lojalność... Bezkrwawy napad na bank to jednak nie to samo, co zabójstwo. Nie wierzył, aby Opat chciał go kryć... U Zakrzewskiego, przerażony tym, co się stało, nie zabrał nic, zapomniał nawet, po co tam przyszedł, i nie szukał dalej kompromitujących pieniędzy. A teraz zauważ! Wracając do Opaty ma

już konkretny plan. Zabija współnika, ograbia kasyno i ucieka! Ma pieniądze na tymczasowe urządzenie się, przeczekać, a w perspektywie jest łup z banku, powiększony o część Opatą.

– Co może zrobić dalej? – zastanawia się major. – Ma lewe dokumenty, to pewne. Charakteryzacja? Ucieczka za granicę? Na fałszywym paszporcie lub zielonym szlakiem? Słuchaj! A jeżeli ten pierścień Opatą był znakiem dla człowieka sprawującego pieczę nad łupem?

– Tak! Tym można uzasadnić jego kradzież – zgadza się Lis.
– Przygotuj list gończy... Cieślik musi dokładnie sprawdzić życiorys Rajfla. Nie jest przecież na pustyni, będzie szukał pomocy wśród ludzi z bliskiego grona. To dla nas jakaś możliwość natrafienia na jego ślad... Niech Cieślik również zajmie się krewnymi i znajomymi Opatą, może stamtąd rekrutują się współnicy napadu... Czekaj, kiedy kończy się sankcja dla Czarnego Kciuka?

– Pod koniec miesiąca... Jeśli nie dostarczymy dodatkowych dowodów, trzeba będzie go zwolnić. Prokurator nie przedłuży aresztu.

– Otrzymuje prasę? – pyta Lis.

– „Ekspres” i „Kurier”, innych gazet nie żądał.

– Starczy. Trzeba zaobserwować jego reakcję, gdy zobaczy w gazecie zdjęcie Rajfla i przeczyta list gończy.

– W tekście nie wspominamy, że chodzi o napad na bank? – zastrzega major.

– Oczywiście! Wystarczy dwukrotne morderstwo, i koniecznie podaj nazwiska ofiar.

– Sądzisz, że Czarny Kciuk znał Opatą?

– Właśnie. Liczę, że gdy się dowie, iż współnicy się wykańczają, może się zdenerwować...

List gończy ukazuje się w dziennikach następnego dnia, powtarza go radio, telewizja emituje zdjęcie przestępcy. Oprócz milicji informacje o zbiegłym otrzymuje służba graniczna, służba celna, kolejarze, pracownicy komunikacji, funkcjonariusze LOTU.

Major poleca również powiadomić o groźnym przestępcy biura zagranicznych linii lotniczych.

Pierścień z krwawnikiem

Godzina przed świtem; długi, biały, oświetlony jarzeniówkami korytarz aresztu śledczego. Rzędy drzwi, opatrzonych wizjerami. Przy wyjściu z korytarza dyżurka profosa, na przeciwnym końcu drzemie strażnik.

Dzyń... dzyń... – dobiega stłumiony dźwięk z którejs celi i wyrywa z krótkiej drzemki strażnika. Otwiera oczy i wsłuchuje się w delikatny śpiew rur centralnego ogrzewania.

Trzy krótkie dźwięki – pauza – długi dźwięk – pauza – pięć długich dźwięków!

Strażnik dźwiga się z krzesła, bezszelestnie przechodzi od drzwi do drzwi. Dźwięki są coraz bliższe, przeskakują od celi do celi. Teraz rozbrzmiewają w dziewiątce.

Kropka, kropka – pauza – kreska, kreska, kropka – pauza – więzienny alfabet, myśli strażnik. Znaki są wystukiwane szybko, zręcznie. Strażnik rejestruje je w notesie, nie ma czasu na ich rozszyfrowanie.

Cele cichną; po chwili z szóstki dobiega rytmiczne, pracowite stukanie, powtarzają je zaraz następne cele.

Odpowiedź dała szóstka – notuje strażnik; te same dźwięki powtarza cela numer dziewięć. Znów cisza i kilka taktów dobiega z dziesiątki.

Teraz więziennym alfabetem stuka cela numer osiem, znów podejmuje go dziewiątka – po chwili szemrzają delikatnie rury w dziesiątce.

Znów przerwa i za chwilę odpowiedź z szóstki, znów przekazuje dalej dziewiątka, potwierdza krótko cela numer dziesięć i zapada cisza.

Strażnik jeszcze kilka minut nasłuchuje, ale już nic nie mać ciszy aresztu.

– Zaczęła dziesiątka – informuje profosa i podaje mu notatki.

Tamten odczytuje rozmowę między celami, bez namysłu dzwoni do mieszkania Korosza. Dochodzi czwarta rano, gdy ziewający major wchodzi do dyżurki.

– Pański klient ożywił się, majorze! – profos podsuwa inspektorowi rozszyfrowaną rozmowę więźniów.

– Kiedy otrzymał gazety z listem gończym?

– Wczoraj około piątej po południu, porannych nie dawaliśmy, byłoby to dość niezwykle, skoro ich dotychczas nie otrzymywał.

Inspektor czyta:

Dziesiątka do ósemki: – Kiedy rozprawa? Odpowiedź z szóstki: – Dzisiaj o dziesiątej. Dziesiątka do ósemki: – Zrozumiałem... uważaj, ósemka! Dzisiaj szeszlong... zaczynam o piątej czterdzieści pięć. Odpowiedź z ósemki: – Zrozumiałem, szeszlong, ja zaczynam o piątej dwadzieścia. Dziesiątka: – Daj znać. Nie nawalisz? Ósemka: – Zamknij dziób.

– Kto jest pod szóstką? – pyta major.

Profos nie musi zaglądać do książki aresztów; cytuje z pamięci imię i nazwisko.

– Chuligaństwo, uprzednio karany za to samo przestępstwo, wyrok miał z zawieszeniem. Dzisiaj o dziesiątej rozprawa w sądzie wojewódzkim na Lesznie. Cele numer: siedem, osiem i dziewięć przestępstwa kryminalne.

– Aha! To znaczy, że on dzisiaj będzie w mieście... Skąd oni się znają?

– Kilka razy mieli dyżur w czasie obiadu... ze dwa razy sprzątały korytarz, wprowadzie każdy w innym końcu... zwąchali się – wyjaśnia powściągliwie profos. – To nieuniknione, majorze.

– Co oni szykują? – inspektor odkłada notatkę. – Co znaczy ten szeszlong, żargon, szyfr?

– Nie znam tego słowa. W gwarze więziennej... – kręci głową profos – to będzie zawsze oznaczało pryczę, legowisko, tapczan, łóżko wreszcie... Inna rzecz, że ten język z dnia na dzień się zmienia. Jedne wyrazy obumierają, powstają nowe... Trzeba uważać, co zrobią o zasygnalizowanej godzinie.

Przed szóstą rozlegają się głuche uderzenia w drzwi celi numer dziesięć. Za chwilę bębnienie narasta, zlewa się w jeden głuchy łoskot, za moment brzmi nieregularnie, jakby alarmujący się zmęczył.

Profos wbiega do celi. Więzień śledczy, Antoni Łopatko, leży

skulony pod drzwiami; poszarzała, spocona twarz, wytrzeszczone oczy, silny ślinotok z poblądłych warg. Kurczowo rusza grdyką, krztusi się, rzezi.

Stary profos, znający na pamięć wszystkie wybiegi swoich podopiecznych, jednym spojrzeniem rozpoznaje dolegliwość. Jest zaniepokojony. Woła strażnika. Podtrzymując ślaniającego się więźnia, prowadzą go do ambulatorium.

– Świnio nie myta, skąd wzięłeś drut? – z rozpaczą wymyśla mu profos.

Major, słysząc jego wyrzekania, wychodzi z dyżurki i z obawą spogląda na zmienioną twarz Antoniego Łopatki; razem z nimi idzie do infirmerii.

– Połknął kotwiczkę – zawiadamia siwego lekarza profos.

Doktor układa więźnia na obitej ceratą kanapce, opiera o wysoko podniesiony wezglówek.

– Przecież to nowy – profos ma na myśli, iż Łopatko, nigdy dotychczas nie był w areszcie – skąd do niego takie numery? Pewno od kogoś usłyszał, że robią takie hece i spróbował... Mógłby się jak nic zadławić... Jak mogłeś mi zrobić takie świństwo? – wyrzeka profos. W wyjątkowych sytuacjach nieregularnie tyka więźniów, chociaż jest to surowo zabronione.

Doktor bez ceregieli otwiera choremu usta i głęboko wsuwa palce. Wyciąga mały przedmiot z drutu, owinięty nićmi.

– Rzeczywiście, kto tak robi, synu? – doktor wyrzuca kotwiczkę do nerki. – Uwięzła ci w krtani! Nic mu nie będzie – zwraca się do profosa – ma trochę pokaleczone gardło, wypłucz je tym! – podsuwa więźniowi szklanekę z roztworem dezynfekcyjnym.

– A pan major się przestraszył, że wywinę orła? – z satysfakcją uśmiecha się Łopatko.

– Przestraszyłem się – sucho przyznaje inspektor.

– Skąd wzięłeś drut? – nie może darować profos. – Za ten szczeniacki wybryk nie dostaniesz wypiski z bufetu, iii... zabiorę ci gazety.

– Ja protestuję przeciw trzymaniu mnie w areszcie! – krzyczy Łopatko. – Zwariować można... nic się nie dzieje! Pana bym tak zamknął na kilka miesięcy samego w celi! – wskazuje majora.

– Jak będziesz taki bezczelny, to zabiorę ci palenie – grozi profos.

– Nie bądź głupi, synu – interweniuje siwy lekarz – gdyby to świństwo udało ci się przełknąć, miałbyś ciężką operację. Resekcja żołądka to nie pędzlowanie gardła. Masz, połknij to! – podaje mu środek uspokajający. – Wracaj, synu, do siebie i przestań histeryzować – łagodnie popycha go w stronę strażnika.

Strażnik z więźniem wychodzą, odgłos ich kroków słychać jeszcze na korytarzu.

– Zrobili sobie u pana skrzynkę pocztową – inspektor wyjaśnia lekarzowi swoje podejrzenia. – Jeszcze trochę, a będzie tu następny pacjent.

Razem z profosem oglądają białe lakierowane ściany ambulatorium, przemierzają drogę Łopatki przez pokój. Major lustruje drzwi, również białe lakierowane, z szarym pasem lamperii wokół klamki. Ale nic szczególnego nie dostrzega.

– Co ja bym zrobił na jego miejscu? – mruczy profos. Układa się na ceratowej kanapce, wodzi dłońmi po metalowej ramie i płótnie, którym obity jest spód materaca. Pod opuszkami palców wyczuwa jakąś wypukłość.

Podnosi się z kanapki, zagląda pod spód. Inspektor przykłęka obok niego.

Do spodu kanapki przylega niewielkie, szare wybrzuszenie. Jest elastyczne, dobrze trzyma się gładkiej płaszczyzny. Major delikatnie odkleja płaską kulkę i obaj z profosem dokładnie ją oglądają.

– Chleb – opiniuje profos – przeżuty i zabrudzony chleb.

Major ostrożnie rozłamuje kulkę, ze środka wyjmuje zgnieciony kawałek papierosowej bibułki, rozprostowuje ją na białym blacie lekarskiego stołu. Cieniutki papier pokrywają rządki równego pisma.

Inspektor dzwoni do dyżurnego laboratorium.

– Prędko, majorze – ponagla profos – zaraz przyjdzie odbiorca... Szezlong – przypomina określenie więźniów – kanapkowa poczta.

Laborant fotografuje bibułkę kilka razy, później znów umieszcza ją w chlebie i przykleja dokładnie w poprzednim miejscu, na ramie leżanki, blisko ruchomego wezgłowia.

Przybiega strażnik z zawiadomieniem, że alarmuje cela numer osiem.

– Powściekali się, czy co? – biada. – Czasami to pogoda tak na nich działa... aresztowany domaga się lekarza, rzeczywiście ma silne torsje – mówi strażnik.

– Sam go przyprowadzę – postanawia profos.

Inspektor wychodzi razem z nim i czeka w dyżurce. Więzień ósemki nie powinien zauważyć go w ambulatorium.

Następny pacjent też jest blady, twarz pokrywają mu kropelki potu, nie proszony mości się zaraz na lekarskiej kanapce. Rzęzi, krztusi się, popluwa.

– Czegoś się najadł, synu? – łagodnie obmacuje mu brzuch lekarz.

– Wczoraj na kolację dostałem baleron z wypiski i popiłem to naszą kawą, to ta kawa, ani chybi, panie profosie! Potruje nas dziadek tym świństwem! – krzywi się pacjent.

– Niedługo zmienisz lokal – odgryza się bez złości profos. – Tam ci będą dawać trzy razy dziennie przednią, brazylijską...

– Nabierasz mnie, mój kochany – mówi z pobłażaniem lekarz – zbożowa kawa jeszcze nikomu nie zaszkodziła...

Zrobię ci zastrzyk!

– Nie, panie doktorze, ja nie chcę zastrzyku! – krzyczy przestraszony pacjent. Lekarz doskonale wie, że symulanci panicznie boją się zastrzyków. Więc nie upiera się przy tym zabiegu i daje więźniowi tabletkę.

Więzień z ósemki wraca do celi, chlebowa kulka wraz z korespondencją zniknęła z ambulatoryjnej leżanki.

Dochodzi siódma. Inspektor idzie do siebie, czekając na wywołanie zdjęć i odbitki grypsu. Tymczasem pracuje nad notatkami Rajfla; adresy, nazwiska, a nawet imiona zapisane na kwitach, karteluszkach i innych papierach, znalezionych w jego domu. Spis jest długi, Cieśliska czeka mozolna praca, zanim zidentyfikuje tych ludzi.

Przegląda teczkę Rajfla, jest tu jego zdjęcie i rysopis oraz moc

najdrobniejszych nawet szczegółów o sytuacji życiowej, nawykach, stylu bycia, stosunkach towarzyskich. Jest notatka, że zalegał z podatkami i otrzymał prolongatę – ostateczny termin płatności mija trzydziestego listopada bieżącego roku. Wysokość zaszłości: dziewięć tysięcy osiemset złotych – pisał wywiadowca.

W innej informacji zajął się nawet garderobą Rajfla. Miał dwa podniszczone garnitury, trzy pary spodni. Zarówno odzież, jak i bielizna standardowe, przeciętne. I tu uwaga: – cechuje go pewna abnegacja, nie przywiązuje znaczenia do stroju. A w innym dokumencie Moreno twierdzi, że w kasynie widywał Rajfla w smokingu, ale tego smokinga nie odnaleziono. Może od kogoś pożyczał wieczorowy garnitur? I znów uwaga dla służby X: – Wyjaśnić, od kogo mógł pożyczać!

Wchodzi laborant, podaje majorowi wilgotne jeszcze odbitki. Inspektor odkłada teczkę. Pochyliła się nad fotografią grypsu w znacznym powiększeniu.

Oddać Janinie Łopatkowej – Sady Żoliborskie, ulica... numer... Mamo! Musisz zrobić to, co ci każę, i jak najprędzej! Miałem wielkie trudności, aby ci przekazać tę kartkę, i to Bóg raczy wiedzieć, czy ją otrzymasz. Los szczęścia, innej drogi nie mam. W altanie, na działce, pod drugą deską od podłogi, licząc od progu, znajdziesz sto pięćdziesiąt tysięcy – nie żałuj pieniędzy i jeśli nie możesz inaczej, kup zarazki tyfusu lub żółtaczkę zakaźnej, lepiej żółtaczkę zakaźnej, bo na tyfus byłem szczepiony. To jest konieczne, ponieważ tutaj wszystkie choroby, poza zakaźnymi, leczą w szpitalu więziennym, a ja koniecznie muszę się znaleźć w cywilnym. Dobrze zapłać i poradź się lekarza, jaką ilość mam wziąć, aby choroba miała łagodny przebieg. Pojemnik z zarazkami musi być bardzo mały. Zatop go w smalcu, który sama zrobisz. Wiesz, jaki lubię. Ten smalec będzie najlepszym znakiem, że to jest od ciebie. Zrób paczkę, włóż w nią ciasto i co tam jeszcze chcesz. Przynieś to sama. Musisz uważać, bo mogą cię obserwować. Czekaj ode mnie wiadomości już ze szpitala, wtedy musisz być również bardzo ostrożna. (–) Tolek.

Major woła Cieślaka, pokazuje fotografię grypsu. – Ten list musi dojść do adresatki – podkreśla inspektor. – Ważne jest,

kto go odbierze, musimy wiedzieć, czy to przypadkowa solidarność aresztowanych, czy też znają się z innego terenu.

– Wiemy, że Janina Łopatkowa jest laborantką w instytucie chorób zakaźnych – przypomina Cieślik. – Rok przed emeryturą, nieskazitelna opinia... Ale matki gotowe są dla swych dzieci na wszystko.

Około dziesiątej Cieślik jest już na korytarzu, przed salą rozpraw. Czeka tam grupa świadków, w sporym tłumku zwraca uwagę starsza kobieta w podniszczonym palcie i chustce na siwych włosach. Ma znużoną twarz i zaczerwienione oczy.

Konwojent prowadzi więźnia z celi numer osiem, przed drzwiami sali przypada do niego stara kobieta: – Synku! – grube łzy toczą się po jej policzkach, drżące dłonie wciskają w ręce paczkę „Sportów”.

Po twarzy chłopaka przebiega coś jak skurcz wzruszenia: – Nie martw się, mam! – mamrocze i niezgrabnie przyciska do siebie jej drżące ręce.

– Bez zezwolenia sądu nie wolno więźniom nic podawać! – huczy regulaminowo milicjant z konwoju, ale żal mu starej kobiety i nie zabiera podopiecznemu papierosów.

Matka drepcze za nim na salę sądową.

Rozprawa przeciąga się do południa. Cieślik trwa na swoim posterunku. Sąd przerywa rozprawę, są jakieś przeszkody proceduralne i brakuje kilku świadków.

Matka znów przemierza sądowe korytarze w ślad za eskortą syna. Przystaje później na szerokich schodach gmachu sądów i łzawym spojrzeniem odprowadza samochód-więźniarkę, znikając na ruchliwej ulicy.

Cieślik idzie jej śladem, kobieta jedzie prosto na Żoliborz. Długo szuka adresu, widać, że okolica nie jest jej znana. Wreszcie odnajduje bramę domu. Po chwili wychodzi i przysiadła na pobliskiej ławce. Przygarbiona, czeka cierpliwie w zupełnym bezruchu.

Porucznika, widzącego to wszystko, zalewa fala bezsilnej wściekłości na tych młodych, zdrowych chłopaków, przyczyniających tyle cierpienia swym najbliższym, starym, kochającym ich matkom.

Wreszcie nadchodzi Łopatkowa, obojętnie mija skuloną na ławce postać; stara kobieta trwa tak jeszcze z pół godziny i ponawia próbę, znikając w klatce schodowej.

Porucznik opuszcza swój posterunek, dzwoni do majora.

– Aresztancka znajomość, gryps, poszedł przez matkę ósemki – zawiadamia – ...tak, spotkały się! A teraz buźka, szefie, pędzę obejrzyć dziewczynę!

Od kilku dni Cieślik zaniedbywał inne sprawy; szukał barmanki, wykorzystując wszystkie możliwości swej wszystko wiedzącej służby.

– Irena, jesteś damska istota i znasz babskie fanaberie – rzucił się swojej koleżanki. – Co byś zrobiła, gdybyś znalazła się w takiej sytuacji, jak ona? No, wczuj się – nalegał – masz dwadzieścia lat, życie cię trochę przetrąciło, zakarapuściłaś się w fatalną kabałę, ale kochasz fajnego chłopca i chcesz być lepsza... Nie możesz wrócić do mamusi forsy brak, strach przed facetami z kasyna, o robotę trudno, bo nie masz zameldowania...

– Po przeczytaniu listu gończego za Rajflem natychmiast zgłosiłabym się do milicji – wydyma usta Irena.

– Lojalistka! – przedrzeźnia jej grymas Cieślik. – Powiedzmy, że nie czytałeś albo masz śmiertelną cykorię...

– Do innego kasyna nie przyłgnęła, bo pomijając jej wątpliwe odrodzenie, po wydarzeniu na Błękitnej jest spalona w tym towarzystwie.

– Dlaczego zaraz posądzasz ją o najgorsze?

– Mam ci poradzić? To słuchaj! Założmy, że umocnił jej się charakter, więc jaka praca jest dla niej dostępna? Praca, na którą popyt przerasta podaż! A pracodawcy przysmykają oczy na formalności... Salowe w szpitalach, woźne, sprzętaczki, pracownice zieleni miejskiej, pomoce domowe, kobiety do wszystkiego w prywatnych zakładach, sklepach, chałupnictwo...

I Cieślik prowadził poszukiwania wśród tej kategorii zawodów.

Na ślad Reginy Wrzos wywiadowcy trafili dzisiaj rano. Teraz porucznik, jak to miał we zwyczaju, chciał na wszelki wypadek obejrzyć dom profesora, w którym Regina podjęła pracę opiekunki do dzieci, a przy okazji sprawdzić, jak się sprawuje pod-

legła mu służba.

Z Sadów Żoliborskich miał blisko do willowej okolicy, gdzie mieszkał nowy pracodawca dziewczyny.

Z daleka już rozpoznaje służbowy samochód z pozornie drze-
miącym nad kierownicą szoferem. Przechodząc, puknął w szy-
bę, a tamten, poznając szefa, wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Nie śpiesząc się, przechodzi obok ogrodzenia, okalającego
willę profesora, i wtedy z gęsto zadrzewionej ulicy wyrasta
przed nim znana sylwetka.

– Czego tu szukasz, kanalio?! – Horwat chwyta go za kłapy.

– Nie jestem żadną kanalią – oświadczam z godnością porucz-
nik i usiłuje uwolnić się z rąk napastnika.

– Za często cię spotykam, gorylu! – cedzi mistrz judo.

– Przepraszam championa, ale to ja pana ciągle spotykam...

Horwat błyskawicznie wyrzuca ramię, Cieślik w ostatnim mo-
mencie robi unik, wywijając się spod ciosu tamtego; od zapar-
kowanego wozu słychać tupot nóg chłopaka, sprawującego ob-
serwację. Nadbiega z odsieczą szefowi; porucznik nie zdążył go
ostrzec, bo błyskawicznie spada na niego drugi cios, po którym
Cieślik pada. W tej samej chwili dostrzega również rozciągniętą
już na chodniku sylwetkę swego wywiadowcy.

– Wstawać! – rozkazuje groźnie Horwat. – I już was tu nie
ma... Następnym razem połamię kości!

– I na kim pan ćwiczysz, jak pragnę zdrowia? – –krzywi się
Cieślik, ale przezornie demonstruje z daleka znaczek tajnej
służby wywiadowczej.

– Cholernie mi głupio – Horwat rozpoznaje milicyjną pla-
kietkę, jest zażenowany. – Przepraszam! – pomaga wstać Cie-
ślikowi.

– Tak znieważać służbę państwową? I to kogo! Faceta, który
odnalazł panu dziewczynę? – mówi z wyrzutem Cieślik. – Pan
też jej szuka?

– Właśnie, i... kilka razy mignął mi pan w przelocie – tłumaczy
się Horwat. – Byłem przekonany, że to te żule z kasyna...

– Autorytet mi pan nadwerężył – wzdycha z udanym smut-
kiem Cieślik. – Spuścił mi pan manto na oczach
podwładnego... Podejdz, Władek! – woła stojącego z boku, na-

burmuszonego chłopaka – z takiej ręki nie wstyd dostać! Przedstawiam ci naszego olimpijskiego mistrza. Ale teraz musi mi pan pomóc – poważnieje. – Tak między nami, po męsku, zdecydowany jest pan zabrać do siebie tę dziewczynę?

– Nie wiem, czy zechce ze mną rozmawiać – przygryza wargi Horwat. – Ostatnio zachowałem się wobec niej niesportowo... – waha się, znów nie jest zdecydowany.

– Tak czy nie? – nalega Cieślik. – Resztę się załatwi.

– A jeśli nie? – bada go wzrokiem Horwat.

– Będę musiał pomyśleć o ochronie dla niej... – trochę przesadza Cieślik. – Boimy się o nią... bezpieczna nie jest, okoliczności są paskudne...

– Dobrze, zabiorę ją!

– Idziemy, trzeba ją natychmiast wymanewrować od tego profesora.

– Przy pomocy tej blachy? – mówi Horwat o służbowym znaczku Cieślika. Ta koncepcja wyraźnie mu nie odpowiada.

– Obejdzie się. Znam tysiąc sposobów, i to dość ładnych – obiecuje porucznik. – Niech się pan tylko niewiele odzywa, najwyżej: – Tak! Idziemy – porucznik już przejął inicjatywę, jest w swoim żywiole, a poza tym chce osiągnąć maksimum korzyści z tej tak nietypowo zawartej znajomości.

Horwat idzie za nim posłusznie.

Drzwi otwiera bardzo przystojna pani, jest nieco zdziwiona widokiem dwóch mężczyzn, pragnących natychmiast zobaczyć się z jej pomocą domową. Zaprasza ich jednak w głąb mieszkania.

– Pani profesorowa? – domyśla się Cieślik przystając w hallu. Młoda kobieta uśmiecha się leciutko, kiwa twierdząco głową.

– Piotr Horwat, architekt, onże mistrz judo i mój rodzony brat... – prezentuje porucznik, nie dając nikomu dojść do słowa – ...bardzo rozgniewał swoją dziewczynę i ona zrobiła nam brzydki kawał. Uciekła i zniknęła... Jeśli natychmiast nie wróci, wywalą ją z uniwersytetu i z akademika – łże gładko i z przejęciem. – Przyjechaliśmy zabrać Reginę.

– Powinna zaraz z nami jechać – wtóruje Horwat.

Profesorowa jest oszołomiona, również oszołomiona jest Re-

gina.

Cieślik nie daje nikomu ochłonać. Narzuca na dziewczynę jakiś płaszcz, wiszący na wieszaku, który okazuje się futrem profesorowej. Regina szybko go odwiesza i wkłada swój kożuch.

– Co ja jutro zrobię z dziećmi! – załamuje ręce profesorowa, gdy tamci są już przy drzwiach. – Regina! Panowie, niech ona zostanie chociaż do jutra, dopóki kogoś nie zorganizuję...

Porucznik nie traci głowy.

– Z dziećmi? Zaraz się załatwi. – Nakręca telefon. – ...Irena? Tu Stasio, przyślij na ulicę... naszą siostrę... Tak! Zajmie się dziećmi do czasu, gdy profesorowa znajdzie kogoś odpowiedniego... Przyślij ją taksówką, szybko, bo inaczej Reginę wyleją ze studiów!

Pracownicy wydziału służby wywiadowczej nie zwykli się dziwić żadnemu żądaniu kolegów, dzięki temu Cieślik może zawiadomić profesorową, że opiekunka do dzieci zaraz będzie.

Profesorowa jest zachwycona, Regina zupełnie osłupiała, Horwat usiłuje zachować powagę; czuje sympatię do tego pomyslowego chłopaka.

Wywiadowca wychodzi z nimi, żegnany serdecznie przez profesorową; przy krawężniku zatrzymuje się znajomy samochód, porucznik pakuje ich na tylne siedzenie i wymienia adres komendy.

– Zaskoczył pan wszystkich – przytomnieje dziewczyna – przecież nie zabrałam nawet szczoteczki do zębów – widać, że dziewczynie nic nie mówi ulica, na którą mają jechać, nie domyśla się również, kim naprawdę jest Cieślik. Do reszty oszołamia ją obecność Piotra i świadomość, że jej szukał.

– Otrzyma pani wszystko w komplecie – obiecuje porucznik.

– Ufam panu! – z naciskiem mówi Horwat; dopiero w tej chwili uświadamia sobie, że oto wytropił dziewczynę i przyszedł po nią z milicjantem.

– Wszystko gra! – Cieślik robi do niego oko i mocno ścisną rękę; zatrząskuje drzwiczki wozu.

Wywiadowca jak burza wpada do mieszkania majora.

– Mam gości – zawiadamia go inspektor.

– Wiem, dlatego przyszedłem, zamiast wydzwaniał!

– Zaraz będę gotów!

– Tu sobie piją, tu sobie swawolą, a człowiek pracy musiał sobie odmówić szklanki koniaku z kadrą narodową – wywiadowca nalewa potężny kielich i przysuwa kopiasty półmisek przekąsek. – Zabieram szefa do kuchni – zawiadamia z pełnymi ustami – przy okazji zmyję naczynia. Nie przeszkadzajcie sobie, państwo, czujcie się jak u siebie w domu – szarogęsi się ulubieniec majora.

W ciasnej kuchni porucznik, nie zapominając nalać sobie następnej porcji wódki, opowiada przebieg spotkania z Horwatem. Przegryza kanapką i sprawia wrażenie bardzo zadowolonego.

– To stąd to szczęście, żeś wziął po pysku! – śmieje się inspektor.

– Wreszcie trafiłem na lepszego – oświadcza wywiadowca. – Jednak jestem zadowolony, że nasze interesy nie są antagonistyczne.

– I tak zupełnie ci nie żal, że od niego dostałeś? – judzi major.

– Trzeba umieć przegrywać – wzdycha porucznik. – Ale dosłownie za trzecim zamachem – mówi o ciosach Horwata – facet załatwił mi kupę spraw. Mam z głowy opiekę nad dziewczyną... Jednak mężczyźni, oczywiście poza tu obecnymi, to chwieje sahadacne, że użyję powiedzonka naszego pryncypała. Jak mu dziewczyna przepadła, to ją tropił prawie tak skutecznie, jak moja służba, a jak trzeba było zdecydować, czy ją zabrać, łamał się, aż przykro patrzeć...

– W jaki sposób wrobiłeś go w to postanowienie?

– Chwył psychologiczny – przechwała się Cieślik. – Widzi major, niemal każdy Polak to potencjalny obrońca płci, czci i różnych takich... Więc jak tylko taki statystyczny mężczyzna uświadomi sobie, że płci coś zagraża, natychmiast mu pierś kolczugą obrasta... Oczywiście płęć musi być ładna... Więc mam z głowy dziewczynę... Mój wydział nie jest z gumy, a klientów mi major bez przerwy podrzuca... Poza tym będę pobierał lekcje judo u instruktora, o jakim można zamarzyć – cie szy się szczerze – nie mówiąc już o moralnej satysfakcji ze sko-

jarzenia tak ładnej pary.

– Dziękuję w imieniu służby! Ale przestań pić pokątnie, chodź, muszę uprzedzić gości!

– Też mi goście – wykrzywia się Cieślik. – Prokurator, adwokaci, sędzia i gliny! Mam wrażenie, że jestem na sali sądowej. Major gustuje tylko w takim profesjonalnym towarzystwie?

– Jesteś źle wychowany... Jest jeden lekarz – śmieje się major.

– Skrzyżowanie sali sądowej z prosektorium – otrząsa się porucznik – bo założę się, że to chirurg od nieboszczyków.

Korosz przeprasza przyjaciół, honory domu przekazuje koleżance; zabiera Cieślika i obaj jadą do komendy.

– Puścisz dzisiaj tę dziewczynę, co? Inaczej stracę twarz przed Horwatem! – niepokoi się Cieślik.

Po korytarzu przechadza się Horwat, porucznik zostaje razem z nim. Major wchodzi do pokoju przesłuchań, gdzie czeka Regina.

Ależ piękna! – myśli major na jej widok. Nareszcie rozumie, dlaczego Cieślik tak dokładnie zapamiętał tę dziewczynę, mimo że widział ją tylko raz, kilka miesięcy temu, w nocnym lokalu. Tak, takich twarzy się nie zapomina.

– Jeszcze nie szukałem tak żadnej kobiety! – uśmiecha się do niej; urok jej poważnej, a tak ślicznej twarzy sprawia, że inspektor nie potrafi zdobyć się na urzędowy ton.

– Nie ukrywałam się – szepcze dziewczyna i drżą jej wargi.

– Ależ ja tego nie powiedziałem, przynajmniej nie miałem takiego zamiaru – inspektor łapie się na tym, że tłumaczy się przed nią, i strofuje się w duchu za ten towarzyski wstęp. Zaraz też przystępuje do meritum sprawy. Zawiadamia ją o śmierci bankierów, wyjaśnia, że ich profesja jest milicji dobrze znana.

– W jaki sposób pani do nich trafiła?

– Przez nadmiar złudzeń – smutno uśmiecha się dziewczyna – ...zaczęłam studia w Gdańsku, pierwszy rok filologii angielskiej... osiemnaście lat, zupełny brak przygotowania do samodzielnego życia, nieznamość stosunków, klimatu i pułapek wielkiego miasta, do zawrotu głowy zachłyśnięcie się swobodą. Do tamtego czasu nigdy nie byłam w wielkim mieście. Pocho-

dzę ze wsi, zagubionej wśród lasów, szkołę średnią skończyłam w małym miasteczku... Nie usprawiedliwiam się ani nie usiłuję zrzucić z siebie odpowiedzialności... teraz to takie modne, szkoła, społeczeństwo... wychowanie... Nie! Oceniam to teraz jako rodzaj niedojrzałości, infantylnizm. Za brak charakteru zapłaciłam wysoką cenę... Byłam ogromnie ciekawa świata, a przy tym kompletny, wprost cielejący, brak umiejętności życia, brak dystansu do tych odmiennych warunków, w jakich się znalazłam. Po prostu nie dorosłam do życia, do jakiego uzurpowałam sobie prawo... – przygryza usta, niezadowolona ze swych wynurzeń. – Mniejsza o to! Taka byłam. Wszystko przyjmowałam bezkrytycznie, dosłownie, z kretyńskim zachwytem... Toteż Opat olśnił mnie bez trudu. Przystojny, elegancki, niezależny przemysłowiec, jak o sobie mówił.. Wydał mi się niezmiernie interesujący, kulturalny... To brzmi teraz żałośnie i śmiesznie, ale wówczas taki mi się wydawał.

– Poznała go pani w Gdańsku? – upewnia się major.

– Tak, i od razu zakochałam się w nim jak smarkata... Kopicuszek i maharadża. Zabawy, stroje, nocne lokale, w pas zgięci kelnerzy, wycieczki, hotele. Wstyd się przyznać, ale to mi imponowało, wydawało się prawdziwym życiem. Złudzenia trwały całe trzy miesiące. Opat przestał się pewnego dnia krępować, znudziła mu się rola księcia albo uznał, że nie jest już potrzebna... wtedy odkryłam, jakiej próby jest ta jego kultura. Bardzo banalny polor, a pod tym człowiek zły, brutalny, cyniczny...

– Czym się wówczas zajmował?

– Handlował. Oczywiście o jego profesji dowiedziałam się po tych wspañałych trzech miesiącach. Handlował wszystkim: walutą, złotem, dziewczętami... naganiał graczy do miejscowych kasyn, pożyczal na wysoki procent... Otumaniona swoim tombakowym szczęściem, ani razu nie zajrzałam na uczelnię, więc skreślono mnie z listy studentów. Po tym Opat widocznie uznał, że jestem dostatecznie wykolejona i zdana na niego, więc usiłował potraktować mnie jak towar...

– Mieszkaliście jakiś czas razem?

– Tak – twarz jej tężeje – ...no więc stałam się dla niego tylko towarem... może dlatego, że wpadł w kłopoty przy handlu wa-

lutą. Nie, nie przez milicję, po prostu oszukiwał kolegów. Cinkciarze mieli do niego pretensje, przerwał to zajęcie. Nie było pieniędzy, ale pozostało jego przyzwyczajenie do wysokiego standardu, na który zresztą nigdy go nie było stać. Pożyczki, wierzyciele, długi, awantury... odrażające sprawy... groźby facetów, którzy odebrali mu... zarabiające na niego dziewczęta. O tym wszystkim dowiedziałam się pewnego wieczoru, gdy doszedł do wniosku, że jestem dość ładna, aby on mógł ciągnąć z tego określone zyski... Nigdy w życiu nie zapomnę tego wieczoru. Bez zbędnych słów wyłożył mi jasno, czego ode mnie oczekuje... Tak runął mit wspaniałego mężczyzny – sili się na żalną ironię.– –W tamtej chwili przeżyłam swój koniec świata, usiłowałam się zabić. Przeszkodził temu, a później straszliwie mnie zbił... Sądzę, że ze strachu na myśl, w jaki skandal wpłatałoby go moje samobójstwo. Chorowałam potem przez tydzień nie tylko z powodu pobicia. Byłam martwa, wewnętrznie martwa. To była cena za utratę złudzeń, tyle kosztowała moja dojrzałość... Właśnie wtedy zjawił się Zakrzewski.

– Znali się z Opatem?

– Tak. Większość ludzi rulety zna się między sobą, to przedziwnie solidarna zgraja. Gdy Zakrzewski przyjeżdżał z ruletą na sezon na Wybrzeże, Opat organizował lokale, graczy i... żuli.

– Po co wtedy przyjechał na Wybrzeże?

– Wówczas wpadł na pomysł założenia kasyna w dużym stylu, sprzykrzyła mu się przenośna ruleta, montowana od przypadku do przypadku, w równie przypadkowych lokalach... potrzebował do tego ludzi.

– Zaproponował pani pracę?

– W lot ocenił, że z dna, na jakim byłam, jego propozycja wyda mi się olśniewająca. I tak istotnie było... nie miałam dokąd wracać. Do rodziców nie mogłam, już raczej wołałam śmierć. On natomiast dawał mi jakąś niezależność.

– Zaraz zabrał panią do Warszawy?

– Tak. Przyjęłam to z wdzięcznością, jak wyzwolenie... Naprawdę wołałam stać za barem niż w... portowej knajpie.

– Dlaczego również zabrał Opata?

– Jak już wspomniałam, potrzebował oddanych ludzi, a w sy-

tuacji Opatu projekt Bankiera likwidował wszystkie jego kłopoty, łącznie, ze mną. Zakrzewski dobrze wiedział, że współpraca z nim jest dla tego sutenera i drobnego kanciarza awansem i upragnioną stabilizacją. Opat, nie mniej niż ja, był wdzięczny Bankierowi. Zakrzewski natomiast zrobił dobry nabytek, ten brutal wyjątkowo nadawał się na starszego goryla.

– Bankier załatwił Opatowi stałe zameldowanie w Warszawie?

– Chyba tak! W szczegóły nie zostałam wtajemniczona.

– Pani też obiecał stałe zameldowanie?

– Nigdy tego nie dotrzymał. Słusznie uważał, że kiedyś otrząsnę się i zechcę wrócić do świata normalnych ludzi.

– Jak ułożyło się między panią a Opatem?

– Zakrzewski trzymał go krótko, a Opat... jemu nigdy na mnie nie zależało... wątpię, czy w ogóle był zdolny do ludzkich uczuć.

– Dlaczego Zakrzewski właśnie pani kazał firmować kasyno?

– To proste. W razie wpadki moje nazwisko trafiłoby na listę szulerów w milicyjnej kartotece. Wówczas im wystarczyłoby zmienić dzielnicę, aby mieć swobodę manewru.

– Za kogo uchodził Zakrzewski w kasynie?

– Za tego, kim był. Tylko z początku gracze brali mnie za szefową.

– Rajfel był stałym bywalcem?

– O tak! Nie wiem, czy rozumie pan istotę alkoholizmu? – podnosi na niego wypukłe oczy, przypominające dwa kawałki bardzo niebieskiej emalii. – Hazard jest podobny do alkoholizmu, tak samo wciąga, robi z człowieka takiego samego niewolnika, tak samo niszczy, pozbawia charakteru, ludzkich odruchów. Rajfel był hazardzistą!

– Wygrywał?

– Zdarzało się, ale on nigdy nie oszedł od zielonego sukna, dopóki miał chociaż złotówkę. W takiej sytuacji, rozumie pan? Odchodził od gry zawsze z płótnem w kieszeni. No, więc zadłużył się...

– Bankier pożyczał pieniądze graczom?

– Tak!... i to na wysoki procent. Często wyręczał się mną –

rumieniec barwi jej pobladłe policzki. – Niektórzy mieli mnie za lichwiarza, sądzili, że robię to na własną rękę. Skarżyli się Zakrzewskiemu, inni składali formalne donosy... etyczne zajęcie, nie ma co mówić... – sili się na ironię. – Nie robiłam tylko jednego... nie sugerowałam numerów lub innych kombinacji w rulecie... Nawet w stosunku do tych graczy, których nie znosiłam. Czasami, gdy było to możliwe, próbowałam ostrzec... ale to nie miało żadnego wpływu. Gracze są jak ćmy, lecą wprost w ogień... Nie mogłam robić tego zbyt często i nie z wszystkimi, bałam się Bankiera... Przepraszam! Nie przywieziono mnie tu po to, by wysłuchiwać, jaka jestem szlachetna...

– Rajfel dużo pożyczał?

– Ostatnio był winien w kasynie pięćset tysięcy. Dwieście firmowałam ja, dwieście był winien oficjalnie Opatowi i sto Zakrzewskiemu.

– Pożyczyli mu t a k ą sumę?! – major jest zdumiony. – Czy innym też pożyczano tak olbrzymie sumy?

– To zależało... zależało, jakie gwarancje dawał gracz.

– A Rajfel?

– Podobno miał dom i prywatny warsztat.

– Ależ jego dom razem z warsztatem nie jest tyle wart.

– On cieszył się pewnymi względami zarówno Bankiera, jak i Opata.

– Domyśla się pani powodów tych względów?

– Był namiętym graczem, hazardzistą! Takich bardzo ceniono i liczono się z nimi, oczywiście, dopóki mieli pokrycie.

– Czy nie było innych przyczyn, jakieś wspólne interesy?

– Nic mi o nich nie wiadomo.

– Proszę przypomnieć sobie dzień osiemnastego kwietnia...

– To było tak dawno...

– Osiemnastego kwietnia była s o b o t a! – przypomina major.

Z opowiadań innych świadków wie, że w soboty zawsze były gry. – Czy Rajfel był wówczas w kasynie, czy grał?... – To był dzień, w którym zginął samochód Ivo Moreno.

– W każdą sobotę były gry – potwierdza dziewczyna – i Rajfel powinien wtedy też być, na ogół nie opuszczał żadnej gry, chy-

ba że w ogóle nie miał pieniędzy, a Bankier wstrzymał pożyczki... Ale na pewno nie mogę sobie przypomnieć, czy wtedy był... Zaginięcie wozu pamiętam dokładnie. Moreno wrócił i szalał. Opat swoim zwyczajem groził mu, Bankier łagodził i skrzyczał Opatu. Wszyscy byli zdenerwowani, bali się, że przez tę kradzież może zdekonspirować się kasyno. Stało na tym, że Moreno nie zgłosił milicji o zaginięciu samochodu, a Bankier wypłacił mu odszkodowanie. Po tym kategorycznie zabroniono graczom parkować wozy nawet w pobliżu Błękitnej.

– Czy wówczas Opat był w kasynie przez całą noc?

– Gdy były gry, Opat nigdy nie opuszczał kasyna, najwyżej na tyle, aby sprawdzić Gorzeńca i żuli. Zawsze był, tylko co to teraz ma za znaczenie.

– Dziękuję pani – inspektor zamyka notes. – Proszę być dobrej myśli i niech nam już pani nie przepada... bo będzie nam musiała pani jeszcze spisać swoje zeznania. To formalność! – dodaje widząc nagły przestrah w jej twarzy.

Dziewczyna podnosi się z krzesła, żegna majora, ale odwraca się od drzwi i znów podnosi na niego te swoje olbrzymie oczy.

– Pan... zawiadomi Horwata?

– Dziewczyno! My nie zajmujemy się donosami. To wyłącznie pani sprawa, nawet Horwat nie może być w niej sędzią.

Następnego dnia rano biuro przepustek zawiadamia inspektora o przyjeździe Janiny Łopatkowej. Major schodzi na dół i przyjmuje od niej paczkę dla syna. Paczka jest owinięta w papier.

– Jak pan sprawdzi, to ją pan przewiąże – kobieta podaje mu motek szpagatu.

Inspektor kwituje w milczeniu odbiór paczki i żegna starszą panią. Natychmiast też zanosi pudełko z żywnością do laboratorium analitycznego; stawia je bardzo ostrożnie przed biegłym, lekarzem-toksykologiem.

– Tyfus albo żółtaczką zakaźną – wyjaśnia lakonicznie.

– Gdzie!!! – lekarz odsuwa się od pudełka z uniesionymi w górę rękami. – Nie wygłupiaj się – dodaje z niesmakiem.

– W smalcu – dodaje niewinnie major – ale oddzielnie. Co z ciebie za toksykolog, jeżeli boisz się byle wirusa?

– Tyfus, jak i żółtaczkę, to nie wirusy – z nawyku prostuje tamten. – Niech was diabli! Jeszcze jaką zarazę tu przywleciecie. – Lekarz ostrożnie zdejmując pokrywę ze słoika. Trzyma ją w dwóch palcach.

– Jak apetycznie pachnie! – major pociąga nosem. – Bardzo lubię taki domowy smalec. Topi się słoninę z boczkiem i koniecznie z podgardlem...

Lekarz nakłada łyżką odrobinę smalcu na szklaną płytkę i oddaje do zbadania laborantowi.

– Niepotrzebna ostrożność – major przerywa swój kulinarny wywód. – Ten smalec jest zupełnie niewinny, szukaj próbki z dżumą w środku.

– Ostrożności nigdy nie za wiele – biegły wygarnia smalec na emaliowaną tackę. – Ale jak z tym przepisem, to interesujące...

– ...Gdy już skwarki się zarumienią, dodaje się rajskie jabłuszka, czosnek, majeranek, i takie tam różne...

Lekarz wyjmując ze smalcu ampulkę o pojemności zero pięć centymetra sześciennego, do połowy wypełnioną bezbarwną cieczą. Naciąga gumowe rękawiczki, piłuje, a później odłamuje jej szklany stożek. Zawartość wylewa do menzurki.

– Możesz iść, trochę potrwa, zanim będą wyniki badań – za wiadoma Korosza.

– Teraz trzeba identyczną ampulkę, oczywiście bez bakterii, umieścić w tym smalcu.

Lekarz przekłada aromatyczną masę do szklanego, żaroodpornego naczynia, umieszcza je na elektrycznej płytce. Potem ciekły tłuszcz przelewa do słoika. Szuka w podręcznej apteczce fiolki, przypominającej tamtą – nie znajduje. Dzwoni do wydziału biologii.

– Przynieście próbkę o pojemności zero pięć centymetra z aqua destillata. – Laborant dostarcza szklany pojemniczek, do złudzenia przypominający tamten z groźnymi zarazkami. Doktor wrzuca go do przestudzonego tłuszczu.

– To już nikomu nie zaszkodzi – mówi. – A swoją drogą przecieki takich specyfików to rzecz niepokojąca!

– Nie martw się, wiem skąd – uspokaja go major. – Wstaw smalec do lodówki, jak zakrzepnie, daj znać.

Więzień z celi numer dziesięć, Antoni Łopatko, otrzymuje paczkę przy wieczornym apelu.

W nocy cela numer dziesięć podnosi alarm; dudnią głucho uderzenia w drzwi. Strażnik zagląda do więźnia i zaraz melduje profosowi.

– Nie symuluje, wygląda na ciężko chorego.

Profos znów budzi inspektora, a dopiero potem wzywa lekarza. Doktor idzie do celi, ogląda chorego i każe przenieść go do ambulatorium, bo pacjent twierdzi, że nie może iść.

Gdy major wchodzi do gabinetu lekarza, więzień okryty kocami leży nieruchomo, z bezwładnie wyciągniętymi wzdłuż ciała rękami. Jego pierś rozrywa spazmatyczny oddech, łapie powietrze szeroko rozwartymi ustami. Twarz ma rozpaloną niezdrowym rumieńcem, nienaturalnie błyszczące oczy. Doktor właśnie sprawdza temperaturę.

– Trzydzieści dziewięć, pięć – mruczy unosząc brwi i spogląda znad okularów na inspektora.

Major czuje, jak gardło zaciska mu skurcz strachu. Nic, tylko toksykolog pomylił próbówki. Inspektor czuje krople zimnego potu na czole.

– Teraz to już na pewno wywinę orła – jęczy Łopatko na widok zaniepokojonej twarzy majora. – Ratujcie mnie!

– Synu, nie tak prędko wywija się orła – mruczy lekarz, biorąc mu krew do badania. – Zaraz pojedziesz do szpitala – podaje próbówkę z rubinowym płynem laborantowi, wymienia łańciskie terminy.

Laborant odwozi natychmiast krew do analizy; inspektor pociąga lekarza do sąsiedniego pomieszczenia, starannie zamyka drzwi.

– Proszę się uspokoić – uśmiecha się lekarz. – To wirus hipochondricus. Siła sugestii. On jest pewien, że połknął bakterie, i ze strachu przed niewiadomymi skutkami choroby dostał silnej gorączki. Ale nawet największy lęk nie wywoła żółtaczki zakaźnej.

Opinię doktora potwierdza analiza krwi; ani śladu groźnych bakterii, ale dopiero teraz major czuje wyraźną ulgę.

Na prośbę Korosza lekarz wypisuje skierowanie do szpitala

zakaźnego, podkreśla w nim, że pacjent symuluje; poleca umieścić chorego w separacie.

Inspektor nie opuszcza swego podopiecznego ani na krok i sam odwozi go do szpitala. Poprzednio omówił już sprawę z ordynatorem i lekarz dyżurny kieruje pacjenta do przygotowanej izolatki.

Pozostaje pod dobrą opieką Ireny, która na tę okazję włożyła fartuch salowej, nie licząc milicjanta, czuwającego na korytarzu.

– Ale mnie nastraszył – zwierza się nazajutrz inspektor Lisowi.

Pułkownik jest zaintrygowany postępowaniem Czarnego Kciuka.

– Facet, ryzykujący uszkodzenie sobie na całe życie wątroby, bo przecież żółtaczka zakaźna pozostawia nieodwracalne ślady, musi mieć na sumieniu poważne przestępstwo... Może to rzeczywiście jeden z tych bandziorów z banku? Trzeba zabezpieczyć szpital, trzeba się liczyć z próbą ucieczki!

– Wstęp do zakaźnego szpitala ma tylko personel. Nie ma tam żadnych odwiedzin. Paczki i kwiaty pozostawia się w izbie przyjęć na dole – wyjaśnia major. – Bądź spokojny, zrobimy, co należy, ale co z tą nieszczęsną matką?

– Nie ma mowy o konsekwencjach! Przecież ona ukradła te bakterie niemal pod twoją opieką... Po zakończeniu sprawy ty, Andrzeju, musisz z nią porozmawiać. To wszystko... Biercie się do roboty! – Lis jest wyraźnie w złym humorze, nie znosi tego rodzaju kombinacji i godzi się na nie tylko w wyjątkowych okolicznościach.

– Stary jest wściekły i ma wypryski na sumieniu – Cieślik komentuje nastrój szefa, przezornie odczekawszy, aż ucihną na korytarzu kroki pułkownika.

– Wyjaśnij te historie, dotyczące Rajfla... – major podaje porucznikowi swoje notatki.

– Smoking, koszule – krzywi się rozczarowany Cieślik. – To takie ważne, czy miał smoking, czy nie? Przecież oczywiste, że po ucieczce nie paraduje w smokingu!

– Ważne – ucina major.

Inspektor wyjeżdża do miasta; na ulicy Nowogrodzkiej odwiedza pracownię znanego w Warszawie krawca. Przedstawia się, prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa jego klienta.

– Czytałem, czytałem... – mistrz kiwa głową, ma okolicznościowo smutną minę. – Tak... zaraz sprawdzę, oczywiście, mam jego miarę... Dość często sprawiał sobie garnitury... To był dobry, chociaż bardzo wybredny klient!

Grzebie w pergaminowych wykrojach, przegląda kartki, nadziane na metalowy szpikulec, wertuje kalendarz.

– O... jest – krawiec poprawia okulary – ostatnio szyłem mu dwa smokingi. Jeden letni, ze srebrnej lamy, drugi czarny, tradycyjny, z angielskiej krepy.

– To znaczy, że z pana pracowni miał dwa – upewnia się major.

– Trzy, proszę pana! Jeszcze jeden szyłem około roku temu, nie sądzę, aby go zdążył zniszczyć.

– Pozna pan swoją robotę?

– Nawet na drugiej półkuli i to po wielu latach – uśmiecha się rzemieślnik.

Major idzie na Chmielną, odwiedza renomowanego szewca; tu też pamiętają wybrednego klienta. Na przestrzeni roku, oprócz kilku par różnego obuwia, wykonano na jego zamówienie trzy pary wieczorowych bucików.

– Ze szwedzkiego, elastycznego lakieru – podkreśla siwy, dystygowany szef firmy; firma jest świetna, istnieje w Warszawie od przeszło stu lat.

– Lakierowana skóra?

– Tworzywo, ale bardzo trwałe i znakomitej jakości.

Inspektor zagląda również do pracowni, szyjącej koszule na miarę; zakład mieści się na Latawcu. Owszem, kilka miesięcy temu wykonano dwa tuziny koszul z najprzedniejszej jedwabnej popeliny, w tym dwanaście białych, ze sztywnymi gorsami.

Major odwiedza jeszcze wdowę, ona także szyła bieliznę dla Opata.

Wraca do komendy lekko oszołomiony, nigdy nie przypuszczał, że tyle może kosztować odzież nawet najbardziej eleganckiego mężczyzny.

– Dotychczas sądziłem, że jestem dobrze ubrany – mruczy do siebie.

W notatkach majora przybywają następująco uwagi: – Dlaczego Opat miał smoking z „Mody Polskiej”? W jego mieszkaniu był czarny i srebrny. Jednego smokinga, pochodzącego z pracowni krawca, brakuje. Pokazać krawcowi smokingi, może określi, z jakiego okresu pochodzą. Którego brak, szytego przed rokiem czy później?

Lakierki! Brakuje w domu jednej pary. Znalezione przy zwłokach pochodzą z komisju. Efektowne, ale jakoś kiepska, wykonane fabrycznie, standardowo. Gdzie się podziała para wieczorowych bucików, wykonanych ze szwedzkiego lakieru przez doskonałego rzemieślnika?

Chowa notatkę do teczki z roboczą dokumentacją, dotyczącą Opata. Namyśla się, marudzi; zapala papierosa i znów otwiera leżącą przed nim teczkę.

Przeogląda notatki wywiadowców, luźne zapiski, kopie protokółów, sekcje zwłok, oględzin kasyna, oględzin i rewizji w mieszkaniu, rejestr przedmiotów znalezionych przy zwłokach, szczegółowy wykaz garderoby, osobistych drobiazgów.

Dużą, szarą kopertę wypełniają dokumenty i papiery zmarłego. Major wyklada jej zawartość na biurko.

Wszystko jest starannie ponumerowane, załączony jest oddzielny spis zawierający krótką charakterystykę każdego dokumentu.

Inspektor z uśmiechem myśli o sekretarce Lisa, której zawdzięcza ten wzorowy porządek w materiałach sprawy. On sam jest znanym bałaganiarzem. Twierdzi wprawdzie, że najlepiej orientuje się we własnym nieporządku, jednak bardzo sobie ceni koleżeńską pomoc i systematyczność sekretarki szefa.

Przebiega oczami skorowidz. Zatrzymuje się na pozycji jedynastej:

ZAŚWIADCZENIE O WYPISANIU ZE SZPITALA.

Przerzuca kilka kartek spiętych razem i jeszcze raz odczytuje pożółkłe zaświadczenie.

Klinika uniwersytecka w Łodzi stwierdza w nim, że Opat był pacjentem oddziału chirurgicznego i został wypisany ze szpita-

la w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym.

Gdzie ten człowiek nie był? – medytuje inspektor; podnosi słuchawkę i prosi porucznika Cieślika.

Dowiaduje się, że szef wydziału służby wywiadowczej wyjechał z kolejnym raportem.

– Właśnie do pana, majorze!

Czekając na wywiadowcę, powtórnie wertuje teczkę Opatą. Jak zwykle, robi notatki na marginesach dokumentów.

Cieślik wpada z rumorem.

– Coś zupełnie nowego! – wola od progę. – Można powiedzieć, że moja służba dosłownie wysiedziała tę wiadomość... Przed chwilą do Zakrzewskiego dzwonił Nowy Jork.

– Była rozmowa?

– Oczywiście! – wydyma usta porucznik. – Mój chłopak przedstawił się jako człowiek upoważniony, mimo to niewiele się dowiedział! Może dlatego, że mój gadał po angielsku, a tamten jak cowboy z coltem na cobyłe!... ale wywiadowca zrozumiał tyle, że mister Archibald Carter zapowiedział swój przyjazd do Polski w połowie listopada... dokładnej daty nie podał. Prosił, aby przekazać jego zajawę mister Zakrzewskiemu. Obiecał, że zadzwoni już z Warszawy i wówczas poda nazwę hotelu, w którym raczy się zatrzymać. Mój podwładny chciał mu załatwić lokum, ale Carter powiedział: – well, od tego jest Orbis!

– Archibald Carter... – major kartkuje teczkę z dokumentami dotyczącymi zabójstwa Zakrzewskiego – a... to ten businessman, którego list znalazłem w papierach Bankiera... – jeszcze raz przebiega oczami tekst napisanej na maszynie korespondencji; kremowy welin nosi ozdobny drukowany nagłówek: Archibald Carter C. O. Company – New York, 5 Avenue 4879.

– A to ciekawe, trzeba będzie koniecznie porozmawiać z tym facetem.

– Czyżby tu chodziło o skrzypce tego grubego? – zastanawia się Cieślik. – Przecież ten Carter to marchand.

– Jakoś nie mogę uwierzyć, aby Zakrzewski był aż takim szalbierzem.

– Co, major dzisiejszy? Przecież to łobuzy – parska Cieślik. – A poza tym Moreno nie wykupił fantu w określonym terminie...

W takim świątku to wystarczający powód, aby stracić zastaw.

– Amator skrzypiec, powiadasz? – powtarza major i łączy się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

Informują go, że Archibald Carter otrzymał wizę przed kilkoma dniami.

– Sprawdzisz w PLO i w liniach lotniczych... – poleca major.

– I w ogóle dopilnujesz przyjazdu tego faceta.

– Wyraźnie powiedział, że zadzwoni do Zakrzewskiego, jak tylko będzie w Warszawie, więc sprawa jest jasna i szkoda czasu na takie szperanie – Cieślik broni się przed dodatkowym obciążeniem swojej służby.

– Nie mądrz się! – przerywa major. – Masz go prowadzić od granicy. Jeżeli jego interesy nie są zbyt klarowne, może się spłoszyć, gdy telefon przyjmie znów kto inny, a nie Zakrzewski, nie mówiąc już o tym, że z innych źródeł może się dowiedzieć o śmierci Bankiera. Skąd wiesz, jakie znajomości posiada tutaj ten Amerykanin?

– No, dobrze, dobrze. Zrobi się – z rezygnacją przy s taje Cieślik. – Na razie wszystko?

– Niezupełnie... wciąż oczekuję na uzupełnienie informacji, dotyczących Opata.

– Czego major chce? Kalisz sprawdzony, dzieciństwo przeciętne. Raczej trudno o związki przestępcze w tym okresie życia...

– Dalej! – niecierpliwi się Korosz.

– Szczecin, lata szczenięce, również nic istotnego. Do Warszawy wymeldowany z Gdańska. Stołeczna milicja nic o nim nie wie, klientem sądu też nie był. Koledzy – mówi o gdańskiej służbie X – coś niecoś wyjaśnili, ale na ogół potwierdza się to, co powiedziała o nim Wadera. Knajpy, dolce vita... Drobny kozaczek, nieciekawy playboy. Gorzej z identyfikacją jego środowiska. Wśród portowych, żuli trudno o konkrety na temat kogoś, kogo już tam nie ma od przeszło dwóch lat... Element trudny, płynny, nieprzenikliwy...

– Łódź? – przerywa major.

– Szukają! Major myśli, że to takie proste. Historia choroby sprzed sześciu lat porosła już kurzem w otchłaniach szpitalne-

go archiwum. Jak znajdą, przysła.

– Sam pojedziesz do Łodzi i przywieziesz tę historię choroby. Jeżeli tego dokumentu nie znajdą, odszukasz lekarza i wyciśniesz z niego wszystko na temat tego pacjenta.

– Czy również, kto go odwiedzał? – z przekąsem pyta porucznik.

– Nawet!

– Nie bądź śmieszny! – prycha porucznik. – Kto po sześciu latach będzie pamiętał takie szczegóły! I po co to komu? Ja mam zajmować się tym osobiście? Oszalałeś! Mam na rozkładzie przede wszystkim Rajfla i jego kontakty, Cartera, Łopatkę i jego rodzicielkę, i jeszcze coś ze trzydzieści osób, a ty mi każesz liczyć kapoty i odtwarzać historie chorób nieboszczyków? Zastanów się!

– Po pierwsze, smokingami nieboszczyka zajmowałem się sam, nie obciążając twojej cennej służby, natomiast o kapotach Rajfla nic od ciebie jeszcze nie usłyszałem!

– Nie ubierał się u renomowanych krawców, a o używanej przez niego seryjnej konfekcji trudno coś powiedzieć – odgryza się porucznik. – Ale po jaką cholere interesują cię smokingi Rajfla. Myślisz, że ukrywa się właśnie w smokingu! Toż to idiotyzm...

W dwa dni później major otrzymuje informację ze szpitala zakaźnego.

Antoni Łopatko jest zupełnie zdrow, jednak bardzo zręcznie symuluje chorobę, nie peszy go nawet brak zewnętrznych objawów żółtaczki.

Po południu Irena przynosi inspektorowi zaklejoną kopertę z grypsem, napisanym przez więźnia; koperta, podobnie jak i poprzednio, adresowana jest do matki. W środku jest druga koperta i adres; major czyta ukryty w niej gryps:

Zaciszcie, warsztat naprawczy samochodów, nazwisko...

Nul! – pisze Łopatko. – List odda ci moja matka. Jestem w zakaźnym. Mam możliwość ucieczki i to bez wielkiego ryzyka. Zawiadom szefa. W dniu... o godzinie... macie być wozem przy ulicy Wolskiej naprzeciw szpitalnego ogrodu. Uciekam oknem z pierwszego piętra. Zabierzcie cywilne ubranie i dobre doku-

menty. Drugi awaryjny termin ustaliam na dzień... Śpieszcie się.
Ż e b e r k o.

Tego samego dnia, zanim jeszcze gryps dociera do Janiny Łopatkowej, Cieślik zainteresował się właścicielem warsztatu z Zacisza.

Pośpiesznie zgromadzone wiadomości nie były rewelacyjne. Licencja na warsztat, podatki płaci regularnie, lat czterdzieści, żonaty, jedno dziecko: córka, lat szesnaście, uczy się w technikum w Bazanowie, mieszka na stacji. Ani komenda powiatowa w Bazanowie, ani komisariat w Zaciszu, nie orientują się, czy ten człowiek zna Rajfla. Nie mogą stwierdzić, czy ci dwaj spotkali się kiedykolwiek; Zacisze leży od Bazanowa w odległości pięćdziesięciu kilometrów.

Niebawem służba X informuje o wizycie Janiny Łopatkowej w Zaciszu, a zaraz potem o nieobecności mechanika w domu. Znikł przed kilkoma dniami. Warsztat jest zamknięty. Żona, która rozmawia ze zgłaszającymi się klientami, odpowiada niezmiennie: – Mąż wyjechał, po powrocie powiadomi!

Teraz inspektor poleca ścisłą izolację Antoniego Łopatki.

– Nie ma prawa otrzymać żadnej informacji z zewnątrz, dopóki nie wyjaśnimy, gdzie przebywa Nul – instruuje Irenę.

Zabiera Cieślika, gonią samochodem do Zacisza. Drzwi otwiera kobieta w nieokreślonym wieku. Przyjmuje ich na progu, zagradza pulchną sylwetką wejście do mieszkania.

– Gdzie mąż?

– A za interesami... pewno po części – kobieta odpowiada niechętnie.

– Ale dokąd?

– Pewnie do Warszawy, bo w Bazanowie to nic nie ma.

– Jak dawno wyjechał?

– Jak wróci, to powiadomi. On jest rzetelny i terminowy rzemieślnik – kobieta robi ruch, jakby chciała zamknąć drzwi.

– Chwileczkę – major przytrzymuje ją za ramię – nie niepokoi pani, że męża tak długo nie ma? Ludzie mówią, że nie ma go od pięciu dni!

– Trochę jestem niespokojna – przyznaje – ale to nie pierwsza...

Inspektor zastanawia się; decyzja jest ryzykowna, lecz jeszcze bardziej niebezpieczna jest zwłoka. Wzrokiem radzi się Cieśli-ka, tamten unosi tylko brwi.

– Służba kryminalna! – decyduje się major i podsuwa pod oczy kobiecie legitymację służbową.

– O! Już się i milicji dorobił! – histerycznie wykrzykuje ko-bieta niemal z satysfakcją. – Pewno znów jest u tej dziwki! – zanosí się suchym szlochem. – Tylko wstyd, przed ludźmi oczami świecę. Nie ma i nie ma, odpowiadam. Uczepiła się go taka młoda lafirynda, pieniądze i zdrowie z niego ciągnie. Ot, warsztat stoi, roboty nie wykończone, zła krew klientów zalewa, a on baluje! Wstyd i obraza boska, dorosłą córkę ma, łeb łysy, a we łbie... at, łajdaczy się, panowie!

– Wcale nie był u tej dziewczyny – wtrąca się Cieślik. O ile o innych sprawach mechanika niczego nie mógł się dowiedzieć, o tyle jego romans ze sklepową Geesu z pobliskiej wsi pasjonuje całą osadę. Każdy mieszkaniec informował o tym lokalnym skandalu chętnie, długo i wyczerpująco.

– To już nie mam pojęcia, gdzie się ten łajdak podziewa... – mówi bezradnie kobieta i dopiero teraz budzi się w niej niepokój. Co od jej męża może chcieć służba kryminalna? – Panowie z powiatu? – dopytuje się, coraz bardziej spłoszona, Na gest majora cofa się wreszcie i przepuszcza ich do mieszkania.

– Cieślik, wezwij paru ludzi, zaczekamy tu na niego – dodaje zniżając głos.

Porucznik wychodzi, a major wypytuje kobietę o zwyczaje męża, kolegów, klientów, znajomych z osady. Odpowiada lakonicznie, zapada w nieufne milczenie.

– W jakim ubraniu wyjechał mąż?

– Nie wiem. Nie było mnie w domu, pojechałam do siostry i do córki, uczy się w Bazanowie.

Major sprawdza ubrania mechanika; kobieta niechętnie wyjmuje z szafy porządnie zawieszona na ramiączkach odzienie i starannie rozkłada na tapczanie.

Wraca Cieślik i w milczeniu asystuje tej prezentacji garderoby.

– Wychodzi na to, że albo pojechał w kombinezonie, albo w

takim przyniszczonym garniturze. Ale żeby nie wziął nawet kurtki? – przenosi zdziwione spojrzenie z majora na wywiadowcę. – Nie wiem... ma jakiś taki prochowiec w warsztacie, ale i za lekki, i złachany...

– Proszę mi dać klucze od warsztatu – żąda major. Okazuje się, że klucze ma tylko mechanik.

– Proszę iść z nami – podnosi się Korosz.

Obchodzą podwórze, oglądają barak, zamknięty na solidną kłódkę i dwa patentowe zamki. Kobieta nie spuszcza z nich oczu.

– Uciekł? – Cieślik bada wzrokiem zachmurzoną twarz inspektora.

– Dawaj z wozu narzędzia – decyduje major.

Otwierają zamki, wyciągają skobel z drzwi; we wnętrzu uderza ich oczy niespotykany wręcz bałagan. Przewrócona blaszana rynna z zaschniętymi resztkami betonu, w kącie warsztatu nierówne, pofalowane klepisko, byle jak zarzucone zardzewiałym szmelcem i pokruszoną zaprawą. W kącie wala się brezentowa, spłowiała płachta.

Cieślik znalezionym na miejscu żelaznym drągiem uderza w tę nierówną polepę. Głuchemu odgłosowi uderzeń odpowiada przeraźliwy szcęk przezartego korozją metalu.

– Cienka warstwa cementu, a pod spodem dechy – opiniuje Cieślik. – Coś tu pośpiesznie i cholernie partacko zabetonowano.

– Kradzionego szukacie? – pochlipuje kobieta. – Dziwki mój lubi, ale złodziej nie jest... Pewno jakaś złośliwa gęba donos zrobiła.

– Pojedź na posterunek i ściągnij milicjantów – wyprawia Cieślika. Stanowczo odsuwa kobietę z tej części warsztatu.

– To ja sobie pójdę do domu, nie muszę tu sterczeć... Ta się nie boję.

– Nigdzie sama pani nie pójdzie – inspektor wskazuje jej zydel i każe usiąść.

Zanim Cieślik zjawia się w towarzystwie milicjantów, major z pasją atakuje twarde, nieustępliwy beton. Z trudem wydziobuje niewielkie kęsy. Robi mu się gorąco, zrzuca marynarkę i za-

wija rękawy. Już po chwili pieką go starte dłonie, a u nasady palców nabrzmiewają białe pęcherze.

– Dzień dobry! – wita go wchodzący kapral. – Nie siłą, a sposobem! – mówi dobrodusznie i zabiera majorowi żelazny łom. Inspektor nie upiera się, z ulgą chłodzi rozpalone ręce.

Milicjanci grzebią w narzędziach, rozrzuconych na warsztacie, wreszcie włączają elektryczne wiertło. Borują otwory. Później już bez trudu rozkruszają tworzywo.

Ukazują się luźno położone deski. Po ich usunięciu w polepie ziele głęboka jama. W rogu widnieje pancerna kasa, w półotwartych drzwiach tkwi skreślony ludzki kształt w granatowym, spłowiałym kombinezonie.

Obok zniekształconej, zbroczonej krwią głowy leży żelazne miesadło z resztkami zeschniętej zaprawy.

Rozlega się przeraźliwy krzyk; kobieta ślania się, jest bliska omdlenia. Kapral podtrzymuje ją, odciąga i usiłuje odprowadzić do domu. Kobieta wyrывa się, chce wrócić do baraku.

– Cieślík, wezwij warszawską brygadę dochodzeniową – inspektor odwraca oczy od makabrycznego widoku.

Wóz służby kryminalnej jest bez emblematów milicyjnych; nakłada drogi, omijając osadę, inspektor stara się, aby wiadomość o śmierci Nula jak najpóźniej rozeszła się wśród mieszkańców Zacisza.

Funkcjonariusze pracują wewnątrz zabudowań. Tylko jeden samochód należący do służby X tkwi w kącie podwórza, inne zamaskowano w pobliskim zagajniku.

Zanim zapadł wczesny zmierzch, w mieszkaniu mechanika zgromadziło się kilka osób. Jakaś sąsiadka, która zajrzała do jego żony, trzech mężczyzn z osady, którzy przyszedli dowiedzieć się o pozostawione do naprawy motocykle. Zatrzymano ich chwilowo w obawie, aby nie zdradzili akcji prowadzonej przez milicję.

Wieczorem znów rozlega się pukanie. Wywiadowca dyżurujący w sieni wpuszcza do ciemnego wnętrza jeszcze jednego człowieka i szybko zatrzaskuje drzwi, a jego kolega oświetla zdeorientowanego mężczyznę silną latarką elektryczną.

– Służba kryminalna – mówi cicho, sprawnie obszukując

przybysza. Potem wprowadza go do pokoju. Mężczyzna, oszłamiony, mruga oczami, przyglądając się zgromadzonym ludziom.

– Prosimy do towarzystwa, doktorze! – odzywa się ktoś z kąta.

Mija pierwsze zaskoczenie i lekarz czerwienieje z wściekłości: – Co to za praktyki, panowie?! – przenosi oburzone spojrzenie od jednej twarzy do drugiej.

– Bardzo mi przykro, doktorze – major oddaje mu dokumenty – ale musi pan z nami chwilowo pozostać.

Krewki lekarz wpada w furję, inspektor stara się złagodzić pierwszy impet, aby z nim rozsądnie porozmawiać. Pozostali ludzie ze złośliwą satysfakcją śledzą te usiłowania.

– Kolacja! – Cieślik wnosi tacę pełną chleba i pokrojonej kiełbasy. Żona Nula, blada, z opuchniętymi oczami, stawia na stole parujący dzbanek i kubki.

Lekarz jest tak zdziwiony nowym wcieleniem faceta, który go przed chwilą obszukiwał, że urywa w pół słowa. Major korzysta z tej pauzy i pociąga go do sąsiedniego, wąskiego jak kiszka pokoju. Nie ma w nim krzesel, stoi tylko wielkie, podwójno łożo, okryte koronkową kapą. Korosz odrzuca brzeg pościeli, gestem zaprasza lekarza, aby usiadł, i zwięźle informuje go o morderstwie.

– Potworne! – lekarz nie może zrozumieć motywów tej zbrodni. – To był bardzo spokojny człowiek... Rabunek? Spodziewa się pan, że morderca może tu jeszcze przyjść?

– Może jego współnicy, to nie jest wykluczone... – powściągliwie wyjaśnia inspektor. Nie może przecież powiedzieć, że ofiarą padł najprawdopodobniej skarbnik gangu.

– Mówi pan... pięć dni temu? – namyśla się doktor. – Zaraz, wieczorem, w ubiegły piątek – zagina palce u ręki – tak, to by się zgadzało! Pięć dni temu byłem tu w pobliżu u pacjenta. Nawet chciałem wstąpić do warsztatu, dowiedzieć się, czy już znalazł dla mnie opony. Protektory w moim wozie są już zupełnie łyse... Zrezygnowałem, bo w warsztacie było ciemno, w mieszkaniu też się nie świeciło. Pomyślałem: śpi, wstąpię innym razem. Miałem czas dopiero dzisiaj, no i w p a d ł e m!... Gdy je-

chałem do niego, minął mnie jakiś samochód, nie zwróciłbym na niego uwagi, ale dał szosowe światła i mnie oślepił. Szlag mnie trafił, więc posunąłem mu moje, a są silne! Nie powiem, przełączył natychmiast na postojowe, ale ja swoich nie wyłączyłem. Pomyślałem sobie: naucz się, łobuzie!... To był nowy, kremowy „Fiat”. O ile się znam na rzeczy, oryginalny, włoski. Nikt w naszej okolicy nie ma takiego wozu.

Major notuje godzinę spotkania, doktor określa miejsce – data jest niewątpliwa.

Późnym wieczorem inspektor zwalnia mieszkańców Zacisza po zobowiązaniu ich do zachowania dyskrecji.

Dopiero nocą, również ze względu na konspirację, zwłoki zabiera ambulans medycyny sądowej, po czym major z brygadą kryminalną wraca do Warszawy. Cieślik zaś z dwoma wywiadowcami pozostaje w dalszym ciągu w domu Nula.

W drugim dniu zasadzki zjawia się Janina Łopatkowa. Porucznik nie widzi innej możliwości, jak tylko zatrzymać starszą panią.

Telefonicznie melduje o tym majorowi i ocenia, że dalsze utrzymywanie zasadzki traci już sens.

Inspektor każe mu jednak pozostać w Zaciszu jeszcze jedną dobę.

W trzecim dniu, tuż przed odjazdem wywiadowców, pojawia się potężnie zbudowany mężczyzna. Gdy w sieni oślepia go błysk latarki, a dwóch ludzi ujmuje go za ręce, wrywa się i na oślepa rozdziela ciosy zwiniętymi pięściami.

Jeden z wywiadowców wali się na podłogę, drugi robi unik, ale przybysz dopada już klamki. Nadbiega Cieślik, łapie go za bary, odciąga od drzwi i zadaje krótki, szybki cios. Mężczyzna zgina się wpół, jakby składał głęboki ukłon – szczęk kajdanków i olbrzym jest nieszkodliwy.

Rewizja osobista, dokumenty – osiłek okazuje się mieszkańcem warszawskiej Woli. Po co tu przyjechał? – do kolegi. Dlaczego uciekał, dlaczego bił? – sądził, że to napad. Przecież gdy tylko wszedł, usłyszał: – służba kryminalna! – Nie słyszał! Od dzieciństwa ma uszkodzony bębenek po zapaleniu środkowego ucha. Zdenerwował się, myśląc, że to bandyci.

Cieślik bez słowa prowadzi go do warsztatu, tuż nad zrub obudowanej polnym kamieniem skrytki. W głębi zieje pustym wnętrzem przedpotopowy, żaroodporny sejf.

– Nie liczył się z tobą! – kpi porucznik. – Zrobiłeś swoje, zarobiłeś kryminal i adiu, Fruziu! Wiesz, gdzie oni cię mają?

– Nul wsypał! – zachłystuje się nagłym krzykiem osilek.

– Nul nic nie powiedział i nic już nie powie... znaleźliśmy go w tej szafie martwego – Cieślik odciąga go znad jamy.

Gdy w zakładzie medycyny sądowej pokazują siłaczowi zmasakrowane zwłoki Nula, załamuje się zupełnie i przyznaje do udziału w napadzie na bank.

Tak! Przeczytał w gazecie list gończy za szefem, więc zaniepokojony, wbrew instrukcji tego ostatniego, pojechał do Nula. Rozumował, że strażnik łupu niewątpliwie będzie miał wiadomość o Rajflu. Nie wierzył, że szef zamordował dwóch ludzi. Tę wzmiankę uważał za podstęp milicji, która trafiła na ślad gangu i w ten sposób zakamuflowała przyczynę, dla której poszukuje Rajfla.

Bank rabowali we trzech. Nie, nikt inny im nie pomógł, więcej współników nie było.

Jego udział w napadzie był bardzo ograniczony... Ludzi z fotografii – major podsuwa mu zdjęcie Antoniego Łopatki, Zakrzewskiego, Opata – nigdy nie widział.

– Pseudonim Żeberko? – nigdy o takim nie słyszał. – Nie, on sam nie miał żadnego przezwiska. Tamtego nazywali Nul, ponieważ był łysy. Miał głowę gołą jak zero, stąd ten Nul. Rajfel nie ma przezwiska. Po prostu szef.

Janina Łopatkowa, natychmiast po powrocie do Warszawy, zawiadamia wciąż jeszcze przebywającego w szpitalu syna: – Mechanik zamordowany. Milicja trzymała mnie w jego mieszkaniu przez dwa dni. W coś ty się wplątał, synku? Co robić?

Po otrzymaniu tej wiadomości Łopatko z trudem panuje nad sobą, z trudem wytrzymuje na szpitalnym łóżku, ogarnia go panika. Zaraz też przesyła do matki kolejną kartkę. Tym razem adresat jest warszawski, żądanie identyczne jak to, które uprzednio przesłał do Nula. Już tylko nie wspomina o szefie. Zakończenie grypsu jest dramatyczne:

...Żaczek, nie jedź do Nula – zabity! Ostrzeż Pata! W tobie ostatnia moja nadzieja, jeśli mi nie pomożesz, zginę!

Apel pozostaje bez odzewu. Ten gryps nie dociera do adresata. Przyniesiony przez Irenę pozostał w aktach sprawy. Natomiast Antoni Łopatko vel Żeberko zostaje wypisany ze szpitala i znów przewieziony do aresztu.

Major konfrontuje go z kolegami: silnym, lecz mało rozgarniętym Patem, zatrzymanym przez Cieślaka w domu Nula, i żywym, sprytnym Żaczkiem.

Inspektor celowo nie ukrywa przed nimi, że w sejfie, nie znaleziono żadnych pieniędzy.

– Tylko ciało Nula i strzępy bankowych banderoli – pokazuje skrzętnie zabezpieczone przezroczystą folią poszarpane paski, ze stemplami bazanowskiego banku.

Godzinami ciągną się przesłuchania, nużące, monotonne. Powoli wyłania się z nich obraz przygotowań do włamania, długo korygowany i ulepszany plan. Czynności poprzedzające jego realizację.

Czterokrotnie odkładano termin napadu. Jednak za każdym razem miała to być sobota. Po raz pierwszy, ponieważ w piątek nie przyjechał ambulans ze świeżym zapasem gotówki. Doszli do wniosku, że zbyt mało może jej być w bankowych sejfach.

– Szef chciał zrobić taki skok, żeby było na całe życie – wyjaśnia Żaczek.

Drugi raz odłożono realizację planu, bo gotówkę przywieziono właśnie w sobotę i szef doszedł do wniosku, że będą tylko nowe banknoty z określonych serii i znanej numeracji.

– Przecież i tak tego nie uniknęliście – wtrąca major. – W starych banknotach wzięliście zaledwie ponad osiemset tysięcy.

– Tego nikt nie przewidział – ze smutkiem przyznaje Żaczek.
– Tym razem wydawało się, że już wszystko gra.

Trzeci raz odłożyli włamanie, ponieważ zastępca dyrektora nie wyjechał na niedzielę do Warszawy. Powiodła się dopiero czwarta próba.

Rozeznanie pomieszczeń bankowych, dopasowanie kluczy, rozpoznanie urządzeń alarmowych i systemu zabezpieczeń, zaskoczenie strażnika, rodzaj potrzebnych narzędzi – wszystko to

obmyślił i zaplanował sam szef.

Również on dobrał ludzi. Żeberko, Pat i Żaczek nie znali się poprzednio. Poznali się przez, szefa, gdy każdy, oddzielnie przystał na propozycję wzięcia udziału w rabunku. Nawet pseudonimy nadał im szef. A Nula poznali dopiero, gdy pierwszy termin napadu został odłożony. Wiedzą, że bardzo niechętnie przystał do szajki. Szef musiał go gorąco namawiać. Potrzebna była skrytka, którą urządzono w jego warsztacie. Oczywiście znali jego nazwisko i adres, u niego przecież ukryto łup.

Klucz do sejfu i znak rozpoznawczy posiadał szef. Znak był ustalony po to, aby w razie nieprzewidzianych okoliczności Rajfel mógł wysłać po pieniądze nawet nieznanego pozostałym człowieka.

Tak, wszyscy wiedzieli od początku o istnieniu jeszcze jednego współnika, ale widział go tylko raz jeden Żaczek. Wówczas, gdy wieczorem osiemnastego kwietnia przyjechał, aby wziąć samochód, zaparkowany w pobliżu Błękitnej. Inni współnicy przybyli na umówione miejsce oddzielnie.

– Rozpozna go pan? – inspektor podsuwa mu, umieszczoną wśród wielu zdjęć, fotografię Opata i Zakrzewskiego.

– Chyba to ten... – Żaczek z wahaniem wskazuje na Opata. – Widziałem go tylko raz – podkreśla. – O umówionej godzinie, tę godzinę podał mi Rajfel, ten mężczyzna spacerował przed domem numer osiemnaście. Wymieniłem hasło, też podane przez Rajfla. Wtedy ten człowiek podał mi kluczyki od wozu i wskazał, który. Powtórzył to, co powiedział mi już Rajfel: – Samochód ma być dokładnie w tym samym miejscu nie później niż przed godziną szóstą rano! I jeszcze dodał: – Dobrze pilnuj, aby w nim nic nie zostało!

– Zostało! Ślady wapna na protektorach – stwierdza major.

– Czas nam się skurczył – wyjaśnia w dalszym ciągu Żaczek. – Zbyt długo szukaliśmy zużytych banknotów... Wśród takiego bogactwa – z westchnieniem wspomina skarbiec banku – człowiek głupieje... robi się pazerny, nienasycony, jak ogarnięty amokiem, chce mieć wszystko... A ja musiałem jeszcze wyrzucić narzędzia i jak nawałiła mi w wozie instalacja, byłem zbyt zderwowany i zmęczony, aby ją naprawić. Zresztą już nie mia-

łem minuty czasu, dochodziła szóstka! I tak bym nie zdążył, nic innego nie pozostawało, tylko porzucić karetę tam, gdzie się ze-psuła...

Antoni Łopatko vel Żeberko, mimo konfrontacji z kolegami, długo odmawia wszelkich wyjaśnień. Zaczyna mówić dopiero wówczas, gdy major zapoznaje go z protokołami zeznań współników. Podobnie jak oni, usiłuje do minimum sprowadzić swój udział w napadzie. Nie może jednak zaprzeczyć faktom; to on skradł podnośniki marki Varsep z bazy naprawczej taboru samochodowego spółdzielni „Solidność”. Nie może również zaprzeczyć, że to on przygotował do napadu pistolet Walter.

– Rewolwer malował pan u Rajfla? – pyta major.

– Nie. Malowałem u siebie w domu.

– Zaraz po zdobyciu lewarów zwolnił się pan z pracy w bazie?

Łopatko potwierdza.

Gdzie się spotykali opracowując plan napadu? – U Pata. Osielek mieszka samotnie na dalekiej Woli. W Bazanowie każdy z nich, i to oddzielnie, był tylko jeden raz. Wówczas, udając interesantów, zapoznawali się z rozkładem bankowych pomieszczeń. Nie, w czasie tych oględzin szef im nie towarzyszył. Napad był starannie opracowany, przygotowania trwały ponad sześć miesięcy.

Jedynie sprawa znaku rozpoznawczego ciągle jeszcze nie jest dla majora jasna.

Każdy z nich – oczywiście inspektor, rozmawia z nimi oddzielnie – tak samo określa, a później rozpoznaje połowę etykiety od wina, znalezioną u Nula.

– Drugą połowę ma morderca – informuje ich major. – Czy znakiem był również pierścień? Czerwony kamień, oprawny w masywne złoto.

Zaprzeczają. Żaden z nich nie słyszał ani nie widział takiego pierścienia.

– Jak wyglądały ręce Rajfla, jakie miał ręce?

To pytanie majora u każdego z nich budzi zdumienie. Nie rozumieją, po co je zadaje, więc budzi nieufność, dopatrują się podstępny ze strony oficera śledczego. Boją się, by odpowiedź nie pogorszyła ich sytuacji.

Niechętnie, monosylabami, opisują te ręce; zwyczajne, zniszczone smarami, spracowane od narzędzi. Jak ręce człowieka, nawykłego do fizycznej pracy.

Poza Zaczkiem dwaj pozostali nie rozpoznają Opata. Przejęci są zgrozą i nienawiścią do Rajfla. Są przekonani, że szef zabił dwóch współników, ukradł wspólny łup i pozostawił ich na pastwę losu. Z tego, co mówią, wynika, że żaden z nich nie był w willi na Błękitnej i nie zna przeznaczenia tego domu. Żaden też nie rozpoznaje zdjęcia Bankiera.

Major konfrontuje ich z Ivo Moreno, kierownikiem komisji i innymi graczami, zidentyfikowanymi, przez służbę X. Na końcu prezentuje ich Reginie Wrzos.

Nikt z bywalców kasyna, nie rozpoznaje tych trzech mężczyzn, oni również nie znają graczy. Jedynie Pat przyznaje, że gdy jedyny raz, przed napadem, był u Rajfla, to widział w warsztacie grubego muzyka. Rajfel reperował mu wóz.

Regina Wrzos również nie rozpoznaje nikogo z tej trójki.

– Nikt z nich nigdy nie był w kasynie – zapewnia majora. – To znaczy, dopóki tam byłam.

Inspektor kompletuje dokumenty dotyczące zabójstwa Nula; sekcja zwłok stwierdziła, że zamordowany został około pięciu dni przed znalezieniem ciała. Biorąc pod uwagę spostrzeżenia doktora z Zacisza, kremowy „Fiat”, jak dotychczas, jest jedynym i do tego bardzo nikłym śladem. – Szóstego października zamordowano Bankiera – porządkuje fakty w rozmowie z pułkownikiem Lisem. – W kilka godzin później drugie morderstwo w kasynie... Następnego dnia wieczorem znalazłem umowę i trafiłem na adres przy Błękitnej. Poszukiwanie dziewczyny opóźniło odkrycie tego drugiego morderstwa do dnia ósmego października. Dopiero dziesiątego trafiamy na Rajfla i tego samego dnia znajdujemy jego wóz... Biorąc za punkt wyjścia zeznania doktora i opinię medycyny sądowej, zabójstwo Nula zostało dokonane siódmego października wieczorem... Może tym kremowym „Fiatem” jechał morderca, ale równie dobrze mógł to być przypadkowy samochód...

– Trzeba jednak –sprawdzić, odszukać ten wóz – radzi Lis. – Mimo że tak niewiele o nim wiemy... Niech Cieślik sprawdzi

przede wszystkim w wydziale komunikacji miasta i województwa. Szczególną uwagę należy zwrócić na wszystkie świeże przerejestrowania wozów tej marki, dokonane na przestrzeni ostatnich dni, poczynając, powiedzmy, od piątego października...

– Jeśli nawet on przerejestrował samochód, to przecież nie na swoje nazwisko – wzrusza ramionami major.

– Może tak, ale w tej chwili to jedyny ślad! Warto również sprawdzić wszystkie zgłoszenia dotyczące kradzieży samochodów tego typu, a także przejrzeć oferty w prasie, dotyczące kupna-sprzedaży wozów w okresie poprzedzającym siódmy października.

– Wydaje mi się, że ten wóz pojawił się dopiero po zamordowaniu Bankiera i Opata, a przed zabójstwem Nula... – namyśla się inspektor. – Raczej został kupiony. Sprawca pojechał nim, aby zabrać łup i ukryć go gdzie indziej... W takim wypadku mało kto zdecyduje się transportować tak cenny ładunek kradzionym samochodem. To byłoby zbyt ryzykowne. On kupił nowy wóz! To by nawet pasowało... Miał pieniądze złupione w kasynie, dobre, nie budzące podejrzeń. Ile mógł ich mieć? Ile kosztuje nowy „Fiat”? Dwieście pięćdziesiąt, trzysta tysięcy?

– W tej chwili te rozważania są najmniej istotne – przerywa Lis.

– A właśnie, że istotne – upiera się major. – Jeśli wydał te pieniądze na wóz, na lewe dokumenty, na zainstalowanie się gdzieś w bezpiecznym miejscu... może przygotowuje ucieczkę za granicę? Więc mógł wyplukać się z forsy, bankowych wydać nie może, to co mu pozostaje?... Skrzypce, skrzypce Amatięgo!

– Nie jest pewne, czy on je ma.

– W tej przekłętej sprawie nic nie jest pewne – potrząsa głową major. – Ale zakładam, że je ma. Wydają mu się względnie bezpiecznym źródłem świeżego dopływu niemałej gotówki... Może je zechce sprzedać?... Mogę dać ogłoszenie w prasie, i nie tylko stołecznej: Kupię skrzypce. No nic, nasi specjaliści będą wiedzieli, jak to powinien sformułować fachowiec. Co o tym myślisz?

– Można – zgadza się Lis. – Nie sądzę, aby dał się na to zła-

pać, ale zaszkodzić to nie może... Jednak pomyśl również, że on może, ewentualnie jednorazowo, puścić w obieg bankowe pieniądze. Jak myślisz, komu w takich warunkach może je oferować?

– Komuś, kto nie wie o rabunku w bazanowskim banku – odpowiada major. – Czyli teoretycznie nikomu! W całym kraju było o tym głośno. Większa suma wzbudzi w każdym uzasadnioną nieufność.

– Pozostają cudzoziemcy – podkreśla Lis.

– Myślisz o mister Archibaldzie Carterze? – domyśla się major.

– Myślę o cudzoziemcach w ogóle, najmniej o Carterze, ponieważ sprawca, nawet jeśli coś słyszał o tym Amerykaninie, będzie stronił od znajomych Bankiera.

Już następnego dnia w dziennikach ukazują się ogłoszenia:

Muzyk poszukuje skrzypiec wysokiej klasy. Warunki do omówienia.

Poważne oferty kierować...

Tymczasem wywiadowcy Cieślika bez wytchnienia sprawdzają autorów ogłoszeń o sprzedaży samochodów.

Jeszcze nie uporano się z tym zadaniem, a już trzeba było zająć się ofertami, które wpłynęły na anons w sprawie kupna skrzypiec; w samej Warszawie zebrało się ich przeszło trzydzieści.

Sprawdzono wszystkie, lecz u nikogo nie natrafiono na ślad arcydzieła mistrza z Cremony.

– Niewypał! – stwierdza inspektor, zapoznawszy się z raportem Cieślika. Jego zły nastrój poprawiła dopiero wiadomość o natrafieniu przez służbę X na warsztat Ignacego Kolasińskiego i transakcji dokonanej rankiem w dniu siódmego października.

Kolasiński zostaje zaproszony na Puławską. Wezwanie doręcza mu milicjant w mundurze i od razu zabiera go służbowym wozem do komendy.

Ten niecodzienny tryb postępowania robi na pośredniku mocne wrażenie. Podczas rozmowy z majorem zasłania się, jak tarczą, umową kupna, zawartą przez siebie w imieniu klienta z nabywcą kremowego „Fiata”.

– Jeden egzemplarz wziął kupiec, drugi poprzedni właściciel, a trzeci pozostawiłem u siebie. Zawsze tak robię – zapewnia.

Major nie zwraca uwagi na nieformalność takiej sprzedaży, dobrze zna te niemal nagminne praktyki. Interesuje go wyłącznie człowiek, który kupił kremowego „Fiata”.

Kolasiński domyśla się wreszcie, że tu chodzi o coś więcej niż niezgodną z prawem transakcję, rozumie także, że ten major nie będzie zajmował się jego skromną osobą, więc pozbywa się lęku, szczęśliwy, że mu się upiekło, odpowiada usłużnie i wy-czerpująco.

Jego informacje są konkretne; podaje numer rejestracyjny samochodu i nazwisko człowieka, na które wystawiona jest książka wozu.

Zanim jeszcze Kolasiński opuszcza gmach komendy, już dalekopisy, radiostacje i telefony specjalne przekazują do wszystkich jednostek milicji w kraju i placówek WOP telegram pości-gowy:

Groźny przestępca zbiegł samochodem marki „Fiat”, numer rejestracyjny... legitymuje się dokumentami na nazwisko... ry-sopis... Podczas zatrzymania zachować wszelkie środki ostroż-ności! Podpisał: szef służby kryminalnej, pułkownik Henryk Lis.

Od tej chwili przed kremowym „Fiatem” zamykają się wszyst-kie drogi.

Tymczasem w łódzkiej klinice odnaleziono historię choroby Adama Opata. Meldunek w tej sprawie odbiera Cieślik od kie-rownika tajnej służby w Łodzi.

Porannym ekspresem wyjeżdża z materiałami kurier, zaraz po ósmej melduje się u porucznika, który po zapoznaniu się z dokumentami bezzwłocznie informuje majora. Podaje mu kar-tonową, zniszczoną teczkę.

– W Łodzi ten facet – mówi wywiadowca o Opacie – przeby-wał coś około dwóch lat i dopiero stamtąd wystartował na Wy-brzeże... Oczywiście nie hańbił się jakąś tam pracą. Mieszkał u damy prawie dwa razy starszej od niego. Kobieta do dziś pro-wadzi warsztat z wyrobami plastikowymi. Podobno wyłudził od niej znaczną sumę, a potem dopiero rozstał się z nią na za-

wsze. Kobieta jest powściągliwa, niewiele na ten temat dało się od niej uzyskać.

– Koledzy, znajomi?

– Bywalec łódzkiej „Grandki”... – Cieślik bezradnie rozkłada ręce. – Wszystko to działo się osiem lat temu... pamięć o nim bardzo zbladła.

Major powściąga niezadowolenie. Przerzuca skąpą zawartość postrzępionej, wyblakłej teczki. Zatrzymuje się na zaświadczeniu wydanym w klinicznym szpitalu w Łodzi przez wydział chirurgii urazowej... Jakieś łacińskie terminy, więc inspektor sięga po encyklopedię medyczną.

– Zamięcie czaszki – spogląda na Cieślika.

– Mówiąc niefachowo, dziura w globusie – wydyma usta porucznik. – Wskutek takiego drobiazgu niejeden wywinął orła. Mocną miał głowę... – milknie na wspomnienie zniekształconej twarzy tamtego, tak jak ją zobaczył w kasynie na Błękitnej.

– Ten rodzaj obrażenia powstaje zazwyczaj po uderzeniu twardym narzędziem – Korosz natarczywie przygląda się porucznikowi.

– Zdarza się również z przyczyn mechanicznych – uzupełnia Cieślik.

– Szpital powiadomił milicję – inspektor uderza dłonią w otwartą teczkę – wyraźnie tu piszą. Czy przynajmniej masz informację o wynikach dochodzenia?

– Umorzono s p r a w ę – ostentacyjnie stwierdza Cieślik. – Faceta znaleźli nad ranem przechodnie. Natomiast nie znalazł się ani jeden świadek. Pacjent, gdy chirurdzy ściągnęli go z zaświatów, nic nie umiał albo nie chciał powiedzieć. Więc co miała zrobić milicja?

Major rzuca bezosobowo jakieś dosadne określenie i sięga po akta dotyczące śmierci Opata. Zagląda do protokołu sekcji zwłok.

– Dlaczego tu nic o tym nie ma? Przecież po takim uszkodzeniu czaszki musiał pozostać widoczny, przynajmniej dla biegłego, ślad!

– Przecież on miał zmasakrowaną głowę – usprawiedliwia biegłych wywiadowca.

Jednak inspektora nie przestaje nurtować wątpliwość.

Po południu decyduje się na spotkanie z lekarzem, który przeprowadzał sekcję. Kładzie przed nim historię choroby Opatata, otrzymaną z łódzkiej kliniki, potem konfrontuje ją z protokołem sekcji zwłok.

Doktor uważnie przegląda dokumenty, nie wydają się jednak speszony.

– Zwłoki, na których robiłem sekcję, nie miały takiej blizny – stwierdza kategorycznie.

– Co to znaczy, nie miały? – denerwuje się Korosz. – Czy takie obrażenia po upływie lat nie zostawiają śladu?

– Taka rana pozostawia trwały ślad na całe życie – podkreśla lekarz. – Kość została nadbudowana platynową płytką.

– A więc tak był zmasakrowany, że nie zauważyłeś tej metalowej płytki?

Lekarz jeszcze raz pochyla się nad wydanym przez siebie orzeczeniem z autopsji i odczytuje je głośno:

– ...twarz zmasakrowana twardym narzędziem. Promieniste pęknięcia czaszki. Znaczne ubytki mózgu i tkanki kostnej w partiach czołowych... – odsuwa protokół i znów odczytuje historię choroby.

– Nie, nie było tam śladów po urazie ani nadsztukowanej platyną kości!

– Jesteś pewien, że nie ma tu niedopatrzienia? Może ta płytka wydała ci się kawałkiem kości?

– Człowieku! Jestem lekarzem sądowym... – wzrusza ramionami – a nawet student odróżni kość od metalu

– Ale to jest pewne, że ten człowiek przeżył taką operację!

– Widocznie inny człowiek był operowany w łódzkiej klinice osiem lat temu – odpowiada lekarz. – Inaczej nie da się tego wytłumaczyć.

Inspektor wraca do siebie. Znowu wertuje notatki; na tym застаje go pułkownik Lis. Inspektor nie pokazał się u niego od rana, a to odbiega od przyjętego obyczaju.

– Nad czym tak medytujesz? – zagląda do rozłożonych protokołów i notatek z czerwonymi krechami podkreśleń.

– Nad tym, kto był operowany osiem lat temu w łódzkiej kli-

nice...

– Mów po ludzku, nie rebusami! – Lis przysuwa sobie krzesło.

– Adam Opat, lat trzydzieści pięć, bez znaków szczególnych...

– recytuje major. – Facet, ubierający się u renomowanych rzemieślników, tak wybredny w sprawach ubrania, że nawet koszule zamawiał sobie na miarę w prywatnym zakładzie bielizniarskim...

– Słyszałem – ogania się dłonią Lis. – Ręcznie dziergane dziurki! Więc co z tego?

– Tak, ręcznie haftowane dziurki – podkreśla major. – Kilka miesięcy temu li tylko wieczorowych koszul odebrał z owego zakładu równo tuzin! Na przestrzeni roku uszył sobie trzy smokingi; w tym samym czasie stara, świetna firma szewska wykonała na jego zamówienie trzy pary wieczorowych bucików ze szwedzkiego lakieru. Trzeba ci wiedzieć, że na wyściółce, wewnątrz obuwia, ten rzemieślnik daje wytłoczony adres firmy... Otóż w mieszkaniu Opata brakowało: j e d n e g o smokingu i p a r y lakierków! Po odebraniu koszul z pralni nie doliczyłem się j e d n e j gorsowej koszuli. Brakuje również rudego kożucha. Świadkowie twierdzą, że Opat miał taki kożuch. W takim kożuchu przyszedł do pośrednika klient, który kupił w dniu siódmego października kremowego „Fiata”...

– Takie kożuchy nosi pół Warszawy – wtrąca Lis.

– ...Opat nigdy nie miał predylekcji do pracy, a już z całą pewnością nie do ciężkiej. Nie ulega wątpliwości, że przez ostatni rok fizycznie nie pracował. Miał ręce nie zniszczone, wypiełgnowane... Do tego jeszcze ten charakterystyczny znak...

– Pierścień z krwawnikiem? – Lis jest sceptyczny.

– Zamięcie czaszki, sztukowane osiem lat temu w łódzkiej klinice płytką z platyny! Czytaj! – inspektor podsuwa mu dokumenty, wygrzebane w Łodzi, i protokół sekcji zwłok. Czekaj chwilę, zanim pułkownik przejrzy je dokładnie.

– ...Ubranie znalezione w kasynie – podejmuje major – to smoking uszyty z wełnianej krepy przez „Modę Polską”, koszula z popeliny firmy „Wólczanka”, również lakierki, efektowne

na oko, ale tandetne, seryjne. Jakościowo kiepski produkt jakiejś angielskiej fabryki... Człowiek zamordowany w kasynie miał wprawdzie porządnie doszorowane paznokcie, ale jego ręce? To dłonie człowieka pracującego fizycznie. Następna cecha: u nasady szyi świeże bruzdy, najprawdopodobniej po pazurach kota... Wyjaśniliśmy sobie, że w dniu zabójstwa bankiera Opat u niego nie był, a więc nie mógł go ten pers podrapać. No i teraz to najważniejsze! Autopsja nie wykryła u mężczyzny zamordowanego na Błękitnej jakiegokolwiek znaku po urazie, żadnego śladu platynowej płytki! Na podstawie tych faktów twierdzą, że to nie Adam Opat został zamordowany na Błękitnej! Adam Opat jest mordercą, który upozorował własną śmierć.

– Wobec tego czyje to zwłoki?

– Sądzę, że to Rajfel!

– Przecież mamy odciski palców Rajfla.

– Cieślik utrwalił je wówczas, gdy wyjaśnił sprawę, lakieru samochodowego nitro-alex – przypomina inspektor.

– A ślady palców człowieka znalezione w kasynie? – Lis przygląda mu się wściekłym wzrokiem. – Braliście jego odciski?

– Nie był daktyloskopowany... Ta sceneria, dokumenty stwierdzające tożsamość. Takie podejrzenie nie przyszło mi wówczas do głowy – mruży inspektor, unikając spojrzenia szeffa.

– Trup ze zmasakrowaną, nie rozpoznawalną twarzą i takie zaniedbanie, a podwładnych to się poucza! – skreca się ze złości Lis.

– Wzrost, kolor włosów... podobne, wydawało mi się wszystko oczywiste. Nie, nie przyszło mi to nawet na myśl... Zresztą i ty nie zwróciłeś na to uwagi...

– Ja nie prowadziłem oględzin, nie byłem na miejscu – protestuje Lis.

– Dla uzyskania absolutnej pewności konieczna jest druga sekcja – wzdycha inspektor.

– A konieczna, konieczna – przedrzeźnia Lis. – Na co czekasz? Załatwiał zgodę prokuratora na jej niezwłoczne przepro-

wadzenie... I... życzę sobie, abyś był przy tym od początku do końca! W celach szkoleniowych!

Jednak omija majora asystowanie przy ekshumacji, ponieważ meldują z Krakowa o odnalezieniu tam poszukiwanego „Fiat”.

Inspektor, mimo wyczerpującej informacji o okolicznościach, w jakich odkryto wóz, leci samolotem do Krakowa. Na miejscu stwierdza, że mógł sobie oszczędzić tej podróży.

Samochód zauważono na Kazimierzu, stał na ulicy Halickiej. Ponieważ nikogo w nim nie było, a zidentyfikowany został jako poszukiwany przez Komendę Główną, krakowska służba X roztoczyła nad nim opiekę. Obserwacja trwała dwie doby – bez rezultatu.

– Gdzie jest teraz? – gorączkuje się major.

– Stoi na Halickiej. Obserwacja trwa dalej, ale dotychczas pies z kulawą nogą do niego nie podszedł... Ten wasz ptaszek po prostu go porzucił. Decydujcie, co dalej?

Kremowy „Fiat” pozostaje nadal pod opieką służby wywiadowczej, a major wraca do Warszawy.

Są już wyniki powtórnej sekcji zwłok człowieka, zamordowanego w kasynie na Błękitnej. Porównano również linie papilarne zmarłego z odciskami palców Rajfla. Wynik jest nie do obalenia. Zamordowanym jest Józef Rajfel, mechanik z Bazanowa, człowiek, którego trzej ujęci sprawcy napadu na bank nazywają szefem.

– Zabił Rajfla i upozorował własną śmierć! – inspektor mimo wszystko jest zdumiony.

– Nie przestrzegamy instrukcji, które sami piszemy! Czego sam uczysz młodych oficerów? Bez względu na okoliczności daktyloskopować zabitych! – zrzędzi Lis.

– Poszukujemy człowieka, który nie żyje! – przypomina major. – Rozpiszemy list gończy za Opatem?

– Trzeba się zastanowić – waha się Lis. – Opat jest przekonany, że uwierzyliśmy w jego śmierć...

– List za Rajflem utwierdził go w tym przekonaniu – dodaje inspektor.

– Nie należy go tego przekonania pozbawiać! Listu gończego za Opatem nie opublikujemy. Rozegramy tę sprawę w konwen-

cji, jaką nam narzucił.

Wszyscy funkcjonariusze milicji otrzymują rysopis i zdjęcia Opat.

...Ubrany w rudy kozuch, nosi pierścień z krwawnikiem...

– Już zdążył się pozbyć zarówno kozucha, jak i pierścienia – koryguje Lis. – Pośrednik widział go siódmego, a więc w kilka zaledwie godzin po zabójstwie. Dzisiaj jest piętnasty. Ten „Fiat” był jego pierwszym zakupem po wcieleniu się w skórę Rajfla. Śpieszył się, aby zabrać łup, zanim trafimy na kasyno... Teraz może już mieć nie tylko zupełnie nową garderobę i dokumenty, ale nawet prawie nową twarz.

– Dlaczego zabił Nula, przecież mając znak i tak otrzymałby łup?

– Usunął świadka... Od dnia szóstego października zginął przecież człowiek imieniem Adam Opat. Działa z żelazną konsekwencją, bardzo logicznie. Wystarczyłoby, aby Nul podał Żaczkowi rysopis odbiorcy łupu, a miałby natychmiast na karaku czterech gotowych na wszystko facetów. Wytropiliby go na końcu świata...

Major uzupełnia tekst. Wraz z fotografiami poszukiwanego bandyty zabierają go kurierzy. W dwadzieścia cztery godziny później zdjęcia Opat otrzymują wszystkie posterunki i komendy milicji.

Ostrzeżona jest również służba graniczna, celnicy. We wszystkich miastach, posiadających komunikację lotniczą, służba X bez przerwy obserwuje odlatujących i przylatujących pasażerów.

– Gotów porwać samolot – tłumaczy major tę ostatnią decyzję.

– Nie zrobi tego, jeśli ma olej w głowie – zaprzecza Lis. – Wielokrotnego mordercę odda nam każde państwo.

– Sądzisz, że zdecyduje się na życie w kraju?

– Najpierw musi coś zrobić z pieniędzmi. Nie po to zabił Nula i ryzykował ich wywiezienie, aby z nich nie skorzystać. A skorzystać może tylko w k r a j u!

– Ukryje i wróci po latach z dobrym zagranicznym paszportem.

– To też możliwe – przyznaje pułkownik – współnicy wypadli z gry... Od jak dawna Opat wiedział o zatrzymaniu Antoniego Łopatki?

– Nie wiadomo, czy w ogóle wiedział. Żaczek, i Pat też nie wiedzieli, widokiem Łopatki byli nie mniej zaskoczeni, niż on spotkaniem z nimi.

– Zastanawiam się, dlaczego on jednak porzucił samochód? Może się czegoś przestraszył, może spostrzegł milicję szukającą lub kontrolującą wozy, może spłoszyli go nasi wywiadowcy? – medytuje Lis.

Major widzi w tym konsekwentne, planowe działanie – kupić wóz, przewieźć nim pieniądze, ukryć je, następnie pozbyć się kłopotliwego środka transportu.

– O to mu chodziło, wóz łatwo zidentyfikować, to mogłoby nas naprowadzić na jego ślad. Wziął pod uwagę, że ktoś mógł zauważyć „Fiata” w Zaciszu, a wówczas milicja może dotrzeć do pośrednika. Tamten zaś nie tylko pokaże umowę, ale i określi rysopis klienta; który bez targów kupił „Fiata” o godzinie dziewiętej rano.

– On jednak został spłoszony – nie zgadza się z jego rozumowaniem Lis. – Przecież mógł bez obawy sprzedać wóz, tym bardziej, że książka rejestracyjna wystawiona była na inne nazwisko. Nawet nie zdjął numeru rejestracyjnego? Dlaczego nie porzucił samochodu w lesie, mógł go zwalić z nasypu do rzeki, utopić w starej gliniance, jeziorze, wreszcie... spalić gdzieś na pustkowiu. Długo by potrwało, zanim znaleźlibyśmy i zidentyfikowali wrak. Coś go zmusiło do natychmiastowego porzucenia samochodu, i to w śródmieściu, na ruchliwej ulicy. Trzeba zabrać ten samochód, nie ma sensu dalej blokować wywiadowców.

– Łupu i sprawcy należy zatem szukać w Krakowie albo gdzieś w pobliżu – zastanawia się major.

– „Fiat” świadczy jedynie o tym, że sprawca tam był, nic ponadto! A swoją drogą, w jaki sposób on tak szybko zdobył lewe dokumenty? – Lis ma na uwadze nazwisko Korolewicz, jakim klient pośrednika sygnował umowę kupna.

– Jak bym brał udział w takim skoku, to na wszelki wypadek

miałbym z góry przygotowane kilka kompletów dobrych dokumentów.

Lis ma pretensję do Korosza, że dotychczas nie sprecyzował kierunków poszukiwań: – Pomyślmy, jakich miejsc Opat będzie unikał?

– Kalisz, miejsce urodzenia i wczesnego dzieciństwa, ma tam krewnych, mogliby go rozpoznać, Szczecin, Trójmiasto, gdzie niewątpliwie pozostawił stare cinkciarskie znajomości, raczej nieprzyjazne, bo to ludzie, których oszukiwał. Warszawa, bo znają go liczni gracze. Łódź, tam jest ta oszukana i porzucona przyjaciółka od plastikowej galanterii oraz środowisko nie znanych nam żuli, którzy osiem lat temu rozbili mu głowę. To od nich zaraz po wyjściu ze szpitala uciekał na Wybrzeże.

– Kobieta, powiadasz? – namyśla się Lis. – Kobiety pod wpływem sentymentu potrafią zrobić rzeczy nieodgadnione, niemożliwe do przewidzenia. Nie trzeba daleko szukać, chociażby Wadera. Przez dwa lata serwowała wódkę w melinie, nie ruszyło ją sumienie na widok skrachowanych ludzi, ramię w ramię z byłym kochankiem, którego serdecznie nienawidziła...

– Upraszczasz – krzywi się major. – Mimo wszystko ta dziewczyna ma charakter.

– Jednak dopiero przez Horwata ten charakter się ujawnił. Przecież niańką do dzieci mogła zostać zawsze. Dopóki nie ołsnął jej Horwat, tkwiła w stajni Bankiera.

– Co byś nie powiedział, zerwała z tą spelunką sama. Nikt jej w tym nie pomógł, a to się liczy! – inspektor zawzięcie broni dziewczyny. – Dobrze, ale co to ma wspólnego z jakąś babą z Łodzi!

– Ma! Tamta w imię dawnego sentymentu może pomóc marnotrawnemu kochankowi, jeśli się tylko u niej pokaże, dlatego niech Łódź dalej interesuje się tą kobietą.

– Ile mógł zabrać pieniędzy z kasyna? – zastanawia się major. – Osiemset tysięcy, no... milion! Zdaniem Wadery taki był przeciętny obrót... Dużo! Dwieście siedemdziesiąt tysięcy bezpowrotnie stracił, stracił również dokumenty, musi kupić inne...

– Najlepsze dokumenty, licząc z łańcuszkiem pośredników i

kosztami za pośpiech, nie wyniosą więcej niż sto tysięcy – w tych sprawach Lis orientuje się doskonale

– Koszty starannego ukrycia łupu?

– Dół w lesie, to tylko koszt łopaty, no i ryzyka, ale ono nie wymaga pieniędzy.

– Dół w lesie nie jest skrytką na dłuższy czas. Po kilku dniach banknoty przemienią się w zbutwiałą makulaturę... Cholera! Mimo wszystko starczy mu jeszcze na kupienie albo wydzierżawienie domu, gdzie będzie mógł ukryć łup. Kontrolować bieżące transakcje, sprzedaż nieruchomości, umowy najmu, ale jak? – biedzi się major.

– Beznadziejne – wzrusza, ramionami Lis. – W tej sprawie widziałeś sam dwie umowy: na dzierżawę willi i sprzedaż wozu. W jakim urzędzie znajdziesz ślad po tych wielotysięcznych transakcjach? Gdzie szukać, w całej Polsce?

W przechowalni bagażu na dworcu Warszawa-Główna obejmuje zmianę stary, emerytowany kolejarz. Przez ćwierć wieku prowadził pociągi. Pedantyczny porządek i punktualność ma we krwi, te cechy stały się jego drugą naturą.

W wolnej chwili między jedną falą podróżnych a drugą, kontroluje kwity, sprawdza pozostawione jego pieczy walizy, plecaki, pakunki. Jego uwagę zwraca neseser ze świńskiej skóry, zamknięty na zamek błyskawiczny i opatrzony maleńką, raczej symboliczną klódeczką. Zgodnie z datą kwitu powinien być odebrany poprzedniego dnia.

– Skład sobie robią – mruczy i odsuwa bagaż głębiej pod ścianę.

Ale gdy znowu po czterdziestu ośmiu godzinach obejmuje służbę i znów widzi ten nie odebrany bagaż, ulokowany dla odmiiany na najniższej półce, buntuje się w nim jego kolejarska natura i wpisuje do książki służby uwagę dotyczącą owego neseseru.

Za trzecim razem oburza go do żywego brak reakcji na jego uwagę, więc melduje o przeterminowanym bagażu kierownikowi, sprawującemu zwierzchność nad spółdzielnią emerytowa-

nych kolejarzy, prowadzących przechowalnię.

Tamten ma akurat ważniejsze sprawy i próbuje zbyć starego byle czym.

– Przepisy – upiera się emeryt.

– Żeby ludzie tylko takie przepisy łamali, dziadku!

Emerytowany maszynista międzynarodowych ekspresów czuje się głęboko dotknięty tym dziadkiem, słyszy wyraźnie lekceważący ton.

Wraca do bagażowni, irytuje go gderanie kolegi:

– Paki odbieram sam, a ty się gdzieś włóczysz!

– Porządek musi być! – odwarkuje na dobre rozzłoszczony stary i naciska głębiej na głowę starą kolejarzką rogatywkę.

Przychodzi do komisariatu kolejowego. Znają go tam i lubią, a ponieważ z nikim innym tym razem nie życzy sobie rozmawiać w sprawie, w której przyszedł, zwraca się bezpośrednio do kierownika. Opowiada; z urazą wspomina, jak przyjął go zwierzchnik.

– Dwadzieścia pięć lat odpowiadałem za życie ludzkie – przypomina z godnością – teraz odpowiadam za bagaże... Pewno, to nie to samo, wiem! Nieważna praca? Każda jest ważna... Pan teraz myśli – śledzi twarz oficera podejrzliwymi, zblakłymi oczami – przyszła, stara, zdziecinniała zrzęda i zawraca głowę głupstwami!

– Wcale tak nie myślę – zbyt gorliwie zaprzecza komendant i aby się go pozbyć, a nie urazić starego, woła milicjanta, każe mu iść do przechowalni bagażu i spisać dane z kwitariusza. – Jeśli się właściciel nie zgłosi, powiedzmy... – udaje namysł – jeszcze przez dwie doby, proszę mnie powiadomić, otworzymy komisjynie – ściska rękę srebrnowłosego, starego człowieka, w zaprzeszłej, nie noszonej już przez służbę kolejową czapce.

Kolejarz, podbudowany na duchu, że jednak nie wszyscy lekceważą jego uwagi, prezentuje milicjantowi kwestionowany bagaż i dyktuje mu do notatnika służbowego personalia właściciela, zapisane w rejestrze.

Ani on, ani milicjant nie zwracają uwagi na jasnowłosego mężczyznę w krótkim brązowym kożuchu, który na ich widok robi nagły zwrot i niemal w ostatniej chwili szybko wycofuje się

w kierunku kiosku Ruchu. Zatrzymuje się, marudzi przy wyborze pism, zaś kątem oka obserwuje przechowalnię.

Milicjant ciągle jeszcze tam jest – po prostu zapalili z kolejarzem papierosa, ale jasnowłosa mężczyzna nie może tego zobaczyć, bo kiosk jest po tej samej stronie, co i bagażownia.

Chwila wahania i mężczyzna śpiesznie opuszcza dworzec. Ostry sprint do taksówki, trzask drzwiczek i samochód wtapia się w gęsty sznur pojazdów.

W trzy dni później kierownik komisariatu dworca kolejowego Warszawa-Główna melduje się u pułkownika Lisa. Zaczynając się, opowiada jednak rzetelnie o interwencji starego emeryta.

– Cały neser wypełniony pieniędzmi, serie z bazanowskiego banku – zżyma się oficer. – Wszystko to stało spokojnie w przechowalni bagażu! A ja spławiałem starego!

Rozsadza go bezsilna wściekłość, tym gorsza, bo na siebie. Gdyby nie potraktował tak lekceważąco zgłoszenia kolejarza, któremu dopiero po kilku dniach udało się wymusić otwarcie nie odebranego bagażu, to prawdopodobnie on, jego komisariat, ująłby groźnego przestępcę.

Przepadła premia – myśli komendant – może awans?

Pułkownik Lis śledzi twarz oficera. Rozumie, co się dzieje w tej chwili w sercu młodego człowieka?..

– Nie wolno lekceważyć żadnych informacji, nigdy nie wiadomo, co się za nimi kryje.

– Kto mógł przewidzieć bankowe miliony w przechowalni bagażu! – broni go major.

– I pomyśleć! Moi chłopcy oczy wypatrywali na peronach, mieli przecież zdjęcia... Iluż ludzi wylegitymowali, a ten drań był na wyciągnięcie ręki – nie może sobie darować kierownik komisariatu.

– Nie odstanie się – przerywa Lis. – Wątpliwe, aby facet zgłosił się jeszcze po bagaż, ale trudno to wykluczyć. Andrzej! – zwraca się do Korosza – zabrać pieniądze, nafaszerować walizeczkę starymi gazetami i niech sobie dalej stoi. A temu kolejarzowi należy się duża nagroda i piękne podziękowanie od milicji.

Wszystkie prace są ważne – powtarza sobie w myśli kierow-

nik komisariatu powiedzenie starego kolejarza, gdy wychodzą z majorem. Zapamięta ten prawie slogan, tak oczywisty i jednocześnie tak zużyty, że ludzie, słysząc go, puszczają mimo uszu jak pusty dźwięk.

W neseserze znaleziono sześć milionów złotych Nowe, wprost spod prasy, banknoty tysiąc- i pięćsetzłotowe.

Gdy major jest zajęty na dworcu głównym, pułkownik Lis zarządza błyskawiczną kontrolę przechowalni bagażu na wszystkich większych dworcach kolejowych w kraju.

Nigdzie jednak nie znaleziono cennego bagażu; niepowtarzalna szansa wymknęła się bezpowrotnie. Nikt tak także nie zgłosił się po neseser naszpikowany pociętą makulaturą, spoczywający w przechowalni bagażu na dworcu Warszawa-Główna.

Po kilku dniach zapracowany jak zwykle Cieślik wpadł do majora ze świeżą informacją.

– W „Europejskim” zameldował się mr Archibald Carter z żoną. Przyjechał z Paryża samochodem wielkim jak amfibia!

– Taszczył wóz ze Stanów? – dziwi się major.

– Prościej – wzrusza ramionami Cieślik. – Wypożyczył w Paryżu.

– Co robi?

– Zamówił kolekcję butelek do numeru. Żona wsiąkła w hotelowym zakładzie kosmetycznym i mamy z nią spokój przez kilka godzin, Zresztą baby to resort Ireny; zawiadomi majora niebawem, ile funtów kremu, odżywek, lakieru itede zużyła pani Carter. Kobiety są znacznie łatwiejsze do obserwacji, jak już gdzieś wejdą, to posiedzą.

W południe jest meldunek z mieszkania przy Malwy osiem; Carter dzwonił do Bankiera. Był nieco zawiedziony nieobecnością Zakrzewskiego. Wyraził życzenie, aby lutnik przyszedł wieczorem do „Europejskiego”.

Inspektor naradza się z Lisem. Zastanawiają się, w jaki sposób postąpić z Carterem.

– To może być poważny facet – opiniuje Lis. – Najwyżej ma na koncie jakieś nieprawidłowości dewizowe.

– Pogadaj z nim, może sam powie, po co mu potrzebny Zakrzewski.

– Nie sędzę, aby przebył ocean tylko po to, by pograć tutaj w ruletę! – potrząsa głową major.

– A ja nie sędzę, aby jedynym powodem był Bankier i te mityczne skrzypce.

Inspektor spotyka mr Archibalda Cartera późnym wieczorem. Dobrze utrzymany, starszy pan przyjmuje inspektora w wielkim jak hangar gabinecie, wchodzącym w skład trzypokojowego apartamentu.

Major, oceniając rozmiary tego pokoju, porównuje go z zawiścią ze skromnym metrażem swego M-3, które otrzymał po zacieklej walce i staraniach Lisa.

Przedstawia się Carterowi, podsuwa mu pod oczy legitymację i plakietkę służby kryminalnej. Tamten dokładnie, bez pośpiechu, odcyfrowuje dokument, ogląda znaczek.

– Well, police – kiwa ze zrozumieniem głową, nie wydaje się ani zdziwiony, ani zaniepokojony wizytą funkcjonariusza; gestem zaprasza majora, aby usiadł w głębokim, obitym skórą klubie.

Major zna nieźle angielski, natomiast język, jakim mówi Archibald Carter, znacznie odbiega od tego, czego nauczył inspektora lektor, dbający o poprawną wymowę i niemal oxfordzki akcent.

Mimo tych trudności, rozumieją się nieźle. Gospodarz bez pośpiechu przechodzi do otwartego barku, myszkuje w jego wnętrzu.

– Scotch? Dżin? Żubrówka? – spogląda na majora i stuka paznokciem w kolejną butelkę.

– Może być szkocka – zgadza się inspektor. Tak naprawdę to nie lubi żadnej z zaproponowanych wódek a już najbardziej żubrówki.

– Czym mogę służyć? – Amerykanin stawia przed majorem szklanę, z drugą w dłoni rozsiada się naprzeciw niego.

– Jaką sprawę ma pan do Borysa Zakrzewskiego? – pyta major. – On mieszka na Malwy osiem.

Amerykanin tylko przez chwilę wydaje się zaskoczony. Uważnie przygląda się majorowi. Pociąga tęgi łyk ze szklanki, zanim odpowie:

- Interes – znów przechyla szklanke.
- Jaki interes?
- Jeżeli pan wie, że go miałem, to również już pan wie, jakiego rodzaju.
- Domyślam się tylko – odpowiada major. – Tylko się domyślam.... Niestety, pan Zakrzewski już nic nie wyjaśni, został... zamordowany! – dodaje szybko.
- Zamordowany, kiedy?! – Cartera opuszcza spokój. – Dlaczego?... Aaa, to pana agent rozmawiał ze mną przez telefon, gdy tam dzwoniłem – już rozumie Amerykanin.
- Przyczyną był chyba „Amati”. Pana interesował ten instrument, prawda?
- A co się stało ze skrzypcami? – Carter jest znów opanowany.
- Pan je chciał kupić? – pomija jego pytanie inspektor.
- Możliwe – przyznaje Carter.
- Polskie prawo nie zezwala na wywóz takich eksponatów.
- Nie znam tak dobrze polskiego prawa, aby o tym wiedzieć. Zresztą, nie wierzę w klasę tych skrzypiec. Polacy umieją naciąć! – ostatniego słowa major się tylko domyśla, Carter operuje, bowiem jakimś żargonem, który trudno spotkać nawet w amerykańskich kryminałach.
- Uprzedzam pana przed kupowaniem podobnych przedmiotów. Nie wolno ich wywozić!... A w jakiej walucie Zakrzewski życzył sobie otrzymać zapłatę za skrzypce, oczywiście gdyby transakcja doszła do skutku?
- Walucie, walucie – przedrzeźnia Carter. – Wy macie bank! Płacicie za dobry dolar dwadzieścia cztery złote! – dodaje z oburzeniem.
- Więc on chciał dolary – domyśla się major, nie wierząc w twierdzącą odpowiedź.
- Dolary, nie wolno – zdradza niejaką znajomość przepisów dewizowych businessman z Nowego Jorku. – Dolarami nie... – milknie i zaraz, patrząc majorowi beczelnie w oczy, oświadcza z godnością: – Dałbym mu przekaz na PKO, tam dolar wart siedemdziesiąt dwa złote. Co to za bank? – znów się oburza. – Jeden płaci dwadzieścia cztery złote, a drugi, na tej samej ulicy,

siedemdziesiąt dwa!

Major cierpliwie wysłuchuje propozycji zmodernizowania polskiej polityki dewizowej.

– W jaki sposób poznał pan Zakrzewskiego? – wtrąca korzystając z przerwy, w czasie której Carter znów pokrzepia się szkocką.

– Ja poznałem? Ja go nie miałem okazji poznać! – Carter energicznie odstawia szklanke. – Moja firma jest znana, nasze reklamy znajdzie pan w gazetach na kontynencie, w Paryżu, Londynie, Wiedniu... Napisał do firmy, sądziłem, że jest okazja, żeby zrobić dobry interes.

– I tylko ta okazja sprowadziła pana do Europy?

– No, nie... Mam interesy w Paryżu, to do Warszawy już bardzo blisko. Bliżej niż z New Yorku do San Francisco, a przecież tam też prowadzę interesy. Wstąpiłem przy okazji – szczerzy w uśmiechu duże, mocne zęby.

Po wyjściu od Cartera majora ogarnia niepewność; może zbyt się pośpieszył z tą rozmową? Może należało obserwować tego człowieka przynajmniej przez kilka dni? Amerykanin, zniecierpliwiony nieuchwytnością Bankiera, może poszedłby na Błękitną, poszukał kontaktu z innymi ludźmi z kasyna? Może zna Opatą?

– Cartera należało natychmiast uprzedzić o morderstwie i zniknięciu skrzypiec – rozprasza jego wątpliwości pułkownik Lis. – Jeszcze raz powtarzam: nie wierzę, aby Amerykanin nawiązał jakiegokolwiek stosunki z bandytą.

– Nie mając pojęcia o pochodzeniu skrzypiec przyjechał, aby je kupić. Nie ludźmy się, on świetnie zna prawo dewizowe i przepisy, dotyczące zakazu wywozu z Polski antyków i dzieł sztuki.

– W to oczywiście wierzę! – przyznaje Lis. – Ale co innego kupić przedmiot niewiadomego pochodzenia, przekroczyć prawo dewizowe, nawet usiłować coś przemycić, a zupełnie co innego wchodzić w układy o dzieło sztuki, które poszukuje milicja, i to do sprawy o morderstwo. Już nie mówiąc o tym, że jest mało prawdopodobne, aby właśnie Carterowi Opat chciał sprzedać skrzypce.

– Obserwacji nie przerwę – upiera się major.

– Wcale ci tego nie radzę – obrusza się Lis. – Wyjaśniam tylko, że Carter to kupiec, a nie gangster.

Niebawem major ma okazję przekonać się, że jego szef trafnie ocenił Archibalda Cartera. Jednak ani on sam, ani pułkownik Lis nie przewidzieli reakcji Amerykanina.

Do dyżurnego pogotowia milicji stołecznej zadzwonił cudzoziemiec i zażądał odszukania superintendenta Korosza. Nazwisko oczywiście zniekształcił niemiłosiernie, lecz dyżurny domyślił się, o kogo chodzi, i skomunikował go z majorem.

Gdy już na linii był inspektor, Carter przezornie upewnił się, kto jest przy telefonie.

– Proszę przyjść do mnie – zażądał – incognito, ostrożnie... bardzo ostrożnie, zaraz!

– O co chodzi, panie Carter?

– Przez telefon nie! – dyszy w słuchawkę niemal szeptem Amerykanin.

– Zaraz będę – przyrzeka major. Odkłada słuchawkę, powtarza rozmowę Lisowi. – Nie rozumiem, o co chodzi.

– Pewno jakiś wywiadowca od Cieślika zachowuje się niezręcznie – chmurzy się pułkownik. – Jedź tam zaraz, a później ustaw Cieślika, z pewnością zbyt długo trzyma jedną zmianę ludzi i tamten zaczyna rozpoznawać twarze.

Major jedzie do „Europejskiego”. Podniecony Carter oczekuje go znów w tym samym przestronnym gabinecie.

– Dzwonił do mnie ktoś. Powiedział, że ma instrument, jeśli chcę, mogę kupić, ale tylko za dolary... żaden transfer na PKO. Ja się zgodziłem! – Carter z napięciem patrzy majorowi w oczy. – To te skrzypce, których pan szuka.

– Bardzo dobrze pan zrobił – mówi major i udziela mu się podniecenie tamtego. Mimo to jeszcze nie może uwierzyć, że morderca zwrócił się do Cartera.

– Tylko niech pan nie myśli, że ja chcę naprawdę kupić ten instrument – wykrzykuje Carter. – Ja nie kupuję od gangsterów! Może on wcale nie ma nic do sprzedania? – dzieli się z majorem swymi podejrzeniami. – Może on myśli: Carter jest nadziany! To można mu zrobić... – naśladuje odgłos strzałów i

przymyka oczy. – I miałbym transfer!

– Gdzie się z nim pan umówił, tutaj?

– Nieee – w tym jednym słowie major słyszy zwątpienie Cartera w policyjne kwalifikacje superintendenta Korosza.

– Skąd dzwonił?

– Nie wiem – Carter rozkłada ręce. – Umówił mnie we Wrocławiu, w kawiarni hotelu „Piaś”. Mam mieć „Timesa” w rękach! Mafia, gang! – wzdycha.

– Gang jest już aresztowany – zapewnia Korosz i wypytuje Cartera o Zakrzewskiego, Opata, Gorzeńca.

Amerykanin nic nie wie. Przedtem nigdy w Polsce nie był, nikogo z wymienionych osób nie widział. Od Zakrzewskiego przyszedł list z ciekawą propozycją. To wszystko.

– Znam się na instrumentach – wyjaśnia – to mnie zainteresowało. Odpisałem... On zadzwonił i nie kazał więcej pisać, tylko przez telefon, kiedy przyjadę. Więc nie pisałem. Ja jestem kupcem, szanuję zwyczaj klienta!

– Dziękuję, panie Carter, ja pojedę zamiast pana – decyduje major. – Najwyżej pożyczę od pana wóz.

Ale Carter nie chce o tym słyszeć.

– Ja znalazłem gangstera, ja chcę go złapać! – oświadcza z dumą i prostuje swą dwumetrową sylwetkę. – Publicity! – unosi w górę palec. – Prasa, telewizja... – rozmarza się. – R e k l a m a! – uśmiecha się błogo, jakby zrobił świetny interes.

Termin spotkania jest umówiony na następny dzień. Carter nie daje sobie wyperswadować pomysłu.

– Jest pan obywatelem amerykańskim – Lis rozmawia z nim za pośrednictwem Korosza – nie możemy pana narażać. Gangsterzy to nasza specjalność, przecież nie robimy panu konkurencji w handlu instrumentami muzycznymi.

Amerykanin grzecznie wysłuchuje argumentów Lisa, ale nie mają one wpływu na jego postanowienie.

– Uparty jak muł – zżyma się Cieślik. – Pułkowniku! Taki wóz jak jego znajdzie się w naszym garażu, numery i cały sztafaż to betka! Przecież nie będę ciągnął całego w działu do ochrony tego kowboja! Niech sobie lepiej idzie do kina na gangsterski film.

– Niech jedzie – załamuje się Lis. – Nie sądzę, aby tam było bardzo niebezpiecznie. Musisz go pilnować!

– Za co Bóg mnie skarał tym bizonem! – wykrzywił się do Cartera porucznik.

– Tylko musi pan słuchać we wszystkim majora Korosza, słowo? – upomina Lis, bo już czuje wyrzuty sumienia, że uległ uporowi tamtego.

– Słowo! Spasiba, colonel! – mówi z powagą Carter i jest przekonany, że to najczystsza polszczyzna; Zadowolony z siebie klepie pułkownika po ramieniu.

Wszyscy zaczynają się śmiać, nie wyłączając Cartera.

– Ten kowboj jeszcze uszkodzi mi szefa – Cieślik już beczceralnie odnosi się do businessmana z New Yorku.

Przed określoną godziną służba wywiadowcza krąży wokół hotelu „Piast”. W kawiarni jest chyba więcej funkcjonariuszy służby X niż gości; dziewczęta w modnych maxi, młodzi chłopcy, panowie w średnim wieku, panie i panowie nieco starsi.

Cieślik z majorem siedzą przy stoliku opodal drzwi. Mają stąd widok na całą salę i Archibalda Cartera, siedzącego z rozłożonym „Timesem” w dłoniach. Przed nim stoi butelka starki.

– Może dopełnienie znaku to ta starka? – mówi major.

– Kowboj bluffował, a major z mety kupił – szepcze Cieślik. – Po diabła inny znak? Bez „Timesa” czuć go Arizoną na kilometr! Tam, w jego Texasie, nikt dla jego ochrony nie ciągnąłby pół wydziału wywiadowców. Dziewczęta jak kwiaty – ogarnia spojrzeniem salę – co potrafią upierścienioną rączką walić jak kastetem, chłopcy, co z rozbiegu, z przerzutu, z biodra biją w dziesiątkę... starsi panowie, którym w judo poradzi tylko Horwat! Ech, studia, języki, wszechstronna sprawność, wszystko tylko po to, aby chronić wątpliwej wartości głowę jednego kowboja – bez złości użala się Cieślik.

Później wszystko toczy się w takim tempie, że Carter jest zupełnie zawiedziony; spodziewał się znacznie większych emocji. A to spotkanie z gangsterem nie przypomina nawet miernego filmu.

Spotkanie! – Carter się z nim w ogóle nie spotkał.

W drzwiach kawiarni przystaje jasnowłosy mężczyzna, prze-

ślizguje się spojrzeniem po sali. Dostrzega płachtę „Timesa” i wyciągnięte, nie mieszczące się pod stolikiem, długie nogi czytającego.

Cieślik z majorem wymieniają spojrzenia. Nie mylą się, rozpoznają mężczyznę z fotografii. Mimo że zmienia go znacznie kolor włosów i jakiś dziwny odcień cery. Jest śniada, ale ta śniadość ma jakiś szarawy ton.

Ufarbował włosy – przelatuje przez myśl majora – ale co jest z jego skórą?... aaa, jest bardzo blady.

Mężczyzna, bawiąc się numerkiem z szatni, robi kilka kroków i mija stół majora. W tej chwili obaj z Cieślikiem są już przy nim. Nikt z osób postronnych nie orientuje się, że ta z pozoru przyjaźnie trzymająca się pod rękę trójka, zmierzająca teraz do szatni, to funkcjonariusze milicji i groźny przestępca.

Trzask metalowych obrączek. Inspektor, nie wierząc własnym oczom, przygląda się rękom Opat, spiętym w niklowych kajdankach.

Na serdecznym palcu mordercy tkwi staromodny pierścień, z ostro szlifowanym kamieniem o ciemnopurpurowej barwie.

Cieślik przynosi z szatni krótki, brązowy kozuch o pięknej, welurowej wyprawie. Po chwili Adam Opat wsiada z majorem do samochodu.

Korosz nie może ochłonąć z wrażenia; nadal wpatruje się uporczywie w pierścień. Jeden ostry szlif czerwonego kamienia, na samym stożku, jest zmatowiały, jego minimalna chropowatość jest jednak widoczna gołym okiem.

Opat wędruje spojrzeniem za wzrokiem inspektora, wbija oczy w swoje ręce i bladość jego twarzy nabiera barwy popiołu.

– Nie mógł się pan jednak rozstać z sygnetem?

– ...Przyzwyczajenie... zapomniałem.. – –chrypi Opat, jak gdyby dopiero teraz przeraził go widok pierścienia na ręku,

– Henna na włosach, a wizytówka na palcu – krzywi się major.

Wraca Cieślik, zwolnił już wywiadowców. Podchodzi Carter, zaprasza ich do swego krężownika.

– Pojedziemy hipopotamem kowboja – proponuje majorowi wywiadowca. – Należy mu się jakaś satysfakcja – pokonuje wa-

hanie inspektora.

W pakownym wozie z łatwością mieści się Cieślik, major i aresztowany.

Amerykanin siada za kierownicą i naciska starter. Wóz śmiga ulicami Wrocławia, za nim zdąża kawalkada samochodów służby X.

– Wolniej, kowboj, tu nie preria – ostrzega Cieślik. – Mandaty ty będziesz płacił, i to nie przez transfer.

– Okey – Carter posłusznie zmniejsza szybkość.

Już podczas pierwszego przesłuchania wyjaśnia się wiele spraw; jak zrodziła się myśl złupienia banku w Bazanowie?

Projektodawcą był Rajfel! Zdolny rzemieślnik, hazardowy gracz. Tacy najbardziej liczyli się w kasynie. Jeżeli tylko mieli pieniądze, zawsze wracali do zielonego sukna

– Nałogowi gracze przypominają tonących. Jedni natychmiast idą pod wodę i już się nie wynurzają, inni uporczywie walczą, próbują utrzymać się na powierzchni; lecz zawsze pochłonie ich żywioł. W tym są do siebie podobni, Zabiegają o pożyczki na grę, z irracjonalną wiarą, że na pewno przyjdzie im szczęśliwy dzień, wielka wygrana, bogactwo, które umożliwi... dalszą grę.

Pierwszej pożyczki udzielił Rajflowi Opat, oczywiście za wiedzą i aprobatą Bankiera. To nie stanowiło żadnego ryzyka, Rajfel miał dom i dobrze prosperujący warsztat.

Po jakimś czasie uregulował dług, ale już niebawem znów pożyczyl pieniądze na grę, tym razem u Wadery i także u Opaty.

Gdy wszystko przegrał, ostrożny Bankier polecił wstrzymać mu kredyt, zakazał wpuszczania go do kasyna i zobowiązał Opaty do ściągnięcia należności.

W tym celu Opat pojawił się w Bazanowie...

– Trochę cierpliwości! – zaapelował Rajfel. – Właśnie wpłaciłem do banku całą gotówkę – wymienił sumę znacznie wyższą niż ta, którą był winien – to wszystko pochłonęły bieżące podatki i domiar!

– Zamiast wpłacać, powinieneś wziąć, skoro masz takie po-

trzeby – miał zażartować Opat i zgodził się na prolongatę jego zobowiązań wobec kasyna.

Po pewnym czasie Rajfel znów pojawił się na Błękitnej, zwrócił, dług Waderze, a zamiast siedemdziesięciu tysięcy, które był winien Opatowi, przedstawił mu plan obrabowania banku w Bazanowie.

Projekt od razu zaciekał Opatą, wówczas wydał mu się jednak fantastyczną mrzonką, praktycznie nie do zrealizowania. Mimo to założył za Rajfla pieniądze i nie zdradził przed Bankierem finansowych trudności mechanika.

Rajfel znów uzyskał wstęp, do kasyna i kredyt. Niebawem jednak przegrał wszystko, a możliwości Opatą także się wyczerpały. Mechanik nie zwrócił mu pożyczki, żądał kolejnej, Opat jednak nie mógł nią służyć, ponieważ Bankier nader skrupulatnie wyliczał go z kasy, a swojej gotówki już nie posiadał.

Tymczasem niewykonalny z pozoru plan włamania do banku powoli dojrzewał do realizacji.

Wreszcie rozdzielono role. Opat zapewnił Rajflowi alibi i zorganizuje samochód, resztą zajmie się Rajfel.

– W sumie jest nas sześciu – poinformował go mechanik. – Zdobycz dzielimy na sześć równych części. Nie bój się, nie będzie mała! Starczy dla wszystkich do końca życia.

Opat postawił warunek: nie chce znać reszty współników. Natomiast musi znać adres skarbnika i mieć rękojmię, że nie zostanie oszukany w podziale łupu.

Rajfel – uzależniony teraz we wszystkim od Opatą – zawiózł go pewnej nocy do Zacisza i pokazał mu przygotowaną skrytkę i pusty jeszcze, żaroodporny sejf. Poza nimi dwoma nikogo przy tym nie było. Rajfel miał klucze do warsztatu Nula.

Napad powiódł się, ale zaczęły się kłopoty. Łupu nie można było natychmiast podzielić, ba! trzeba było pilnować, aby pieniądze nie dostały się w obieg. Na domiar nie przewidziana awaria samochodu i dalsze jej konsekwencje mocno zaniepokoiły Opatą.

Ponadto bał się, aby niepohamowany w grze Rajfel nie sięgnął po zdobyte w banku pieniądze. Więc zażądał od niego klucza do sejfu. Tamten ociągał się, podejrzewał, że Opat chce sam

zawładnąć całym łupem. Wtedy też Opat wymyślił znak, ową przedartą etykietę od wina. Jedną połowę otrzymał Nul, doręczył mu ją Rajfel, a drugą zachował mechanik. Natomiast klucz do pancерnej szafy znalazł się u Opat.

Rajfel szybko przegrał swoją część łupu, otrzymaną ze starych pieniędzy zagarniętych w banku, stracił także udział Opat, który mu tamten pożyczył.

– Był jak szalony, grał bez opamiętania, jak nigdy przedtem. Czuł się milionerem!

Gdy Bankier powiedział o podejrzanych banknotach, Opat od razu domyślił się, skąd one pochodzą. Przeraził się, zrozumiał bowiem, że Rajfel nie wszystkie pieniądze oddał do skrytki. Tylko jaką sumę pozostawił sobie?

Opat popełnił wówczas błąd, fałszywie informując Bankiera o rzekomo nieczytelnym spisie zastrzeżonych serii. Chciał po prostu zyskać na czasie, porozumieć się z Rajflem i dopiero później przedsięwziąć jakieś działanie.

Oczywiście jeszcze tego samego dnia rozmawiał z Rajflem, ale tamten bezczelnie wyparł się, jakoby przegrał w kasynie pięćdziesiąt tysięcy, pochodzących z łupu.

– Maniak! Zostawił sobie pięćdziesiąt tysięcy tych parszywych grajberów... przez głupie pięćdziesiąt tysięcy zgubił mnie, siebie, wszystkich...

– Zostawił sobie sto – uzupełnia major.

Zagęściła się atmosfera; Bankier stracił zaufanie do Opat, przestał go wtajemniczać w swoje sprawy i traktował jak człowieka, którego należy się wystrzegać.

Kierownik komisji, wbrew temu, co obiecał Zakrzewskiemu, poinformował Opat, że Bankier powtórnie pożyczył od niego spis zastrzeżonych banknotów.

Wówczas to Opat na wszelki wypadek zaopatrzył się w fałszywe dokumenty. Pilnie obserwował reakcje szefa, nie mogąc przewidzieć, co tamten postanowi.

Potem znów rozmawiał z Rajflem, powiedział mu o zachowaniu się Bankiera i kategorycznie zabronił mechanikowi przychodzić do kasyna. Bał się, że Rajfel gotów rozbić sejf z łupem, jeżeli zabraknie mu pieniędzy na grę.

Mimo to mechanik znów pojawił się owego fatalnego dnia szóstego października. Opat nie chciał z nim rozmawiać, brutalnie usunął go z kasyna. Był przekonany, że tamtego przygnała nieopanowana żądza gry.

Później niespodziewanie opuścił kasyno Zakrzewski. Opatowi to wyjście wydało się bardzo, podejrzane. Wiedział przecież, że Bankier przechowywał skrzypce „Amatiego” na Błękitnej, a nie u siebie w domu.

I potem przyszło to najgorsze. W niecałe dwie godziny po wyjściu Bankiera zadzwonił Rajfel.

– Bankier nie żyje, czekaj na mnie! – miał tak zmieniony głos, że Opat ledwo go poznał.

Był pewien, że Rajfel zabił lutnika. Wyprawił graczy i w najwyższym napięciu czekał na przyście wspólnika. Gdy do kasyna zadzwonił Ivo Moreno, u Opatą błyskawicznie zrodził się pomysł, który stwarzał możliwości zażegnania katastrofy, przynajmniej na najbliższy czas. Namówił więc skrzypka, aby natychmiast poszedł do Zakrzewskiego. Zaraz potem, podając się za dozorcę Kowalskiego, zawiadomił pogotowie milicji o rzekomych złodziejach w mieszkaniu na Malwy osiem.

Zjawił się kompletnie roztrzęsiony Rajfel. Do Zakrzewskiego poszedł, aby zabrać owe fatalne pięćdziesiąt tysięcy.

W trakcie awantury w kasynie widział Zakrzewskiego i był zupełnie spokojny, że Bankier nie odejdzie od rulety; znał przecież doskonale obyczaje panujące w kasynie. Nie chciał go zabijać, ale... Bankier rozpoznał rabusia. Stało się! Teraz proponował wspólną ucieczkę, był przekonany, że za kilka godzin wszystko się wyda.

Opat pozornie przyjął jego propozycję; spoił wspólnika alkoholem, w którym rozpuścił środki nasenne. Skutek był niemal natychmiastowy.

Błyskawicznie dojrzał plan usunięcia Rajfla. Jego zwierzenie o aresztowaniu jednego z bezpośrednich uczestników włamania do banku ostatecznie przesądziło sprawę. Dotychczas Rajfel ukrywał ten fakt przed wspólnikiem. Teraz Opat poczuł, jak grunt pali mu się pod nogami, a Rajfel załamał się zupełnie i nie można było na niego liczyć.

– Wystarczyłby widok milicjanta, aby wyśpiewał wszystko!

Zamordował więc współnika i upozorował własną śmierć. Pozbył się jedyne go człowieka, który wiedział o jego udziale w napadzie na bank, zyskał szansę bezpiecznego ukrycia się...

Oczywiście liczył się z tym, że milicja zidentyfikuje ofiarę morderstwa na Błękitnej, sądził jednak, że będzie miał dość czasu na zmianę skóry i bezpieczne urządzenie się.

Kremowego „Fiata” Opat porzucił w Krakowie na Halickiej, zauważył bowiem wzmożony ruch służby drogowej milicji.

Kończyła mu się gotówka. Z kasyna zabrał znacznie mniej pieniędzy niż wydawało się majorowi, bo tylko czterysta pięćdziesiąt tysięcy złotych. Z tego dwieście siedemdziesiąt tysięcy pochłonęło kupno samochodu.

Majora interesuje sprawa dokumentów, którymi posługiwał się Opat.

– Czy inni też mieli fałszywe?

Nie. Przynajmniej Opatowi nic o tym nie wiadomo. On nikomu nic takiego nie załatwiał ani nie sugerował. Przypuszcza, że tamci nie byli tak przezorni. Czuli się zupełnie bezpieczni, byli pijani sukcesem, no i nie mieli pojęcia, że ich szef jest chory na hazard.

Zresztą Opat się z nimi nigdy nie zetknął, poza jedynym razem, gdy dał kluczyki od wozu w dzień napadu.

Podczas dalszych rozmów wyjaśnia się sprawa nie odebranego z przechowalni neseseru.

Po krwawej rozprawie z Nulem, Opat z łupem przyjechał do Krakowa. Wynajął pokój – wybrany z ogłoszenia – u pary emerytów na Salwatorze. Unikał hoteli – nie czuł się w nich bezpieczny. Mimo że posiadał klucz do pokoju, miał wrażenie, jakby siedział na beczce dynamitu, trzymając tam walizki. Trzy nesesery, wyładowane bezużytecznymi pieniędzmi.

Czy zameldował się?

Nie. Wynajął mieszkanie na kilka dni. W takich przypadkach ludzie wynajmujący pokoje nie kwapią się z meldowaniem przygodnych gości. W ten sposób nie tracą sumy, którą tytułem podatku potrąca wydział finansowy.

Szukał jakiegoś domku, przynajmniej mieszkania z piwnicą.

Nie mógł marzyć o kupnie, miał za mało pieniędzy, mimo milionów leżących pod łóżkiem.

Miał zamiar sprzedać samochód. Potem jednak musiał go porzucić. Trzeba było również zniszczyć dokumenty, wystawione na nazwisko Tadeusza Korolewicza.

Ze stu osiemdziesięciu tysięcy, jakie pozostały mu po kupnie „Fiata”, część już stopniała. Koszty ubrania – z kasyna uciekł w smokingu, w owym wytwornym smokingu, szytym u świetnego krawca, który swego czasu tak interesował majora – jedzenia, mieszkania, przejazdów. W jego sytuacji musiał unikać tramwajów, kolei, autobusów. Musiał również zaopatrzyć się natychmiast w następne, dobre, budzące zaufanie papiery. Stopniało kolejne dziewięćdziesiąt tysięcy.

Niełatwo żyć w cudzej skórce, gdy się ma poza sobą dwa trupy. A jednak zaryzykował podróż koleją, przyjechał do Otwocka i znów wynajął pokój, tym razem u kobiety. Musiał już oszczędzać, a nie mógł łupu trzymać pod łóżkiem, bo gospodyni była wścibska, a zamki u drzwi symboliczne. Wpadł na desperacki pomysł, umieścił walizki w przechowalniach bagażu na warszawskich dworcach.

Dlaczego przyjechał do Otwocka?

Poprzednio nigdy nie był w tej miejscowości, więc nikt go tam nie znał, a musiał zaczekać na Cartera, któremu rzeczywiście chciał sprzedać „Amatiego”. Zanim Bankier stracił do niego zaufanie, wtajemniczył współnika w plan sprzedania skrzypiec amerykańskiemu marchandowi.

Nie miał już wyjścia, musiał zdobyć pieniądze, niezbędne do dalszego istnienia. Uważał to za znacznie mniejsze ryzyko, niż naruszenie notowanych banknotów.

W określonym przez przepisy kolejowe czasie zgłaszał się do przechowalni i zabierał bagaż, potem znów lokował go w przechowalniach.

Przychodził podczas największego tłoku, gdy przyjeżdżały pociągi lub gdy wylewała się z peronów fala podróżnych.

System funkcjonował bez zakłóceń, nikt na niego nie zwracał uwagi. Tylko rujnował się na jesionki, płaszcze, kurtki – aby za każdym razem przyjść inaczej ubrany. Aby nie zapamiętano

człowieka w krótkim kozuchu. Tamten, w którym pamiętano go z kasyna, wyrzucił jeszcze w Krakowie.

Miał jednak pecha. Zachorował. Powaliło go zapalenie płuc. Lekarz – wydatki – leczenie – wydatki – antybiotyki – wydatki.

Jeszcze z temperaturą, gdy tylko mógł się zwlec z łóżka, pojechał na dworzec Wschodni i Zachodni – bez najmniejszego kłopotu odebrał bagaż. Nikt nie zwrócił uwagi na przeterminowanie. Dopiero na Głównym omal nie wpakował się prosto w ręce milicjanta. Widział, jak tamten ze starym kolejarzem oglądał jego neseser.

Tak stracił sześć milionów złotych. Pozostałe dwie walizki znów stały pod łóżkiem, tym razem w Otwocku.

Rozumiał, że musi jak najprędzej zmienić teren. Liczył, usiłował przewidzieć, ile jeszcze względnie bezpiecznych dni pozostało mu w Warszawie – dopóki nie zostanie otworzony neseser, spoczywający w bagażowni Warszawa-Główna.

Czuł milicję, idącą tropem rzekomego Rajfla. Kraków – „Fiat”, Warszawa – sześć milionów. Jak długo, jeszcze można wytrzymać w takim napięciu?

Całymi dniami, przesiadywał w wynajętym pokoju, żywił się byle czym. Z jednej strony obawiał się wścibstwa gospodyni, z drugiej dręczył go lęk, aby ludzie, nie zapamiętali rysów jego twarzy.

Tkwiał jednak uparcie w Otwocku, ponieważ znał w przybliżeniu termin przyjazdu Cartera.

Jak znalazł Amerykanina?

Uważał, że tamten po przyjeździe zatrzyma się w którymś z luksusowych hoteli. Nie jest ich znowu w Warszawie zbyt dużo. Rzykował, to prawda, jednak dowiadywał się o takie nazwisko w hotelach. Dzwonił z automatu.

Szczyście mu dopisało po raz ostatni. W drugim z kolei hotelu odpowiedziano mu w recepcji, że Carter właśnie tu się zatrzymał. Zadzwoił do niego i umówił się we Wrocławiu.

Właściwie to tylko bał się spotkania i rozpoznania przez kogoś z ludzi, bywających w kasynie. Milicji bał się znacznie mniej, bowiem wierzył do końca, że uważają go za ofiarę, a nie za mordercę Rajfla. Utwierdzał go w tym przekonaniu list goń-

czy, zamieszczony w gazetach. Rozumiał jednak, że pozostawił za sobą ślady i milicja tropi go jako Rajfla.

Gdy Carter przystał na jego propozycję, był przekonany, że uda mu się osiągnąć wytyczony cel.

Jaki to był cel?

Oczywiście ukrycie łupu i... plastyczna operacja twarzy.

